



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Król i Bondarywna


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Król i Bondarywna

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Przed laty kilkudziesięciu, po wielu domach spotkać było można kopie obrazka, wystawiającego młode dziewczę, oparte na ręku i pochylone na poręczu krzesła, w stroju ludowym, nieco fantastycznym. Rysunek portretu tego umieścić był „Przyjaciel ludu”. Na Ukrainie zwano tę piękność Bondarywną, a starzy ludzie historię jej w ten sposób opowiadali, jak my powtórzym za nimi. Mamy ją z ust człowieka, który zaręczył za prawdę podania, a podania nawet zmyślone, więcej częstokroć prawdy w sobie mieszczą, niż najwierzytelniejsze dzieje.

Wieczór był późny; w oknie otwartem domu położonego na wzgórzu, z którego widok rozciągał się na błonia, wody dniewprowemi zalane, stała piękna pani, jedną ręką opierając się o krawędź, a drugą spuściwszy niedbale. Była zamyślona i zafrasowana; po białej twarzyczce, arystokratycznych rysów, nieco bladej i zmęczonej, przelatowały drgnięcia jakiegoś spazmatycznego, na przemian błyski, rozpromieniające ją, i chmury. Niekiedy nożką tupnęła niecierpliwie, spojrzała na drzwi i westchnęła.

U stóp wzgórza, na którym stało domostwo, widać było miasteczko, pobudowane dziwnie, ze starymi chatami, z nowymi jakimiś, na prędcie wzniesionymi dworkami, ze wspaniałą ruiną starej cerkwi. Wszystko to ogarniał już mrok wieczorny, tylko na niebiosach świeciła luna zachodnia, a wśród miłośnicy dogorywający pożar, około którego kręciła się gromada ludzi, z najdziwniej i najsprzeczniej połączonych żywiołów złożona.

Widać było wśród niej i żydów w czarnych żupanach, i wieśniaków w szarych świtach, i wojskowych kawalerji narodowej, i dworskie jakiegoś postacie w szytych wytwornie frakach i trefionych perukach, jakby do pożaru przybyłe w pierwszej chwili trwogi, wprost z pokojów króla J. M.

Król bowiem J. M. Stanisław August, bawił naówczas w Kaniowie nad Dnieprem, i — jakby na przekór wszystkim wymaganiom etykiety, pożar właśnie wybuchnął, gdy N. Pan nie strachu, a rozrywki potrzebował. Gniewali się też wszyscy na ten niesforny żywioł, który sobie pod bokiem pańskim z wyuzdaną swawolą popisywać się pozwalał, a mocniej nad innych niecierpliwiła się tym wypadkiem siostrzenica króla, pani Mniszchowa, przywiązana doń mocno i dbała o to, ażeby ubóstwiany wujaszek dobrej był myśli i humoru.

Gniewała się na ogień, na ludzi, na drewniane spalone kramy, na powolny ratunek, na wiatr, który płomienie rozdmuchał i na lamenta poszkodowanych, które ucho pańskie nieprzyjemnie drażnić mogły. Znała dobrze króla, który przedewszystkiem potrzebował spokoju i rozrywki, który największymi ofiarami okupić je był gotów, a taki był czuły na wrażenia, a tak nieszcześnie, a tak dobry i godzien miłości!

Mówiła to sobie pani Mniszchowa i gniewała się na cały Boży świat, na ludzi, żywioły, przeznaczenie, na niewdzięczność tych, co otaczali najlepszego pana, odbierali odeń dobrodziejstwa, a płacić za nie nie umieli lub nie chcieli.

Pożar można było w pierwszej chwili — tak sądziła marszałkowa koronna — zdusić i zarzucić czapkami, muzyką należało zagłuszyć krzyki żydowstwa, ażeby najjaśniejszych uszu nie doszły; okna trzeba było pozasłaniać, aby w nie luna nie biła. Tymczasem król widział pożar, i strapił się nim i zgryzł, i wyszedł nań patrzyć, więc się mógł zaziębić, bo powietrze wiosenne było zdradliwe, wilgotne i chłodne.

Ci ludzie! ci ludzie! — mruzczała pani Mniszchowa, stojąc w oknie — niewdzięczni! a tak dobrego, tak anielskiego mają pana!

Od dwóch czy trzech dni chmury jakieś przeciągały po pańskim obliczu. Król ziewał, był roztargniony, nic go nie bawiło, nawet śpiew i gra marszałkowej, nawet bilard z Platerem i Tyszkiewiczem, nawet rozmowa ze starostą Mielnickim, który, jak uważała marszałkowa, przestał być dowcipnym.

Coś na to przecież poradzić było potrzeba! Król się nudził! król mógł z nudów zachorować... a wówczas w co by się obróciły wszystkie rachuby wojewodziny podolskiej i spekulacje pana marszałka, którym szkatuła wuja w pomoc przyjść miała.

Król się nudził! król się najoczywiściej nudził; na nudy, same z siebie niebezpieczne dla zdrowia, przypadł przestraszony, obudzony pożarem, zniecierpliwienie, zaziębienie... wydatek na pogorzalców w chwili, gdy tyle a tyle potrzeba było pieniędzy na opędzenie kosztów podróży i zakupienie tabakierok kameryzowanych na podarki! Pani Mniszchowa zadumana smutnie, westchnęła z głębi duszy. Oczy jej z luny pożarnej spadły na posadzkę pokoika, w którym zdawała się oczekiwać na kogoś.

Była jeszcze piękną, twarzyczkę miała wdzięczną, choć zmęczoną — któż wie, choć siostrzenica, zgodziłaby się była może na rozpędzenie nudów uśmiechem, słówkiem czułym i przymileniem serdecznym... ale do tej miłej twarzyczki król był przywykł od jej dzieciństwa; rozkwitła ona i zwiędła pod jego oczyma, a Stanisław August miał (człowiek śmiertelny) jedną wielką, bardzo wielką wadę. W pierwszej chwili i najmniej nawet piękną, byle okraszona młodością, twarzyczka każda, czyniła na nim potężne wrażenie; gotów był dla jej uśmiechu poświęcić wszystko, nawet najświętsze węzły potargać — cóż po tem, gdy z każdym dniem gasły dlań jej uroki i wkrótce obojętniał, ostygł, zamarzał, że go i najgorętszych uczuć oznaki odżywić nie mogły. Pani Mniszchowa przypominała sobie pewne chwile złudzeń rozwianych i westchnęła znowu. Tej natury nic zmienić nie mogło, niestety, trzeba jej było ulegać, należało ją zaspokajać... Był tak dobrym! serce miało tak czule — sam nie winien był pewnie temu, iż go życie takim uczyniło. Życie, ludzie, doznane zawody, przeniewierstwa... wiek może!

Pani marszałkowa uniewinniała go... Znękanego pana trzeba było zabawić i rozbudzić. Dziwne myśli chodziły jej po główce rozmarzonej.

Wielkie panie w atłasach i koronkach, w całym blasku swych umiejętności pielęgnowanych wdzięków, nie czyniły już na nim wrażenia. Świeża, wiejska natura jedna jeszcze żywiej w nim krew poruszyć mogła. Wszakże w Wiszniowcu, Marysia, panienska respektowa, ściągnęła była na trzy dni oczy majestatu i... otrzymała na wyjeźdźnym brylantowe kółczyki.

Pani Mniszchowa ruszyła ramionami.

— Co w niej upatrzył? Doprawdy nie wiem! — szepnęła. Ha, młodość! tę niepowrotną, a tak drogą młodość, która tak prędko gaśnie i przechodzi, gdy ją płomień gorącej namiętności owionie...

Spojrzała na drzwi oczekująca pani i tupnęła nóżką w zgrabny trzewiczek na korku obutą, potem na własną tę nóżkę, która była prześlizgnięta, a wysunięta naprzód, już nie czyniła wrażenia; potem na bieluchne swe rączki, świecące brylantami, wśród których pałał niegdyś od króla otrzymany soliter... wkrótce po ślubie...

Właśnie wśród tych dumań drzwi się powoli otwały, i w progu stanął całe niepoczesny mężczyzna.

Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można podrzędną figurę sługi dworskiego. Człek był już dobrze podżyły, twarz miał nic nieznaczącą, trochę pofałdowaną, rysy pospolite i grubo wyciosane, czoło niskie, usta szerokie, nos jakby obrzękły, tylko z oczów szarych i głęboko osadzonych pod nawisłymi brwiami, spryt patrzył i wytrawność. Zimny miał pozór i zubożniały wyraz twarzy, jak ci, co się o wielkości świata ocierać zwykli i których już nic nie dziwi, nic nie przestrasza, a nie bardzo co ucieszyć może.

Suknia niewytworna francuska wprawdzie ująć mogła i na pokojach N. Pana, ale świeżością ani smakiem niczyichby nie zwróciła oczów. Z niej sądząc, oskarżyć można było przybywającego o zbytnią oszczędność, trwała bowiem być musiała i na wszelkie przygody obrachowana. Stalowy jej kolor wytrzymać mógł pył i slotę, a guziki z perłowej macicy zastępowały zwykle naówczas kosztowniejsze cacka, któremi przyozdabiali się eleganci.

Skłonił się we drzwiach wchodzący obojętnie dosyć, kapelusz, który trzymał w ręku, włożył pod pachę, palcami machinalnie ujął łańcuszek od zegarka, wywieszony z kamizelki, i czekał. Dworski nałóg nie dozwalał mu pierwszemu dostojną panią zagadnąć.

Marszałkowa niecierpliwie podstąpiła ku niemu.

— A, jakżeś panie stanowniczy, długo na siebie czekać kazał! — zawołała.

— Pani marszałkowa przebaczy — suchym, nieco ochryplym głosem ozwał się przybyły — musiałem być przy pożarze... tylko co powróciłem.

— Słyszana to rzecz — mówiła żywo pani Mniszchowa, żeby teraz właśnie, gdy król tu mieszka, mogły się zapalić kramy! Pan wiesz, jak N. Pan jest wrażliwy.

— Ależ pożar do mieszkania J. królewskiej Mości dojść nie mógł na żaden sposób — odparł stanowniczy.

— Niemniej król się przestraszył, a czule jego serce musiało na tem ucierpieć — ciągnęła pani marszałkowa — ucierni i kieszeń, bo król do zbytku jest dobroczynnym. Kto wie, jaki to wpływ wywrze na jego zdrowie...

Ruszyła ramionami.

— Ale któż z nas co temu winien? — szepnął Szuszkowski i ramionami ruszył — ani ja, ani...

— Wszyscy, wszyscy; pan, ja, my... wszyscy, powiadam panu — gorąco odezwała się pani marszałkowa — bośmy wszyscy nocą i dniem czuwać, strzedz, pilnować powinni. Cóż za przyczyna pożaru?

— Któż ją wie! W żydowskie rupiecie padła iskra, może, z pozwoleniem, baba garnek z węglami nieostrożnie wysypawszy zarzewie, w budzie zamknęła.

Wyrażenie „z pozwoleniem, baba”, nieprzyjemnie zatętniało w uszach marszałkowej, która się zżymnęła, lecz musiała je „prostej kondycyi” człowiekowi przebaczyć, bo pan Szuszkowski, choć szlachcic, w obliczu marszałkowej był bardzo prostym człowiekiem. Gdyby nie konieczność, aniby się z nim nawet zadać, mówić i zbliżyć raczyła.

Szuszkowski nie umiał po francusku... ale na wierność jego dla króla, na poświęcenie jego dłań, na dyskrecję wreszcie rachować było można, w tym względzie był nieoszaczanym i stawał się niezbędnym.

— Pożar ugaszono, szkoda nie tak znowu wielka, dodał stanowniczy.

I ręką w powietrzu zamachnął, a oczyma w mroku szukać się zdawał wejrzenia pani Mniszchowej, aby z niego odgadnąć, po co został wezwany; mimo bowiem kłocowatej powierzchowności, Szuszkowski przebiegłym był niezmiernie i łatwo się domyślał wszystkiego.

Milczący, niepozorny, zimny, był to najniebezpieczniejszy dworak i intrygant, choć pod tą skorupą niktby go był o to nie posądził.

Pani marszałkowa nie spieszyła z zapytaniem nowem, choć Szuszkowski niby nieznanie, ale z intencją spojrział na zegarek, który był darem króla J. Mości.

— Nie spiesz się, panie stanowniczy — odezwała się po chwili, odchodząc ku oknu — mamy z sobą do pomówienia o rzeczach ważnych. Wiem, że na was rachować można, wiem, iż do kochanego naszego pana przywiązani jesteście.

— A, to pewno! — mruknął Szuszkowski *à parte*.

— Pan widzieć musisz, jak ja — dodała, powracając od okna znowu, jakby nie wiedziała co z sobą zrobić, marszałkowa — pan sam to musisz widzieć, że król nasz kochany się nudzi.

Szuszkowski podniósł głowę nieco zdziwiony.

— Ale tak jest, ja go znam od dzieciństwa, ja w jego twarzy czytam jak w książce otwartej; król się nudzi!

— N. Pan się męczy — poprawił Szuszkowski — o, co to, prawda.

— Właśnie dlatego czemś go rozzerwać koniecznie potrzeba — kończyła pani marszałkowa.

— Toć na rozrywkach nie zbywa, na odwiedzinach też, na ludziach najmniej... Muzyka, gorgi, bilard, czytanie i tacy mądrzy towarzysze jak IMks. biskup Naruszewicz, tacy zabawni jak podkanclerzy, tacy dowcipni jak pan starosta Mielnicki...

— Dajże mi waćpan z nimi pokój. Wszyscy aż do Littlepage już się królowi przejedli. Król czegoś nowego potrzebuje.

Odkaszlnęła pani marszałkowa, spojrzała na Szuszkowskiego, którego siwe oczy w mroku błysnęły. Ruszył ramionami. Zbliżyła się doń bardzo, oglądając do koła.

— Pan mnie rozumieć nie chcesz...

Szuszkowski chwilę milczał, jakby myśli zbierał i słowa ważył.

— Pani marszałkowa przebaczy... jakoś istotnie wyrozumieć nie mogę, o co idzie. Boć rozrywki są różne, a na tych co je wymyślają, nie brak.

— Waćpan mnie rozumieć bo nie chcesz! — powtórzyła, wedle zwyczaju swego nogami tupiąc, pani Mniszchowa.

Szuszkowski się uśmiechnął.

— E! — rzekł — choćbym zrozumiał, to nie poradzę. Nie mam co w bawełnę obwijać. Pani marszałkowa mi daruje (powtórzył to już raz trzeci, jakby z nałogu), N. Pan nasz czasem bywa nie do rozbawienia i nie do rozerwania; kto może zgadnąć, czem go poruszyć? Niekiedy dzieciństwo go zajmie, a innego dnia, choćby mu... (tu się zakrztusił) choćby mu z chmur bóstwo zstąpiło, ziewaniem je powita.

— Przecież, panie stanowniczy, zdajesz się odgadywać myśl moją — przerwała pani Mniszchowa. Bóstwo! tak, bóstwa właśnie potrzeba... ale nie z chmur, nie z chmur.

— Tego tu jest dosyć — uśmiechnął się Szuszkowski.

— Wszystko to znane twarze, które nie robią na nim wrażenia, panie stanowniczy; jego biednego, tego naszego męczennika, bawi tylko nowe, tylko świeże, tylko...

Stanowniczy ręką się po brodzie pogładził.

— Już to pan starosta — szepnął cicho — Esterkę był wyszukał i pokazał, wcale nieszeptną, ale gadać nie umiała.

— A cóż to było, bo waćpan wszystko naturalnie najlepiej wiedzieć musisz, z tą pozawczorajszą przejażdżką i odpoczynkiem w tej chacie? — po cichu zagadnęła marszałkowa. Cuda prawią.

Szuszkowski jak gdyby mówić nie chciał, z nogi na nogę parę razy przestąpił i cmoknął.

— Mówże mi pan szczerze.

— Nie ma mówić o czem... to daremne zachody, niepotrzebne bałamuctwo.

— Ale mówią, że król powrócił w takim usposobieniu, tak ożywiony, tak promienisty, jak go nie widziano dawno. Śpiewał nawet, chodząc po bilardowym pokoju. — Siadaj, panie stanowniczy, siadaj — nagle opamiętawszy się, że go na nogach trzymała, poczęła marszałkowa, i sama zajmawszy miejsce przy oknie, wskazała na przeciw siedzenie Szuszkowskiemu. Mów mi pan otwarcie, ja nie mam dzieciennych przesądów. Król dla mnie wszystkim... jemu wolno, co drugim byłoby zdrożnem. Pan mnie rozumiesz. Śmieszneby było się wzdragać, gdzie należy służyć i pomagać. Dla króla wszystko.

Stanowniczy usiadł na brzeżku krzesła, dobył tabakierki, popatrzał na nią i odetchnął ciężko.

W tej chwili jakby dla obudzenia ochoty do poufalszych zwierzeń, pani Mniszchowa coś w rękę gościa wcisnęła.

Ręka ta niby się chciała cofnąć, potem skurczyła konwulsyjnie i weszła do kieszeni, a głowa skłoniła się z dziękczynieniem.

— Ja to wszystko lepiej pono wiem — odezwał się zmienionym nieco, poufnym jakimś głosem stanowniczy — lepiej niżeli pan starosta Mielnicki, który też szpieguje krok każdy. To moje rzemiosło, a król dla mnie jeden człowiek na świecie. Ani żony, ani dzieci, ani żadnej rzeczy, która jego jest, nie mam... jego kocham i wielbię.

— A któżby go nie kochał i nie uwielbiał! — potwierdziła pani marszałkowa.

Westchnęli oboje *unisono*.

— Jakże to było, panie Szuszkowski? — zapytała pani Mniszchowa.

— Ja tu tak dalece teraz nie mam co robić — mówił stanowniczy — kwatery wyznaczywszy zrana, cały boży dzień mógłbym drzemać lub ziewać. Ale to już nie w mojej naturze. Człowiek się do ruchu urodził; gdy robić nie ma co, przynajmniej włóczy się a patrzy. Dni temu z pięć, przychodzi do mnie Zużel, furyer stary. Pani marszałkowa może go kiedy widziała, bo był z królem w Wiszniowcu.

— Ale go nie pamiętam.

— Stary, ogromny, siwy, wąs po pas, a mimo to — ciągnął Szuszkowski — z pozwoleniem pani, tylko za kobietami patrzy. W podróży ledwie na parę godzin staniemy,

już on zwietrzył gdzie białe liczko i pewnie tam siedzi. Otóż przychodzi Żużel do mnie i powiada: Panie stanowniczy, jeszcze jak żyw tak urodziwego stworzenia nie widział, jak wczoraj. A ja w śmiech, bo jemu aby co młodego, każda u niego piękna.

Marszałkowa ze spuszczonej oczyma słuchała, ale tok rozmowy ją nie zrażał. Cel uświęcał środki.

— Daj ty mi pokój ze swemi ukraińskimi pięknosciami — rzekłem. Wyglądają wszystkie jak murzynki. — A no, zobacz no pan Bondarywnę — odparł — chodzą na nią ludzie patrzeć jak do cudownego obrazu, bo to osobliwość taka piękność w chacie ukraińskiej. Tylko że tam przystęp trudny.

Roześmiałem się znowu, ale jak mi począł opowiadać a przysięgać, że to warto choć zobaczyć raz w życiu, obudził moją ciekawość. Począłem rozpytywać, gdzie i jak tego cudu szukać, i dowiedziałem się, że na drodze do Spasa stoi chata za miastem, a w niej mieszka bogaty chłop, Ukrainiec, którego Bondarem zowią, choć nie robi beczek, i że tam ta piękność się kryje. Zapowiedział mi tylko Żużel, że tam przystęp trudny, bo kozacza natura butna i wcale na suknię i państwo żadne względu nie ma.

Dobrałem tedy chwili wolnej, i przypasawszy szablę a kij wzięwszy do ręki, udałem się wedle wskazania na drogę do Spasa. Chatę mi łatwo było znaleźć, ale stała zaparta, nikogo koło niej.

Po budowie i obejściu znać było zamożność gospodarza. Chata świetlana i porządna, obielona i posmarowana, okna w niej spore, obory i stajnie, ogród co się zowie. Ubogiemu szlachcicowi nie wstyd w niej mieszkać, gdyby ganek miała.

— Siadłem z dala na murawie, rozmyślając, jak się to tam dostać, bom także Bondarywnę sławną chciał widzieć; a już mi o niej po Żużlu nagadali inni, którzy ją widzieli, gdy do cerkwi przychodziła. Dworscy nasi latali za nią jak poszaleli, lecz odchodzili, napasłszy oczy, ze spuszczonymi nosami. Ani było przystąpić do chaty. Pomyślałem sobie, że mnie staremu ujdzie pono pójść o wodę poprosić. Podszedłem tedy, próbuję drzwi — zaparte. Pukam.. i w oknie się pokazała głowa kobieca w białej chuście i znikła. Pukam znowu — przetworzyły się nieco drzwi; stara, z pozwoleniem baba, nos wystawiła i mruczy po rusińsku:

— A czego tam?

— Wody proszę. Popatrzyła na moją twarz, na suknię i puściła drzwi; wszedłem tedy za nią. Sień była bez podłogi, to prawda, ale przestąpiwszy próg do izby, w której nie było nikogo, poznałem, że gospodarz bardzo zamożnym być musiał. W izbie czystusieńko; stół i ławy porządne, umieciono, osmarowano, obrazy złociste w kącie, i lampa przed nimi. Na stole nakrycie białe, chleb i nóż. U drzwi wiadro i czerpak. Wymysłów tam wielkich nie ma, ale czuć dostatek. Baba, co mi otworzyła, ogromnego wzrostu, dumnej postawy, zmierzyla mnie oczyma, w milczeniu wody zaczerpnęła z wiadra i podała. Pić mi się nie chciało, ale musiałem. Poprosiłem tylko o pozwolenie, żeby przysiąść na ławie. Postawiłem kij i nieopodal od okna przycupnąłem, rozpatrując się. Baba naprzeciw mnie stanęła, ręce założyła na piersiach i słowa nie mówiąc, zdawała się czekać. Piłem powoli, odpoczywając naumyślnie; a nuż się zjawi owa piękność, albo rozmowę zawiązać się uda. Począłem ni to ni owo, ledwie mi odpowiedziała. Jużem był prawie zdesperował, żeby mi się mej ciekawości dogodzić udało, gdy od alkierza drzwiczki popchnięte, otworzyły się z trzaskiem i w progu stanęła dziewczyna, zdziwiona i jakby niepewna, czy iść dalej, czy się wrócić? Oczy podniosłem i oczom mi się wierzyć nie chciało — pani marszałkowo, dobrodziejko.

Uśmiechnęła się pani Mniszchowa.

— Cóż tedy? — spytała.

— Co? choć przed nią klękać! — zawołał Szuszkowski. Tajemnica natury, jak się co podobnego w prostej chacie chłopca urodzić i wyrosnąć mogło. Bóg widzi, nie przesadzam, pani marszałkowo, chyba opisać nie potrafię.

— Istne чудо! co? — szepnęła niedowierzająco pani Mniszchowa.

— Tak jest, чудо, słowa nie tracąc — mówił Szuszkowski — чудо. Biała jak lilia, smukła jak topola, oczy czarne jak dwa dyamenty, a rzęsy nad nimi! a brwi jak dwa łuki, a usta malinowe, a...

— Wstydyż się, panie stanowniczy — śmiejąc się przerwała marszałkowa — przecie nie młody jesteś, a w Warszawie wiele pięknych widzieć miałeś zrzeczność.

— A, gdzie! Tomatys, Bacciarelli, Lullier, jak dawniej było... wszystko to w kącie, jak Bóg miły — zapalając się nieco, mówił Szuszkowski. Piękne one, nie przeczę, ale to wszystko powiędłe, wątłe, a w tej dziewczynie, z pozwoleniem, przy tej krasie takie życie, taka siła... aż mi się amazonki przypomniały. A, piękna! osłupiałem. Matka widząc to, z politowaniem spojrzała na mnie i usta sobie ręką i fartuchem przysłoniła, aby się z mojego osłupienia nie roześmiać. Boć było z czego. Dziewczkę też popatrzało na mnie trochę, a potem nagle furknęło do alkierza, śmiejąc się do rozpuku, i drzwi za sobą zatrzasnęło. Postawiłem czerpak z wodą i wstałem. Hej — rzekłem do starej — a toć chyba przebrana królewna!

— Nie, to moja rodzona donia — odezwała się kiwając głową. Pan Bóg mi ją dał, a powietrze ukraińskie taką hożą wykarmiło. Na psa urok! I plunęła czegoś.

— Można wam powinszować — rzekłem. Jakże waszej królowej imię?

— Natałka — odparła dumnie baba — ano ją ludzie Bondarywną tylko nazywają, i na okół na dwadzieścia mil znają to cudo, gołąbka mojego kochanego.

— Dajcież mi się staremu choć popatrzeć dłużej na nią, odezwałem się. Baba rozśmiała się, ramionami ruszając.

— Idźcie z Bogiem — rzekła. Wodyście się napili, oczy uradowali, na ławce spoczęli, to i dosyć. U mnie córka nie na to, aby ją pokazywała.

— Chciałem w żart obrócić rzecz i dukatem położonym na stole przekupić starę, ale mi go rzuciła pod nogi rozniewana, i musiałem za drzwi wyjść markotny. Aliści, gdy już je za mną rygłowała, a jam się oglądnął jeszcze, okno się otworzyło i Bondarywna w niem siadła, śmiało patrząc mi w oczy. Znać rozmowę z matką słyszała i chciała się przedemną popisać z pięknnością.

— Kokietka! — mruknęła pani Mniszchowa.

— A któraż kobieta, z przeproszeniem pani marszałkowej, nią nie jest? — odezwał się głos zniżając Szuszkowski. Moja przygoda na tem się skończyła.

— Czyście wy o Bondarywnie królowi co szepnęli? — po cichu spytała marszałkowa.

— Ja?... ani mi się śniło — żywo odparł stanowniczy. Ja w tych sprawach delikatnych (tu zniżył głos) nigdy nadaremnie kroku nie robię, żebym N. Pana drażnił, nie będąc pewien sukcesu. Z Bondarywną, jestem przekonany, choćby wiedzieli, iż sam N. Pan zaszczyca ją swym afektem, nie ma co poczynąć. Król się rozmarzy, z tego wszystkiego nic nie będzie i w zysku utrapienie.

— Ale król tam był, król tam był! Król tam przeszło pół godziny siedział i posłał jej sznur korałi, ja wiem. Któż to zrobił, kto ukartował? Jestem niezmiernie rada, ale nie mniej zazdrośna, i chciałabym wiedzieć. Przyznaj się waćpan, panie Szuszkowski.

Stanowniczy krok się cofnął.

— Nie wypierałbym się, gdyby tak było — rzekł — lecz powtarzam, ja się do tego mięszać nie chcę, bo ludzi trochę znam i wiem, że z tego wyniknie tylko utrapienie i niepotrzebna gadanina. Daremna rzecz, tu u nas na dworze nic a nic się nie utai. Długie języki... najlepsi przyjaciele króla JM. zdradzają.

— Cóż to znowu tak straszego — przebaknęła marszałkowa — więc choćby i gadano, to cóż? Czyż znękanemu rządami, panowaniem, dźwigającemu na ramionach cały ciężar losów kraju, nie byłoby wolno się rozerwać? I o kogoż idzie? o prostą kozaczkę! Toć śmieszne.

Pani Mniszchowa poczęła chodzić po pokoju. Szuszkowski milczał i machinalnie rękawy sukni gładził, wyciągał i poprawiał.

— Więc któż królowi wskazał chatę, powiedział o Bondarywnie? — spytała marszałkowa. Jak waćpan sądzisz?

— Nic nie wiem — rzekł Szuszkowski — na uczciwość nie wiem.

— Ale się choć domyślasz?

— Ani to nawet — dodał stanowniczy. Możnaż odgadnąć, kto się N. Panu chciał przypodobać? Od Żuźła począwszy do pana starosty... wszystko możliwe, a i traf też.

— Traf być nie może! — zawołała pani Mniszchowa.

— To już nie wiem — zakończył Szuszkowski — a tyle tylko rozumiem, iż się ja do tej sprawy mięszać nie będę.

— Dlaczego?

— Bo znam ten lud i jego usposobienia — dodał stanowniczy. Król JM. się rozmarzy, jak to mu, z przeproszeniem pani marszałkowej, nie trudno.

Pani Mniszchowa ramionami ruszyła.

— Nie rozumiem waćpana — rzekła po cichu. Zbyt sobie wielką sprawę robisz z prostego dziewczęcia chłopskiego.

Szuskowski głową pokiwał. Marszałkowa poczęła się niecierpliwie przechadzać po pokoju.

— Proszę was — rzekła, podchodząc ku niemu — wywiedz się bliżej o bytności króla w tej chacie i kto to sprawił. Ja to wiedzieć potrzebuję.

— Dowiedzieć się mogę — odezwał się stanowniczy — ale pomagać nie będę, potwarzam jasnej pani. Znam ten lud; buta okrutna.

Rozmowa, w której obie osoby niezupełnie były szczere i wypowiedzieć myśli swych się wahały, byłaby może pociągnęła się dłużej jeszcze, choć w pokoju ciemno się robić zaczynało, gdy drzwi się otworzyły i paż królewski przyszedł oznajmić, że król JM. wzywał panią marszałkową na pokoje.

Szybko szepnąwszy coś Szuskowskiemu, który się skłonił i odszedł, pani Mniszchowa zadzwoniła na służącą i poprawiwszy fryzurę, w chwili potem siedziała przy klawikorcie, otoczona słuchaczami.

Dnia tego, cudem jakimś, nie było gości z Kijowa, nikt nie przyjechał, kresy z Warszawy nie nadeszły, korespondencyi pilnych nie było, muzyka nie trwała długo, czytanie Tauryki ks. Naruszewicza nie zdawało bawić się N. Pana, i w chwili gdy podano wieczerzę, król się jak zwykle, uśmiechem pożegnawszy swych gości, cofnął do swojego pokoju.

Jeszcze się kolacya nie skończyła, gdy paż szepnął panu staroście mielnickiemu, że król go do siebie prosi. Starosta, który właśnie wysączał kieliszek węgryzna i zdawał się w nim smakować, równie jak w wesołej rozmowie z generałem Komarzewskim, dopił wina szybko, namarszczył się trochę, ale wstał i otarłszy usta serwetą, powolnym krokiem powlókł się dosyć niechętnie ku królewskim pokojom.

W pierwszym z nich nie znalazł nikogo, w drugim świeciła przysłoniona lampa alabastrowa. Król Stanisław siedział w fotelu, na pół rozebrany, narzuciwszy na siebie niebieski szlafrok jedwabny, podbity leciuchnem futerkiem.

Starosta wszedł do gabinetu krokiem człowieka, który jest pewnym, że zostanie dobrze przyjęty, wykluwając zęby maleńkim sztylcikiem ze słoniowej kości, dobytym właśnie z kamizelki.

Pan starosta mielnicki był człowiekiem w sile wieku, bardzo pięknej postawy, budowy olbrzymiej niemal, twarzy przystojnej, ale wszystko w nim wydawało hulakę. Chód, wejrzenie, mowa, ruchy, postawa zaniedbana, miały w sobie coś żołniersko-rubasznego. Umiał być dworakiem w potrzebie, choć natura stworzyła go raczej na myśliwca, siłacza i wesołego kuma. Nawet przy królu, z którym był na bardzo poufalej stopie, nie umiał się zmusić do przyzwoitego zachowania. Słów nie cedził, przymilać się bardzo nie lubił, chyba do kobiet. Nie obawiał się ani ludzi ani niedźwiedzi, i z obojgiem szedł chętnie w zapasy. Walka i wesoła biesiada były dlań najupodobańsze, a w dodatku gra namiętna. Otwarty do zbytku, cyniczny często, starosta mielnicki miał wszystkie wady i cnoty charakterów tego rodzaju. Rzucał pieniędzmi i uczuciami, nie wahał się życia stawiać; po swojemu honor rozumiał, płaszczyć się nie potrafił, lecz nie pojmował oporu w ludziach przeciwko sobie. Był mocno przekonany, że świat dla niego został stworzonym, z naiwnym używał go egoizmem, pewien, że miał prawo do tego.

Król go kochał, słabym był dlań, a że starosta dość miał energii, ulegał mu, bo się go po troszę obawiał nawet.

Jedno spojrzenie na Stanisława nauczyło przybyłego, że powinien go być rozerwać czemś się starać. Król był zmęczony, smutny, roznerwowany.

— Stawię się na rozkazy — rzekł po żołniersku salutując żartobliwie, starosta.

— Siadaj, mój drogi, siadaj — odparł król. Nudno mi było, ty mię może rozerwiesz, a przynajmniej nie dozwolisz, aby mną czarne myśli owładły.

Starosta siadł wygodnie na kanapce, nogę na nogę założył, rękę jedną do góry podniósł nad głowę i w takiej postawie słuchał zamyślony.

— Nie uwierzysz, jak ja jestem nieszczęśliwy — dokończył król i westchnął.

— Ale wierzę, wierzę, bo W. kr. Mość wieczerzy nie jesz i wina nie pijesz, *et sans soupers il n'y a pas de bonheur sur la terre* — rzekł starosta — to dowiedziona rzecz.

— Balamut z ciebie — ciągnął Stanisław August — balamut! Ty nie zestarzejesz nigdy.

— Niech mnie Bóg od tego strzeże! — przerwał starosta.

— Zazdroszczę ci, naprawdę ci zazdroszczę — mówił król dalej. Nie wiesz, co to jest być królem, a jeszcze w takim jak nasz kraju. Gdybyż choć na chwilę można o tych złotych kajdanach zapomnieć i ciężar zrzucić z karku; ale purpura ściga i mści się, mój starosto. Jest to szata Dejaniry.

— Cóż się stało? — zapytał starosta. Mnie się zdaje, że W. kr. Mość miałbyś prawo właśnie w tej chwili się cieszyć; wszystko idzie po myśli, nawet nieprzyjaciele przychodzą do opamiętania.

Król ręką rzucił.

— Pozwól mi na chwilę o nich zapomnieć — rzekł — wszystko to dręczy mnie, wyczerpuje, nuży, a nic nie bawi. Pragnąłbym się czemś odświeżyć.

— N. Panie, nie ma na to innego lekarstwa, tylko się zakochać na dni kilka. Ale w kim?

Spojrzał bystro i szydersko.

— Dodam — rzekł, że dla odmiany trzebaby szukać przedmiotu nie w tych sferach, w których wszystko jest znane i oklepane, gdzie się z góry wie poczynając miłość, którego dnia i jak się ona zakończy.

Król się zarumienił i zmieształ, popatrzał na starostę.

— Słuchaj, ty niepocziwy już o czemś wiesz. Przyznaj się! — zawołał żywiej.

— A jakże, N. Panie — dosyć obojętnie począł starosta. Wiem, że w ciągu samotnej przechadzki na spaskiej drodze trafiła się chata, żeś W. kr. Mość zaszedł do niej spocząć i wody się napić, że ją podała piękna jak Hebe Ukrainka i że jej obraz utkwiał w pamięci królewskiej.

Uśmiechnął się Stanisław August.

— Czy już o tem plotą? czy już wiedzą? toby było fatalnem. Zaprzecz temu, starosto. To nie ma sensu. Nie chcę, aby o tem mówiono.

— Zabronić i przeszkodzić trudno, ale nie ma co dbać o to — rzekł starosta. Pomiędzy królem a dziewczką ukraińską zbyt przestrzeń wielka, aby kto W. kr. Mości nawet o fantazyę posądził. Ludzie pogadają i ustaną.

Spojrzał na króla szydersko.

— Widziałeś ją, panie starosto? — zapytał cicho Stanisław — to istne cudo, to kwiat tej bujnej ziemi tak osobliwy, tak nadzwyczaj piękny, tak czarujący.

— Jeszczem jej nie widział, alem ciekawy bardzo — mówił starosta — domyślam się jednak, że znudzonemu N. Panu świeżość i młodość starczyła za piękność istotną, bo w prostej dziewczynie zkądby się znowu wziąć miała taka krasa?

Król podniósł się na krześle i pochylił ku mówiącemu.

— Ale waćpan nie masz pojęcia — zawołał z ogniem. Nie chłopska to piękność, choć silna i bujna; piękność posągu greckiego. Egzaminowałem okiem znawcy wszystkie kształty. Najszlachetniejsza w świecie krew; nóżka, powiadam ci, maluśka, drobna, rączki przedziwnych kształtów, kibić zachwycająca, popiersie bogini Guida, a co za wyraz w tych oczach!

Starosta śmiać się począł.

— I w dodatku lat piętnaście.

— Mylisz się, dziewiętnasty zaczęła; pytałem o to, choć nie wygląda na szesnaście. Znać się tu późno i powoli rozwija to plemię — mówił król z zajęciem wielkiem.

— A głupiutkie to być musi — wtrącił starosta.

— Ani odrobinę nie głupsze jak nasze panie — przerwał Stanisław August — owszem spryt z oczów jej patrzy, na czole rozum. Nie umie po francusku, nie czytała Voltaira, ale ówby sam staruszek Fernejski zachwyił się tą perlą ukraińską.

Starosta śmiał się coraz głośniej.

— Prawda, masz słuszność — począł król — sam to czuję, śmiesznym się staję z tem mojem uwielbieniem dla piękności, alem się urodził artystą. Nie mogę chłodno patrzeć na arcydzieło arcy mistrza, na twór bożej ręki.

— Czy ją weźmiemy z sobą do Warszawy? — spytał starosta niedbale — boć dla samego Bacciarellego by się przydała jako model do obrazu i w mieście prędkoby się ukształciła. A kto wie, jakieby ją tam szczęście spotkać mogło. Wydaćby ją tylko trzeba za jakiego poczwiwego gapia i męża wysłać do Konstantynopola.

— Nie żartuj — rzekł król — lepszego losu jest warta, a zdaje mi się, że żadnego i najświetniejszego nie przyjmie. Chcę, byś ją zobaczył. Pewien jestem twej dyskrecyi, pójdziesz tam ze mną jutro.

— Za ten zaszczyt mocno jestem wdzięczen — odpowiedział starosta — ale nuż na mnie także uczyni wrażenie. W. kr. Mość nie będziesz zazdrośnym?

Król zamilkł chwilę, jakby nie słuchał lub nie słyszał. Zadumał się.

— Ona budzi we mnie zajęcie wcale innego rodzaju, niż sądzisz — rzekł. To fenomen do obserwacji.

— A, a! — śmiał się gość królewski.

Stanisław August wstał z krzesła.

— Nie ma większej niewoli nad kajdany panowania — zawołał jakby sam do siebie. Otoczeni jesteście szpiegami, kroku swobodnie uczynić nie można. To okropne, to nudne, to nieznośne!

— Abdykujmy — rzekł starosta.

Melancholicznie król nań spojrział.

— Dawno się z tą myślą noszę — odparł wzdychając. Wyjechać do Włoch i tam pod tym pięknym klimatem, w ciszy, zajmując się sztuką, uwielbiając arcydzieła, dokończyć skołatanego żywota. Tęby był raj.

— Którybyś W. kr. Mość z panią generałową siostrą swoją, podzielać musiał — szepnął starosta szydersko.

Wspomnienie generałowej zdało się króla wytrzeźwiać.

— Niewątpliwie — dodał sucho — uczucia i obowiązki, jakie mam dla niej, naruszonymi być nie mogą.

— A piękna Bondarywna? — niedosłyszany, pełnym sarkazmu szeptem wtrącił starosta.

Na to nie było odpowiedzi. Król był zamyślony.

— Co to za szkoda — odezwał się — że pod ręką nie mam nikogo. Chciałbym ją malować kazać. Uczyni mi tę przysługę, nieznacznie postaraj się sprowadzić Plerscha. Maluje właśnie w Wiszniowcu kopie z tych ogromnych, mazanin, wystawiających historię Maryny. Cesarzowa się o nich od kogoś dowiedziała i mieć je zapragnęła.

Ruszył ramionami.

— Historycznie to coś warto, ale malowanie, pozał się Boże! — dodał król. Plersch mógłby tę robotę na jakie dni kilka porzucić i odmalować mi tę śliczną Ukrainkę. Takich twarzy mało jest na świecie, a wprędce to zwiędnie. Niechby choć na płótnie pamięć po niej została.

— O Plerscha najłatwiej, rzekł Szydłowski; powiedzieć pani Marszałkowej, każe go pod ciupasem dostawić natychmiast, bo nie ma nic do odmówienia W. kr. Mości...

Z pewnym przekąsem wyrzekł te wyrazy starosta, król bystro nań spojrział i przekąsu nie chciał zrozumieć, dodając prędko:

— Kochana marszałkowa w istocie jest najmilszą z siostrzenic moich, ale niemniej kobietą; nie wytrzyma, żeby o tem nie powiedziała komu co na ucho, a tego ja nie chcę..

Szydłowski się uśmiechnął.

— Plerscha dla samych tabakierek z portretami, które W. kr. Mość tak hojnie rozdajesz, sprowadzić by należało, więc podejrzenia nie będzie. Zobaczmy wypadkiem piękną Ukrainkę i jako malarz, zdejmie sobie jej konterfekt na wzór kochanki Pygmaliona...

Zadumany król nie odpowiedział nic... a starosta sądząc, że się rozmowa skończyła, wstał z kanapki, — pilno mu było wrócić do kieliszka i rozmowy, — ziewnął bez ceremonii.

— Cóż to ci tak pilno? spytał król chłodno — starosta usiadł znowu, ale głowę podparł na rękę, jak by był bardzo znużony.

Oba razem westchnęli i spojrzeli sobie w oczy. Poniatowski wzdrygnął się niby od dreszczu, — wieczór wiosenny był dość chłodny — i otulając szlafrokiem padł na krzesło.

— Okropne życie, począł pólglósem — panowanie ma chwile miłe i upajające, to prawda, ale je drogo opłacać potrzeba — wierzaj mi, mój drogi, na bok odłożywszy ambicję, ani warto ono tego, co się za nie płaci. Panujemy, ale niewolnikami jesteśmy, ani dnia ani godziny nie mamy swobodnej. Wymagania, obowiązki, zwyczaje, żelazną ścisłą obręczą — uśmiechać się musimy, gdy się najbardziej chce płakać — całować, gdyśmy uderzyć powinni, a do koła fałsz, obłuda, pochlebstwo...

— Stare dzieje — przerwał ziewając znowu Szydłowski, wiemy o tem dawno, przecież śmieje się każdemu ta łaźnia, o której jeden z poprzedników W. kr. Mości powiedział, że się najmocniej poci, kto w niej najwyżej siedzi.

— I miał słuszność, mówił król — bo nam ludźmi być nie wolno, posągami być trzeba i stać okurzani kadzidłem, na niewygodnym postumencie.

— A co najgorzej, uśmiechnął się Szydłowski, nie można, gdy się zechce, pójść *incognito* do pięknej Bondarywny...

Król się rozśmiał, ale jakby z przymusem i dla uznania dowcipu pana starosty...

— Proszę cię jutro ze mną... ale we dwu *solo basso*, we dwu tylko — będziesz mi adjutantował, pójdziemy po obiedzie. Nikomu o tem ani słowa...

A teraz — dobranoc.

Szydłowski wstał żywo, skłonił się nisko i daleko spieszniejszym krokiem podążył do drzwi, niż wprzód od nich do kanapki; — król już dzwonił na starostę Piasoczyńskiego.

Szydłowski nie zastał nikogo w pokojach; wieczerza była skończona, trzech tylko opóźnionych graczy, a między nimi podkanclerzy, grało jeszcze w bilard i nie uważało, gdy się przesunął, tak swą grą byli zajęci.

Starosta mieszkał z innymi w nowej oficynie, w której miał apartamencik, jak na Kaniów, bardzo przyzwoity. Stał obok niego generał Komarzewski. Gdy Szydłowski do swojego wszedł pokoju, zapukał doń przez ścianę.

Kaszlnieniem mu odpowiedziano. Ściany były drewniane i cienkie, tak, że rozmawiać przez nie wybornie było można.

— Czy już do snu, jenerale?

— Gdzież tam; listy jeszcze do pisania.

— Mam dwa słowa...

— Proszę.

Szydłowski zawrócił się w korytarzu i otworzywszy drzwi, zajrzał do Komarzewskiego, który nad stołem papierami zarzuconym już siedział. Dwie świece woskowe paliły się na nim i oświecały silnie piękną, myślącą i pogodną twarz jenerała.

— *Quid novi fert Africa?* — śmiejąc się zapytał Komarzewski. Czy co przyszło z Kijowa?

— O niczem nie wiem — odparł starosta — alem się was chciał spytać, co to królowi? Zajechała mu w głowę jakaś piękność ukraińska. Proszę cię!

I począł się śmiać serdecznie, trzęsąc ramionami.

— A! a! cóż dziwnego? jabym się już w starej pomywacze zakochał z nudów, siedząc tu na tym nie partykularzu, ale istnej pustyni. Król jest rzeczywiście godzin politowania, wiele mu przebaczyć należy, a przytem — artysta! artysta! To jego natura. Dobry i rozumny, nasz pan urodził się na malarza lub rzeźbiarza... powołanie chybione. Wszędzie widzi piękność naprzód, a przez nią dopiero i po niej resztę. Część piękna stanowi jego życie.

— A szczególnie część piękna niewiasty — dodał Szydłowski.

— Bo kobieta jest na ziemi najwyższem uosobieniem piękności — rzekł jenerał.

— Na nieszczęście równie go prędko piękność nuży, jak zapala.

— Inaczej być nie może — tłumaczył Komarzewski. Odkrywa w niej makulę i — część się zmienia w politowanie, a któraż piękność jest doskonałą? Jeśli cielesny wdzięk bez wady i plamy, to duszy braknie, gdy dusza promienieje, ciało jej nie odpowiada; wreszcie oboje prędko starzeją, bo się człowiek psuje i uwielbienie ustać musi.

— Tej teorii musiałeś się od angielskich filozofów nauczyć, jenerale — począł śmiejąc się Szydłowski.

— Po trosze, nie zapieram się tego.

— Ale, nie marnując czasu, któż u kaduka podstawił tę Bondarywnę?

Komarzewski ostro spojrział i papiery, które machinalnie przewracał, położył na stole.

— Ja nie wiem, spytajcie o to Ryxa.

— Śmiech mię bierze — szepnął starosta. Król jak młodzik się unosi. Począł mi ją opisywać, tak żem ledwie nie parsknął. Stary piec... dyabeł w nim pali.

— A! mój starosto, dajcież mu pokój. Kto z nas bez winy, niech kamieniem rzuca. Czemużby życie było bez kobiety? Jak można mieć za złe umęczonemu panu, że szuka jakiejś osłody i rozrywki. A wy? a ja? a on? a my wszyscy? czyśmy lepsi?

— Tak, tak, tylko że na nas nikt nie patrzy, a jego to śmiechem okrywa, jeśli nie gorzej — zawołał Szydłowski. Wiecie, że ja go jak wy kocham; gdyby nie był królem i godziło się, powiedziałbym, żem jego przyjacielem. Życie bym za niego dał. W tej chwili, mój jenerale, gdy tyle oczów patrzy, gdy szpiegów pełno...

Popatrzeni na siebie. Szydłowski się okręcił na pięcie

— Dobranoc.

I tak rozmowa została przerwana.

W Kaniowie wprawdzie dzień urzędowniczy kończył się na pokojach około dziesiątej, lecz po odejściu króla, gdy wszyscy byli swobodni, zaczynały się najczęściej dopiero odwiedziny po dworach, oficynach i kwaterach, wieczery, gra, podkurki, rozmowy, schadzki. W tym dniu mniej jeszcze pilno było do snu wszystkim, gdyż pożar w miasteczku obficie zasiliał rozmowy. Było oprócz tego wiele do opowiadania z listów, które odbierano z Kijowa, o tamtejszych przyjęciach, fetach, darach i rozmaitych odznaczeniach, z których jedni się cieszyli niepomiernie, drudzy gryźli niemi bez miary.

W mieszkaniu pani marszałkowej świeciło się szczególnie długo w oknach, wchodziły i wychodziły zamtąd różne postacie, a piękna pani, mimo zmęczenia i oczów, siadła jeszcze list pisać do matki, która z ks. Renaud i całym swym dworem odbywała naówczas pielgrzymkę do źródeł Vaucluzy i część oddawała ceniom Petrarce i Laury. Był to wiek, który Heloizę i Abeillarda, Laurę i Petrarce, wszystkich wiernych kochanków nadzwyczajnym uwielbieniem czcił i sławił dlatego może, iż sam wiernym żadnemu uczuciu być nie umiał i zmieniał afekta swe, jak suknie dworskie, co dnia prawie.

W listach swoich do matki, pani marszałkowa opisywała intryżki kaniowskie, a matka odpłacała się jej wrażeniami podróży. W jednych i drugich pełno było czułości dla króla, którego kosztem i wojewodzina podolska leczyła się powietrzem południowej Francji i pani Mniszchowa stroiła w Kaniowie.

List był już do połowy napisany, gdy drzwi się otworzyły powoli, dyskretnie, makata, osłaniająca je, podniosła i twarz kobieca, zwiędła, żółta, zmęczona, ale ślady niepospolitej piękności nosząca jeszcze na sobie, ukazała się uśmiechnięta.

— A co tam? — spytała od stołu marszałkowa.

— Paniuńciu, hrabino, słoweczko, ale bardzo, bardzo ważne — zaczęła kobieta, która się zbliżyła do stołu.

Strój jej i postawa zdradzały powiernicę, jedną z tych wszędobylskich dworek, które paniom swym służą do wszystkich spraw, wiedzą o najtajemniejszych i stają się do życia niezbędnymi — a milczeć umieją.

— Cóż tam moja Grzybowska, co tam?

I położyła marszałkowa pióro, dłońmi białymi uciskając skronie.

— Taka bo jestem zmęczona! — zawołała.

— O czemś się dowiedziałam, za cobym była starostę Piasoczyńskiego pocałowała nawet, gdyby nie czuć było od niego tabaki.

— Ale moja Grzybosiu, zkądże wiesz, że od niego czuć tabakę, jeżeliś się mu do siebie zbliżyć nie dała?

Grzybosia śmiać się bardzo zaczęła; pochlebiało jej to podejrzenie.

— Co tam, proszę pani marszałkowej, już co między nami było to było, mniejsza o to, ale wiem, czem pani może N. Panu taką uczynić przyjemność, iż doprawdy nic nie będzie miał do odmówienia.

Marszałkowa nagle zerwała się z krzesła i poskoczyła do powiernicy.

— Mów, mów, cóż takiego? co?

— N. Pan bardzo sobie życzy Plerscha, aby mu tę dziewczynę odmalował. Plerscha pod jakimś pozorem sprowadzić tu potrzeba i uczynić mu siurpryzę.

Marszałkowa w ręce klasnęła.

— Kto ci to mówił?

— Ryx, poczciwy Ryx.

— A, to doskonale! Natychmiast piszę do Wiszniowca; niech przyjdzie Zbąski i niech na całą noc kozaka wyprawi, aby mi Plerscha zaraz przywieźli. Posadzę go tu u siebie, sprowadzimy dziewczynę, odmaluje ją prędko, a ja królowi obraz w komnacie postawię. Posłać po Zbąskiego, natychmiast! — poczęła, siadając do stolika. Bóg ci zapłać, Grzybosiu. Myśl szczęśliwa!

W tem zapukano do drzwi.

— Cóż znowu o tej porze? — ozwała się Mniszchowa, a Grzybosia usłużna poszła do drzwi zobaczyć, kto się tak późno meldował.

Był to podkanclerzy; człowiek pracowity, dworak pilny, zresztą słynny z tego, że nudził wszystkich, zbierając materiały dyaryusza podróży.

Małeńkie jego oczki błysnęły, sięgając w głąb pokoju.

— Submituję się i przepraszam nieskończenie, stokrotnie przepraszam, tysiącnie!

I wszedł.

Marszałkowa spoważniała, a Grzybosia powoli wysunęła się za makaty i znikła.

— Zabrakło nam portretów J. kr. Mości — odezwał się — a tu jeszcze mamy kilku dygnitarzy, których i tabakierkami i portretami ozdobić przyjdzie, bo już orderzy mają. Potrzebujemy malarza, pani marszałkowo dobrodziejko. Podobno Plersch jest w Wiszniowcu — czybygo tu sprowadzić nie można?

Wzrokiem bystrym przeszła go pani Mniszchowa; Plater ani mrugnął... zażywał tabakę.

— Niepodobieństwo — rzekła — Plersch chory.

— Cóż mu jest? hm? — odparł widocznie zafrasowany podkanclerzy.

— Róży dostał.

— Proszę! róży? ale jakże mógł dostać róży, gdy nam jest potrzebny?

Podkanclerzy zamyślił się.

— Może już ozdrowiał.

— Dopiero zachorował; wczoraj miałam list z Wiszniowca... leży w gorączce.

— Zkądże wziąć innego? chyba z Warszawy. Nim przyjedzie, nim wymaluje, to się wszyscy rozjadą.

— Ale bo mi się zdaje, że gdyby nawet przybył i siadł do roboty, mimo pośpiechu nie wydołałby jej pewnie.

— Gdyby tylko był! a no, jużbyśmy radę sobie dali; bo, widzi pani marszałkowa, portrety te... portrety tylko poprawek potrzebują.

Pani Mniszchowa spojrzała na swe białe ręce, które z widocznym zniecierpliwieniem wyciągała i chowała, bawiąc się niemi.

— Która godzina? panie podkanclerzy.

— Pani mi przypomina, żeś niegrzeczny i niedyskretny — rzekł kłaniając się Plater — ale służba królewska.

— A, ja to bardzo dobrze rozumiem. Cóż? żałuję, że wam pomódz nie mogę. Plersch do portretów ma wiele zdolności, szczególnie do kobiecych. Dla fantazyi kazałam mu raz piękną chłopiankę malować, i tak mi ją na boginię Florę wystroił...

Plater spojrział przestraszony i cofnął się krok.

— Wielka szkoda, że chory — dodała prędko marszałkowa. Jak tylko wyzdrowieje, zaraz mu każę przyjechać.

— Musztarda po obiedzie — szepnął Plater i zniżywszy się do ukłonu, wyciągniętą mu rękę z respektem ucałował. Miał minę pomięszaną.

— Albo już wie — rzekł do siebie w progu — albo na swoją rękę chce to zrobić, lub... dziwnie się rzeczy składają. Dostyc, że mnie się nigdy nie powodzi.

Dobrze już po północy było, gdy dym nad zgłiszczami spalonych kramów unosił się jeszcze, a tuż pogorzelnicy na gołej ziemi slali sobie barłogi; światła na wzgórzu w królewskim pałacyku i oficznach gasnąc poczęły i Kaniów nadedniem do snu się ułożył. Tylko głosy stróżów, wołających *werda!* i bijących w grzechotki, a pilnujących ognia resztek,

długo jeszcze słycać było, i rżenie koni po stajniach i naszczekiwanie psów około domostw i pianie kogutów po chatach.

Rodzina Bondarów, mieszkająca na chutorze nad spaską drogą, od lat jakich dwudziestu, była dla miejscowych nawet i sąsiadów po troszę zagadką.

Stary Sydor Bondar, jak mówiono, przywędrował tu był pieszo, o kiju, bodaj z Siczy zaporozskiej, chociaż o tem i o całej swej przeszłości milczał uparcie. Trzos miał dobrze nabity różnym groszem, w którym nieznanym jakichś złotych pieniędzy siła było. Zkąd był rodem i gdzie dawniejsze lata przeżył, nikt się od niego dowiedzieć nie mógł, a mało też z kim przestawał. Wiedzieli tylko ludzie, że nietylko naddnieprowe okolice, Podole, Wołyn, ale i Turecczyznę i Krym i dzikie pola i wszystkie szlaki, głęboko na Rusi i w Polsce doskonale znał. Człek bywały, ale mu się już naówczas spokoju chcieli i sadyby sobie szukał, gdzieby osiąść. Koło Kaniowa mu się podobało — począł okolice obchodzić, a u ludzi przepytawać. Stał wówczas chutor nad Spasem niemal pusty. Nikt na Ukrainie w owe lata bardzo z pochodzenia przybyszów rachunku nie słuchał, pustej ziemi było wiele. Stały po gościńcach wszędy pale z powbijanymi w nie kołkami, oznaczające, ile gdzie na pańskich obszarach dawano lat swobodnych nowym osadnikom; ziemia była tania, ludzi mało. Mógł Sydor wziąć tam, ileby był zapragnął bez pieniędzy, ale kupić wolał, niż potem odsługiwać. Ściągało się tam wówczas wszelkiego narodu mnóstwo, a najwięcej takich, którym gdzieindziej było ciasno, niewygodnie i niemiło, gdy w ich przeszłość bliżej wglądano. Gdy Sydor zjawił się w okolicy, zaraz mu chutor stręczyć zaczęto, o który się nikt jakoś nie kusił, bo pracy około niego wiele było potrzeba. Chata stała pustkami, odrapana i licha, ogród był zapuszczony, pole bodiakami zarastało. Za niewielkie pieniądze nabył przybędą szmat ziemi znaczny, który tylko ręki człowieka się dopraszał. Zapłacił gotowym groszem przed sądem, przy świadkach i papier sobie kazał dać jak należy, aby się do niego nikt nie czepiał. Nic go to nie zrażało, że brał zdziczałe pole i pustkę, co się waliła. Ludzie ciekawie patrzali, co to będzie, sądząc, że się z grosza wyszeptał, ale się omylili.

Ledwie mohorycz zapiwszy, Sydor się wziął do dzieła. Był to naówczas mężczyzna jak dąb, silny, zdrow, barczysty, wzrosły, niepiękny, ale gdyś mu w oczy spojrzął, widać w nich było, że tam w nim coś mieszkało, co się nie lękało nikogo i niczego. Sydor chętniej milczał i słuchał, niż gadał, wolał pracować, niż baraszkować, z ludźmi się wdawał mało, a zaczepiać go nie było bezpiecznie, bo sobie bezkarnie ani słowa powiedzieć, ani figla wypłatać nie dał. Zrobiono mu spór o kilka zagonów na granicy, załatwił go zaraz, a gdy chciano odnowić, aby z niego korzystać, napastujących drągiem potłukł, stanąwszy na swej miedzy, tak, że się parę niedziel lizać musieli. I było potem cicho i spokojnie i zgodnie, nikt mu już w drogę nie wchodził, na cerkiew, dla bractwa, do skarboxy w czasie odpustu grosza nie żałował, gdy trzeba było zapić, stawiał wódkę i miód i co kto chciał, aby było w bród, ale sam był trzeźwy.

Zaraz po kupieniu chutoru, dobrał sobie parobka, którego zwano krywonogiem, bo miał w istocie nogi powykręcane i wyglądał karłowato, ale do pracy był jedyny. Z Krywonogim jak poczeli gospodarować, naprzód koło chaty i obejścia bić koły, pleść płoty, a lepić, a ciosać, stanęły izby najpiękniejsze na okolicę w bardzo prędkim czasie. Wzięli się potem do pola. Na jarmarku na Preczystą, kupił od razu Sydor sześć wołów młodych, siwych, jak jeden, pług, brony, radła, ale, jak się okazało, sam z pługiem chodzić nie umiał. Pierwszych dni, gdy Krywonogi z pługiem wyjechał, poszedł za nim i chodził cały dzień podglądając, jak pług prowadzić i unosić i kierować było potrzeba, jak głęboko zapuszczać i jak skiby składać. Drugiego dnia próbował sam — pług złamał, bo się z nim obejść nie umiał, a ziemia zaschła była i dawno nieruszana. Skiby jak skały się odwalały. Więc do kowala poszli i do cieśli. Trzeciego dnia już orał, a w tydzień mu się dziwowali i Krywonogi już tylko poganiał. Pole niemal na nowinę wyglądało, tak było zapuszczone; przez bodiaki jak przez las ledwie się było można przecisnąć.

Pierwszego roku Sydor pracował jak wół, nie dosypiając, nie dojadając i Krywonogę tak zamęczył, że się w końcu położył i musiał kilka tygodni wydychiwać, choć mu wstyd było. Okazało się, że nie chcąc się dać wyprzedzić, parobek się ochwycił.

W rok chutoru poznać nie było można, tak wyglądał pięknie i schludnie; pociecha była zajęć, ale mało tam komu drzwi stały otworem. Gości Sydor nie lubił, sam też u nikogo nie bywał.

Jakoś jesienią drugiego roku, Sydor znikł nagle, na gospodarstwie zostawiwszy Krywonogę.

Dopytywali ciekawi w szynku parobka, co się z nim stało, ale ten i po pijanemu nawet nic powiedzieć nie umiał.

— *Piszou ta i hodi* — odpowiadał ciągle — *czort jeho znaje*.

Pod niebytność Sydora tak się jednak Krywonoga pilnował, że się ani razu nie spał, co się w innych czasach trafiało, a około chaty wartował jak koło kolebki dziecięcia. Wygadał się z tem, że z Sydorem nie było żartu i że się go lękał.

W kilka tygodni zjawił się napowrót sam gospodarz, wozem niby czumackim, nalożowanym, na którym młoda kobieta siedziała. Przywiózł sobie żonę. Zkąd? nikt nie wiedział.

Kobieta była młoda, piękna, dorodnego wzrostu, śmiała jak on, zdrowa i silna, a znać z dostatniej chaty, bo siła z sobą kozuchów, świt, namitek, ręczników naniósła i kilka bodni było na wozie. Gdy pierwszy raz do cerkwi szła w bekieszy granatowej, czarnymi barankami krymskimi wskrós podbitej, w żółtych butach safianowych, w koralach aż po pas, zabiegali jej drogę ludzie, aby się na nią napatrzeć, ale ona ani spojrziała na kogo.

Poczęło się tedy w chacie na chutorze inne życie, wzięto dziewczkę do pomocy, został Krywonoga, sierotkę chłopca do siebie przygarnął Sydor i nietylko swoją rolę zasiewał, ale począł grunta najmować, uprawiać i rozbogacał okrutnie. Życie się jednak nie zmieniło wcale. Jakim był, takim został. W niespełna rok urodziła się córka, sprawiono chrzciny jak u wielkich panów, proszeni i nieproszeni szli pić czerpakiem z beczek, które Sydor kazał postawić przed chatą i w izbie.

Jadła było dostatek, ogórków kwaszonych bez miary. Ludzie się potem po drogach walali, tak ich strasznie popoił. Trzy dni trwało hulanie, a czwartego już się znów chata zamknęła.

Dzieci więcej potem nie było, tylko ta córka jedyna; ale też ją hodowali i pieścili, jak jedynaczkę. Matka na chwilę nie spuściła z oczów, ojciec na rękach nosił, byle czasu miał, a lubowali się dzieckiem tak, że wieczory całe oboje na ziemi siedząc jak dzieci też z niem się bawili.

I wyrosło na taką piękność, że oczów od Natałki oderwać nie było można. A że z nią ciągle to ojciec, to matka jak ze starą gadali, wprędce jej swojego rozumu w głowinę naleli, że w latach dziesięciu tyle co i oni wiedziała i umiała. Już się na nią mogli spuścić i klucze oddać i dom zostawić. Ale pracować wiele nie dawali dziecku, a hodowało się jak pańskie, nie męcząc wcale. Nie dozwolali jej do żadnej cięższej roboty się chwycić, pieśni uczyli, wianki znosili, z igłą tylko i krosnami poznać się dali. Szczególniej szyć koszule i ręczniki lubiła, i po całych dniach siedziała z niemi w okienku, przyspiewując. Żywa była, wesoła, ale dumna jak królowna i przystąpić do siebie nie bardzo dawała komu. Czasem do niej dziewczęta szły z miasteczka; rada się z niemi zabawiła, między niemi zawsze rej wodząc, inaczej nie rozumiała zabawy.

I tak to jak trzcina do góry wyrosło na cudowisko ludziom, a na mękę parobkom; wszyscy się w niej na zabój kochali. Więc gdy z matką do cerkwi szła, roje się za nią ciągnęły. Przystęp był trudny i do matki i do córki. Natałka nie zawsze nawet na dobre słowo odpowiedzieć chciała. Do tańca nie chodziły nigdy, ani do karczmy. Sydor też, chyba z musu, dla mohoryczu, do szynku wstąpił, bo miał wszystko w domu u siebie, czego dusza zapragnęła. Kołacza białego nigdy na stole nie brakło.

Pytano niejedyn raz Sydora, co myśli z córką, gdy dorosła. Usta tylko wykrzywił na to, niechętnie odpowiadając:

— Żeby tyle było kłopotu! — mruzczał. Nie pilno nam ani jej, a nielada przyjmaka do chaty wezmę. Warta Natałka choć bojara, ba i szlachcica, bo i w bodni niejedyn się tam czerwonic dla niej znajdzie, i chutor coś wart, a najwięcej ona sama.

Ojcowie parobków najbogatsi, przymilali się do Sydora; pozbywał się wszystkich.

— Będzie na to czas; nie pilno.

Tymczasem Natałka rozkwitała jak polny mak, świeża i hoża.

Mało kto ją znał, żeby o niej coś powiedzieć mógł, jaką była, a no lice mówiło krasne, oczy czarne, usta dumnie uśmiechnięte, pańska postawa, śmiałość kozacza, że tam lada komu się porwać nie godziło. Zbываła często śmiechem, częściej milczeniem. Od niejednego odwróciła się plecami, nawet nań nie spojrzawszy. Buta była ojcowska i matczyzna, bo i stara dobrała się do Sydora, a nie bardzo z nią było łatwo się dogadać a rozmówić.

Tą dumą narobili sobie nieprzyjaciół i powstało gadania wiele. Nikt o Sydorze więcej nie wiedział nad to, na co patrzano od czasu, jak na chutorze osiadł; poczęli zmyślać nań niestworzone rzeczy. Zazdrość w powietrzu chwyta byle co i buduje misternie, jak pająk, który ze swych wnętrzności nic zdradliwą wyciąga. Poczęły tedy dziwne wieści chodzić o Sydorze, a że ludzie łatwowierni są i lada co pochwyciwszy, urabiają potem z tego dziwolągi, całą historię Sydora stworzono ze złości ku niemu za tę dumę, którą się od ludzi oddzielał. Powiadano sobie do ucha, że nietylko w Siczy był i sotnika tam urząd piastował, lecz że z innem tałajstwem kozaczem po drogach kupców rozbiął, i że z tego takie skarby zebrał. Drudzy twierdzili, że i żonę z bogatej chaty gwałtem uprowadził, rodziców pomordowawszy i spaliwszy dla niepoznaki domostwo. Inni utrzymywali, że cerkwie i kościoły rabował, że ze skarbon zabierał grosz święty, że był i teraz przewodzcą jakichś szajek, których starszyzna do niego po nocach na rady przybywała i u niego miała składy w loszku pod chatą wykopanym. Głośno jednak strzegł się każdy słowa przeciw niemu powiedzieć, bo z Sydorem nie było żartów — ubićby był gotów. A pomimo że go tak i rozbójnikiem robiono i łotrem ostatnim, gdyby który z tych, co pletli te baśnie, mógł być syna z Natałką zaswatać, uważałby się był za najszczęśliwszego. O bogactwach bowiem Sydora Bondara przesadzone miano pojęcie i pewni byli, że półkorcówką dukaty mierzył. Tylko że jej u nikogo pożyczać nie potrzebował, więc jak w bajce owej, od smoly na dnie żaden zdradliwy nie lgnął czerwonic.

Czy kiedy w istocie zbójem był i na dwory napadał, trudno się było przekonać ludziom; o tem tylko wiedzieli bardzo dobrze, iż od czasu, jak osiadł na chutorze nad Spasem, nic mu zarzucić nie było podobna, chyba że się niekiedy z domu oddalał i niewiedzieć gdzie znikał na czas, że w istocie nocami doń przybywali konni, z którymi w alkierzu siadywał do rana, a o świcie odjeżdżali. Ciekawi podpatrywali przez okienka i konie w podwórz widywali pouwiązywane i ludzi wąsatych, przy kubkach siedzących z Sydorem.

Na cerkwie, na ubogich, Bondar był aż nadto hojnym; niejednego poratował w nie-szczęściu i pieniądze pożyczył, niejeden też mu potem zawdzięczył tem, że od niego uciekał, krył się i potwarzami obrzucał. Sydor gdy postrzegł za płot uciekającego dłużnika, śmiał się tylko i hukał na postrach, ale się ani mścił ani dokuczał. Harda jakaś mieszkała w nim dusza, a po nim tę dumę i butę i żona wzięła i córka.

Najlepszym dowodem jego dobrego serca był ten chłopak sierotka, którego do chaty przygarnął. Walało się to niebożątko po Kaniowie, bo matka była go odumarła, a ojca nie miał, przynajmniej nie wiedziano o nim za życia biednej kobiety, która z sobą przyniosła w płachcie dziecinę i z nią jak wyrobnica pracowała, aby wyżywić siebie i syna.

Gdy go matka odumarła, chłopak miał lat ze siedm, w domu się to jeszcze na nic przydać nie mogło, chyba gęsi paść. W miasteczku sierotka Maksymek chodził od drzwi do drzwi, a litościwe dusze po kawałku suchego chleba mu wyrzucały. Gdy u której gospodyni zziębłej strawy zostało co w garnku, czasem tę resztkę z łyżką wyniosła dla sieroty. Na zimę łachmanami po śmieciaskach zbieranymi okrywało się to biedactwo, a często z psami o kość walczyć musiało.

Sydor go raz najrzał pod szynkiem u ściany siedzącego na słońcu i grzejącego zęby. Litość go wzięła, kazał mu za sobą do chaty iść na chutor. Maksymek się obawiał, ale był głodny i bosc nogi marzły; posłuchał. Tu, gdy go nakarmiono, drapnął, bo po cygańsku był do swobody i włóczęgi nawykły. Nie mało z nim Sydor biedy zażył, póki go do posłuszeństwa, pracy, porządku i do jednego kąta nałamał. Było to wkrótce po ożenieniu jego. Chłopak się w domu zdał; wzięła się do niego i żona Sydorowa, okryto go, przyodziano i Maksym się w końcu do chutoru przywiązał, do posługi dał zwyczaić. Więcej to było sprawą kobiety niż Sydora.

Choć go z tego zdziczenia wyrwano i powoli obłaskawiono, pierwsze lata życia zostały na nim i w nim niezatarte piętno. Zawsze w nim było coś dzikiego, pierzchliwego, niemal zwierzęcego. Chłopak nie był głupi wcale, a no rozumu mniej miał jeszcze jak

instynktu. Sam czasem nie wiedział, co i dlaczego czynił; pchała go jego natura, do rządzenia sobą nawykła. Chłopakiem jeszcze małym bywało przed chatę wyszedłszy wśród ciszy nocnej, słyszał i czuł i zgadywał, czego nikt ani dopatrzeć, ani się domyśleć, ani uchem pochwycić nie mógł. Ludzi, rzekłbyś, węchem, nie patrząc na nich, rozróżniał, do jednych się garnąc, od drugich stroniąc uparcie.

Z krywonogim, takim mrukiem jak i on, zawiązała się przyjaźń wielka. Spali razem na jednym barłogu, a krywonoga w zimno swiętę ze siebie zdjąwszy, nią go otulał. Rozmawiali z sobą w osobliwszy sposób, na co Sydor i Sydorowa nieraz z ciekawością się z za węgła wpatrywali. Maksym nic nie gadał, krywonoga też, a mimoto rozumieli się i bawili, jak nie można lepiej. Patrzeni sobie w oczy, kiwali głowami, krywonoga gładził chłopca, chłopiec się przytulał, rękami machali, powieki mrużyli, czasem który coś niewyraźnie mruknął i tak im w niedziele całe schodziły godziny. Zdala od siebie, gdy któremu z nich coś było potrzeba, dosyć było huknąć i rękę podnieść, drugi już wiedział co robić. Krywonoga kradł owoce na targu dla Maksymka, a Maksymek raz, gdy w szynku chłopci napadli parobka, na ratunek przybiegłszy, nie mając siły stanąć w obronie piastuna, ogromnego draba, co go dusił, pokąsał.

Wyrósł Maksymek, niepodobny do innych parobków. W dzieciństwie cherlawy, jak począł potem się dźwigać od ziemi, w oczach zdaje się rósł i rozrastał. Twarz mu się pogięta wyprostowała i wypełniła i zrobił się piękny, ale w oczach mu zostało coś straszego a gdy go do gniewu pobudzono, zębami kłapał. Wejrzeniu jego trudno było dotrzymać, piekło jak ogień.

Nie gadał chętnie, słuchał chciwie, tak jak i Sydor. Siły mu zkadś potem przybyło, że strach było spojrzeć, gdy się do czego wziął. Konia dzikiego, którego Bondar kupił w Balcie od Tatarów, gdy mu się opierał, chwycił za czub nad uszami i na ziemię powalił. Praca mu nic nie kosztowała; zadumany, robił, nie myśląc, a połudenek i spoczynek przypominać mu było potrzeba, i to czasem nie raz. Potem na ziemię padł, nie patrząc gdzie, i spał jak kamień. Zimna nie czuł, gorąco mu nie wadziło. Gdy począł dorastać, dopiero się Sydor przekonał, co to za nieoszacowany skarb ze śmietniska ulicznego zagarnął, sam nie wiedząc, na co to wyrośnie.

On i krywonogi cudów dokazywali. Chłopak już był otargany dobrze i przyswojony dobrze, gdy Natałka na świat przyszła; więc dziecko rosło na oczach jego i na rękach prawie, bo wieczorami wszyscy bawili jedynaczkę i Maksymek też z ochotą wielką. Przyjaźń się zawiązała niemal taka jak z krywonogim, tylko innego rodzaju. Z tym Maksym był jak zawojowanym i oddanym sobie, siadał mu na plecy, szczypał go, dokuczał mu, a krywonogi rad wszystkiemu, śmiał się. Z Natałką obchodził się chłopak jakby z czemś świętem i osobliwym, drzed czem pokłony bić tylko a w prochu leżeć trzeba było. Gdy miał ją na ręce wziąć, biegł do krynicy się umywać, a kapryśne dziecię choć mu włosy z głowy wyrывało, tak że w oczach łzy z bólu stawały, śmiał się tylko i głowę poddawał.

I gdy Natałka wyrosła, nie zmieniło się nic. Ona dlań była panią, on niewolnikiem. Gdy raz w czerwonej chuście na wygon dziewczynka wybiegła, a krowa cudza napadła nią i rogami przebóść chciała, Maksym rzucił się przed nią i rogiem w bok dostał tak, że myślnano, iż nie przeżyje. Zaniósł go krywonogi do szopki na rękach, płacząc, obwiązali — przybiegła i Natałka, Maksym się uśmiechał, patrząc na nią, choć co chwila mdłał z boleści.

Dziewczę popsute trochę, wiedziało dobrze, że w nim miało niewolnika, a gdy się jej czego zachciało, dosyć było skinać, aby Maksym poleciał i spełnił rozkaz, choć najdziwniejszy. Gdy Natałka śpiewała, zasłuchiwał się nieraz tak, że od Sydora po plecach dostał batem, bo Bondar był dlań surowy. W głowie mu postać nie mogło, ażeby się w Natałce pokochał, bo sierotą był i oprócz jednej świty wysłużonej na grzbiecie, nic miał, ani domu, ani łomu, a Bondarywna i rodzice najzamożniejszymi pomiatali.

I Natałka też z tego jego bałwochwalstwa śmiała się tylko, a choć był parobek urodziwy i choć go lubiła, wyżej daleko patrzała. Dobrym jej był tylko na służbę.

Nazajutrz rano po pożarze, Sydor siedział w jednej koszuli na przyzbie i fajkę pykał. Słońce wiosenne zaczynało dogrzewać, w stepie się ruszało wszystko, krywonogi stary i Maksym wyszli byli z radłami na pole, bo siać czas było. Na chutorze został sam stary z żoną, z Natałką i z najmitką; myślał, poglądając na wzgórze, zaszępił, i wzdychał.

Przed nim, to się mu w oczy wpatrując, to po polach się rozglądając, wyprostowany, stary, kudłaty i brzydki, do wilka podobny pies, Zabój, coś wietrzył.

Kiedy niekiedy szczeknął i urwał, na pana oczy zwrócił pytające i milczał znowu. W miasteczku w dzwony u Bazyliańców bito na jakieś nabożeństwo. Nieopodal wozy turkotały, z sąsiednich wsi na targ zdążając do miasteczka.

Aż w progu chaty stara Sydorowa się ukazała i spojrzała na męża.

— Co tobie stary? czego sumujesz?

— Albo nie ma czego? — mruknął, fajkę rzucając, Bondar. Ta to bieda!

Wskazał w stronę miasta.

— Po co to tu najechało? pokoju od nich nie ma. A włóczę się, a ludzie niepokoją, a wszędzie ich pełno.

— A co oni tobie wadzą? — spytała stara.

— Pewnie że wadzą — odparł Sydor. Już i na nasz chutor drogę znaleźli. Zaświeciło im tu piękne liczko. Czortby ich brał!

— Tsy, milcz! — zawołała oglądając się kobieta — a toć król był; posłyszaliby kto, co pleciesz, pomyśleliby, że na niego. A co to szkodzi, że się pańskie oczy na naszym dziecku poradują. Człek nie młody...

Sydor spojrzał i minę zrobił dziwną.

— Oni nie starzeją nigdy — zamruczał. Co ty stara znasz? co ty wiesz? Mnie pytaj. Nikt ich lepiej nie zaznał odemnie. Król? a choćby i król; ja tu królem w mojej chacie; nie potrzebuję honoru i frasunku. Nie dla nich moja detyna! A tu się jej jeszcze w głowie może zawrócić.

Bondarowa zmilczała.

— Na pohybelby im! Trzeba żeby się i tu wcisnęli... Teraz pokoju od nich nie będzie, a Natałka...

— Co ty już i na nią się sierdzisz — przerwała kobieta.

— Taż to moja jedyna, nie pleć, babo! — zawołał stary. Sierdzić się na nią nie mogę, a no strach mię ogarnia. Czuję, że się jej w głupiej głowinie przewróciło; ona myśleć gotowa, że z niej królową zrobią. Albo ja to nie wiem, ile było takich królowych za jego panowania? Boże chroń, trzeba temu drzwi zamknąć, choć uciekać.

Bondarowa rękę mu położyła na ramieniu.

— Tsy, tsy, stary, nie szalej, niechaj się dziecko zabawi. Mamy na nią oko, kroku od siebie nie puścim, złego jej uczynić nie damy, a drzwi zamykać przed królem nie godzi się.

Pokiwała głową.

Sydor miał brew namarszczoną i lice chmurne, oczy w ziemię wlepił i milczał.

— Są między nimi źli ludzie, ale jest i dobrych wiele, dodała stara.

Sydor się z przyzby zerwał nagle i jakby oburzony pięść ścisnąwszy, krzyknął:

— Ani jednego! ani jednego!

Chwila milczenia była; pies szczeknął, ku Kaniowu zwróciwszy głowę.

— Hody, hody! — po cichu zbliżywszy się doń, poczęła kobieta. Na co tobie stare rany rozkrwawiać.

Stary nie słuchał i mówił jakby sam do siebie:

— Pod ziemię się od nich nie skryć! Uciekłem za kraj, siermięgęm wdział, języka zapomniał, nazwiska zbył, rodziny się zaparł... myślałem, że spokój kupię; po trzydziestu latach mnie znaleźli.

Oczy mu się zaiskrzyły. Stara zdawała się przestraszona, zwłaszcza, że niedaleko chód i jakiś mowę słyhać było.

— Sydor, milcz! — zawołała nakazująco — milcz. A nuż kto, choćby Natałka, choćby Maksym, albo krywonoga dosłyszał, co pomyślą? Zapomniałeś, że tyś już nowy człowiek i że z tamtego, co było, nic nie pozostało, utopione wszystko.

— Oprócz gniewu i pomsty — zamruczał Sydor. Z serca wyrwać, co w niem uwięzło, nie można. Milcz, babo! Gdy na nich patrzę, kipi we mnie!

— Tsy! — poczęła kobieta, klepiąc go po ramieniu — rany Chrystusa Zbawiciela, milcz! co tobie? W step idź, jeżeli na ciebie chandra znowu napadła, niech ci to przejdzie.

I przeżegnała go trzy razy krzyżem prędko.

— Milcz... słyszę ktoś idzie.

Sydor się obejrzał i padł na przyzbę, obie ręce podstawując pod brodę.

Zabój miał głowę obróconą ku gościńcowi spaskiemu i szczekał krótkim, urywanym głosem; nagle zerwał się, najeżył, rozkraczył i ujadać począł z niezmierną zajadłością.

Trzy postacie, idące od Kaniowa, ukazały się nad płotem z ziemi i gnoju, który podwórko opasywał. Widać było dwa kapelusze, złotymi galonami obszyte, dwie peruki upuklowane, dwie suknie szyte srebrem i dwie gałki od lasek, z rękami w żółtych rękawiczkach.

Pomiędzy nimi w pośrodku, w kapelusiku z piórem na rannej fryzurze, z parasolkiem w ręku, szła dama pięknej ale bladej twarzy, w długich po łokcie rękawiczkach, z woreczkiem na paluszku zawieszonym.

Trzy te figury zatrzymały się za płotem i bramą, i zdawały czekać, żeby albo pies szczekać przestał, albo ktoś z gospodarzy otworzył i Zaboja odwołał.

Dwaj ichmoście, towarzyszący damie, spoglądali na siebie, widocznie jeden na drugiego składając inicjatywę wystąpienia względem zagniewanego psa i obojętnych gospodarzy.

Sydor choć widział, co się działo za płotem, wcale się ruszać nie myślał, stara nawet ręce założyła, żeby sobie nadać obojętną postawę — ale jej chciało się wielce wyjść naprzeciw gości.

Szczekanie psa wywabило znać Natałkę do okna; dziewczę już było strojne w kwiatki, zaczesane, w koralach. Odsunęło okno, wystawiło główkę, zobaczyło stojących i zawołało na ojca:

— Bat'ku, a toć państwo czekają tam! czy to nasza chata taka uboga, że się gości będzie obawiać? Matuniu, a toć otwórzcie i zaproście, albo nie — *Bihme* — sama pójdę wrota im otworzyć i głupiego Zaboja odpędzić.

Milcząc, Sydor odwróciwszy się do niej, palcem jej pogroził.

— E, ty stary chandaro — szepnęła z umizgiem do ojca śliczna Bondarywna — co ty dziś na wąs namotał? Idź, otwórz, bo ja każę, bat'ku, ja każę — powtórzyło dziewczę. Nie bój się, nie wezmą mię przecież, a oczyma nie zjedzą. Uroku się nie boję, a tyle mojego, co się z nimi szczebiocąc zabawię, bat'ku. Nie godzi się ludziom drzwi zamykać.

Matka ze zwróconą głową słuchała, radując się widocznie szczebiotaniu dziecka, i tryumfująco poglądając na chmurnego męża.

W tem od wrót dał się słyszeć głos jednego z mężczyzn.

— Prosimy otworzyć i psa zamknąć!

Sydor jakby się namyślił, wstał wzdychając, powoli podszedł do płotu, psa nogą kopnął, aż Zabój pod chlew, piszcząc i skowycząc, się schował, i stanął naprzeciw gości. Zmierzył ich oczyma ciekawemi, ale nasrożonemi, i zdawał się czekać, by mu się opowiedzieli.

Kobieta odezwała się głosem pieszczonym:

— Pozwolisz nam, dobry człowieku, chwileczkę odpocząć pod twoim gościnnym dachem.

Sydor nic nie mówiąc, wrota popchnął i ręką na podwórze wskazał.

Weszli, bojaźliwie w stronę psa poglądając, który pod chlewkiem wprawdzie siedział, ale nie mogąc obojętnym wytrzymać, głowę wystawiał i coraz to zaburczał gniewnie.

Naprzód, najśmielsza pono, wsunęła się powoli piękna pani, podnosząc suknię i parząc pod nóżki, aby trzewiczki na korkach nie tknęły czego nieczystego; za nią podżyły szedł mężczyzna, z twarzą ciekawą, niemłą, dziwną, żółtą i bladą. Drugi, który szedł za nim, wyglądał też tak, że raz nań spojrzawszy, drugi już oczu podnieść się nie chciało. Nie było co z niego wyczytać; komparsa miał postać, krył się też z tyłu.

Byli to towarzysze, których sobie ciekawa pani marszałkowa dobrała do wycieczki. Oczy jej biegly już wyprzedzając nóżki, ku chacie, a właśnie w progu jej stała już piękna Natałka, wystrojona, w białej, szytej koszuli, w koralach, w żółtych bucikach i czwanila się swą krasą. Ojciec postrzegłszy ją, pobladł i strząsnął się. Oczów z niej nie spuszczał szła pani marszałkowa.

— *Cher général!* — odezwała się do jednego z towarzyszy — *mais c'est une beauté rustique, mais elle est d'une originalité charmante avec ce costume de théâtre! Mais elle est belle! admirable!*

General żółty nie przeczył; wszyscy pożerali ją oczyma, a dziewczę doskonale o tem wiedząc, pyszniło się jak paw, prostowało i zdawało mówić całą postawą:

— Patrzcie, uwielbiajcie, taką mię Pan Bóg stworzył, jestem krasawica!

— Moje dziecko — szepnęła marszałkowa zbliżając się, jakże ci na imię?

Dziewczę dało poczekać na odpowiedź, ramiona się poruszyły nieco, usteczka uśmiechnęły.

— Natałka.

Ojciec stał nieopodal ze ściśniętymi mimowolnie pięściami, które trzymał siłą przy sobie, usta miał zakąszone i wzrok niespokojny. Stara Bondarowa patrzyła na dziecko, dumniejąc niem.

Panowie, towarzyszący marszałkowej, coś mruczeły do siebie. W tem jeden z nich przypadkiem okiem rzucił na drogę i jakby przestraszony zawołał po cichu:

— Król z Szydłowskim!

— Król! — powtórzył drugi.

— Król! — niespokojnie zawołała marszałkowa — ale ja nie chcę, ażeby mnie tu zastał, ani panów! Za nic! za nic!

I podbiegła ręce składając do Sydorowej.

— Moja kochana — wciskając jej w dłoń dukata, który gospodyni odepchnęła z resem — moja dobra, schowaj nas gdzie chcesz, w alkierzu, gdziekolwiek, byleby nie śmierdziało bardzo. Nie chcę, aby mię tu widziano. Proszę cię, zaklinam!

I nie czekając pozwolenia, marszałkowa z obawy, aby ją nie zobaczono, rzuciła się, omijając śmiejącą się Natałkę, do chaty, i drzwi za sobą i towarzyszami zaprzec kazała. Sydorowa poszła z nią, stary Bondar ironicznie usta skrzywił, Natałka rączką bielszą niż u prostej dziewczyny być powinna, poprawiła koraliki i włosów, a w tem już i głośna rozmowa słyszeć się dała na drodze. Natałka pokraśniała, Bondar pobladł.

— *Korol!* — szepnęło dziewczę widocznie uradowane — *korol!*

Co między ściśniętymi zębami zamruczało w ustach Sydora, nikt nie posłyszał. Błyśnięty mu oczy, na córkę spojrział prawie gniewnie i ku wrotom kroczyć począł.

Natałka stanęła — zalotnica nieuczona — w takiej postawie, jakby ją malarz sam ułożył. Wzrok niby obojętny puściła na stopy, usteczka różowe podniosły się nad ząbkami białymi i piosenka ukraińska wyleciała z nich jak skowronek bując w powietrzu.

Król z Szydłowskim stali we wrotach, piosenka do uszu ich zaleciała, zatrzymali się, słuchając. Z tego miejsca widać im było profil dziewczęcia, malujący się ciemnawo na bielszej ścianie chaty. Czyste rysy jej twarzyczki jakby mistrz w szczęśliwej chwili stworzył. Nie wiejskiem wydała się im dziewczęciem, ale przebraną panią.

Natałka wiedziała i czuła o przybywających, lecz się ani obejrzała na nich. Można przysiąc było, że o czem innem dumiała, choć twarz się paliła, a z blizka patrząc, dojrzeć było można konwulsyjne ustek drganie.

Szydłowski, jeden z największych znawców piękności niewieściej, który sobie pozwalał przez drogę z króla żartować, stał zdumiony. Król miał minę ubłogosławionego, lice mu promieniało radością. Spozierał na towarzysza i prędko wzrokiem powracał do cudnego zjawiska.

— A co, panie starosto? — odezwał się po chwili.

Pan starosta milczał, oczom nie wierzył.

— A co, kochany mój, a co? — powtórzył król.

Szydłowskiemu z piersi się wyrwało niezwykajne mu westchnienie.

— Ale ba! — zawołał — to są figle! To nie może być Kozaczka, to przebranego coś! to artystka z teatru, czy... kat już wie, co takiego.

— No, to chodź i przypatrz-że się jej z blizka.

We wrotach stał milczący Sydor, który głowę, jakby przymuszony, nieco skłonił przed królem.

Stanisław August, który rad był kokietować z każdym i ująć sobie nawet prostego Kozaka, uśmiechnął mu się i ręką go powitał.

— Jak się masz — spytał łagodnie — jak się masz?

Sydor coś mruknął.

W tem pies nowych gości zobaczywszy, rwał się ku nim ze złością wielką, ale Szydłowski wprost z laseczką cienką wystąpił przeciwko niemu i tak mu jakoś zaimponował, że Zabój się cofnął, mrużąc.

Król powoli wsunął się na podwórko.

Natałka niby nie widząc go, nie wiedząc niby, ciągle patrzyła w step i nuciła. Głosik srebrny, choć nieuczony, brzmiał ptasim wdziękiem młodości.

Powoli, aby nie spłoszyć, przybliżył się król do pięknej dziewczyny.

— *Dobry dzień, krasawico!* — rzekł miluchnym głosem.

Natałka odwróciła główkę i zarumieniła się. Spojrzała niby przelekła po sobie, spuściła oczęta skromnie i odpowiedziała coś niewyraźnie, cofając się ku drzwiom chaty.

— Tylko nam nie uciekaj, bo my pogonimy za tobą — rzekł król.

— A czegożbym ja miała uciekać? — rozśmiało się ośmielone dziewczę, i czarne oczy, ocienione rzęsami długimi, zwróciło z natężeniem na króla.

Starosta mielnicki niemy, z niezmiernem zajęciem przypatrywał się tej scenie. Król z razu jakby chciał przed chatą usiąść, obejrzał się, miejsca szukając, ale złośliwe dziewczę, może na przekorę tym, co do chaty uciekli, drzwi otworzyło, zapraszając do wnętrza. Uśmiechnęło się, śmiech dusząc w sobie.

Król z ostrożnością przestąpił próg, za nim wszedł Szydłowski, po nich Natałka, wzrokiem tylko zmierzwszy zasępionego ojca.

Gdy się to działo w pierwszych drzwiach, od alkierza drugie zatarasowywano.

W szczupłej izdebce skryła się, nie chcąc tu być znalezioną, marszałkowa z towarzyszami; szelest jej sukni atlasowej słychać jeszcze było, gdy król wchodził, ale nie doszedł on uszu jego.

Dziewczę fartuszkami ścierało ławę dla N. Pana, i gdy król miejsce zajął, stanęło przed nim, założywszy ręce, nie obawiając się wzroku, nie sromając tem, że ją ci dwaj panowie pożerali oczyma.

W kącie pod piecem niepostrzeżona stała Sydorowa w odwodzie i na straży.

Sydor, aby na niemiłych mu gości nie patrzeć, został w podwórzu, ręce w tył założywszy. I on teraz w step w dał, w niebo, zamyślony, patrzył, lecz tak zasępiony, tak gniewny widocznie, jakby ten honor odwiedzin królewskich stał mu za truciznę. Niekiedy dochodziły go głosy przez otwarte okno chaty, a ile razy Natałka się ozwała, strząsał się cały z hamowanego próżno gniewu. To znowu zamknięte usta otwierały się na pół i szybko pomruczawszy niezrozumiałe słowa jakieś, zapierały.

W chacie scena była bardzo ożywiona. Król wyprostowany, jakby odmłodzony jakimś uczuciem nowym, siedział na ławie, w jednej ręce trzymając kapelusz i laskę, drugą, białą, pieszczoną, pulchną rękę, którą wszyscy całować byli zwykli, położywszy na stole. Oczy trzymał wlepione w piękne dziewczę i śmiał się jej oczyma. W wejrzeniu było coś tęsknego, rozmiłowanego, coś pożądanego, dziwnie odbijającego od dojrzałego wieku J. królewskiej Mości.

Szydłowski zimny, rozbierał ze świadomością wszystkich tajemnic świata i życia fenomen niewieści, jaki miał przed sobą. Dla niego było to coś niepojętego, co go więcej dziwiło niż nęciło — studium teratologiczne. Niekiedy głową potrząsał, a z pod oka poglądał na Najjaśniejszego, i żał a litość śmiała mu się w ust kątka, ironicznie ściągniętym.

Natałka wprowadziwszy gości do chaty, sama się od nich cofnęła nieco umyślnie, zajęła obronne stanowisko przy piecu, ale dała się uwielbiać, nie uciekała wcale i widocznie miło jej było, że król tak za nią wzrokiem gonił. Chciała być piękną, pragnęła go oczarować; czarne źrenice wpiła w swą ofiarę i cieszyło ją, gdy postrzegła, że ich ognia wytrzymać nie mógł. Król niemal tak stawał się pokornym i biednym, jak sierota Maksym. Wzdychał stary i wyżyty pieszczoch, który na najpiękniejszych pań dworu wzroki był nieczułym. Kozacka dziewczka miała dłoń powab czegoś dziwnie nowego.

Spoglądali na siebie z Szydłowskim i mówili oczyma. Starosta uznawał się zwyciężonym.

Natałka, jak Sydor jej ojciec, który w gniewie i poruszeniu wielkiem nigdy innego języka jak polski nie używał, mówiła też nim dobrze; rozmowa zawiązała się, jak pospolicie naówczas na Rusi, obu językami razem, pomieszczanymi z sobą. Jeszcze się były nie pokłóciły i żyły w zgodzie braterskiej.

— Cóż moja śliczna panno — odezwał się król — jakże wam tu życie płynie?

Matka z przestrachem spojrzała na dziecko, jak też sobie da radę z rozmową.

Natałka wcale się nie strwożyła.

Za drzwiami alkierza słuchano pilnie. Otwór okrągły od kołka dozwalał pani Mniszchowej nawet okiem ciekawem badać króla, którego miała przed sobą.

— A cóż, a cóż? — poczęła śmiało Bondarywna, ręce w tył założywszy i główką pokręcając, jak ptaszki, gdy są w dobrym humorze. Nasze życie, jak nie potrzeba lepszego. Królby go mógł zazdrościć.

— O, pewnie — wtrącił Poniatowski.

Dziewczę zerknęło nań i nieuleknione mówiło dalej:

— Chwalić Boga i was, naszego pana, teraz na Ukrainie spokój, rola czarna dobrze rodzi, grad nie bije, susza nie wypala, chleba mamy, czego więcej pragnąć?

— No, a jak przyjdzie jesień — dodał król — obżynki, zabawy wiejskie, tańce, ładne chłopcy...

Natałka oczy spuściła, jedną rękę dobytej z za siebie i poczęła nią męczyć fartuszką końce.

— E, co ma być! — mruknęła — my tam nie żyjemy z tutejszymi ludźmi. Obżynki u nas ciche, a cała zabawa, gdy się wypiewa; u nas dla chłopców wrota zaparte.

— U nas wara komu postać — dorzuciła Sydorowa — mój stary ludzi nie lubi.

— Ale młodym się zabawić, poruszać i poskakać i pośmiać potrzeba — rzekł król.

— Chwalić Boga, moja donia natury tej nie ma — mówiła za córkę Sydorowa. My doma siedzieć lubimy i niełatwo się z kim wdajemy.

Machnęła ręką, Natałka milczała, ale z królem rozmawiała oczyma ogniście. Wiodocznie majestat pański i uśmiech ujmujący chwyciły ją za serce; roila może, Bóg wie co. Król! jakież to słowo, pełne znaczenia dla prostego dziewczęcia, które w swej krasie po biblijnemu sądziło się godnym tronu, gdyby owa pokłonna szczęśliwa.

— A jakże dni płyną? — zapytał król łagodnie. Nie nudno wam?

— Jest dużo do roboty — odparła Natałka — bo ja ogród i kwiatki bardzo lubię.

— I sama jesteś jak kwiatek — szepnął stary kusiciel, wzdychając.

Z radości dziewczę się zarumieniło. Szydłowski, który oczy napasł, rozmowy nie bardzo był ciekawym, a królowi, wiedział, że tem dogodzi, wstał z krzeselka i powoli wysunął się za drzwi. Mrugnął od progu na matkę, ażeby za nim wyszła, przekonany, że sam na sam z Natałką rozmowa pójdzie raźniej N. Panu; lecz Sydorowa tego zrozumieć nie chciała i nie ruszyła się z pod pieca.

Natałka nieco po wyjściu śmielszą się stała. Od pieca postąpiła kroków parę. Król dał znak, ażeby przybliżyła się ku niemu. Szukał czegoś w kieszeni. Dziewczę oparło się rączką jedną o stół i pochyliło nieco. Poniatowski popatrzał na tę rękę mało co opaloną, pięknego kształtu, czystą, niewielką, i oczów od niej oderwać nie mógł. Zkąd taka ręka wzięła się w pokoleniu, co pracowało od wieka?

Wszystko w niej było tajemnicą.

— Powiedzciej mi — rozpoczął po chwili — czyście wy tutejsi?

Sydorowa i córka jej potrzęsły głowami.

— A zkąd? — spytał gość.

Kobiety spojrzały po sobie i zamilkły.

— My nie tutejsze — poczęła Natałka, która ręki nie mogąc utrzymać w spokoju, to fartuszek męczyła, to stół skrobała bezmyślnie. Ojciec tu przywędrował z daleka, ale to nie nasza rzecz pytać, zkąd? kiedy nam o tem nie mówi. My nie wiemy. Jam się tu rodzila i Dniepr kocham jak ojca.

— A! — uśmiechnął się król.

— I pewniebyś krasawico całe życie pragnęła zostać nad jego brzegami?

Dziewczę westchnęło.

— Albo to doła nasza — poczęła śmiało. My to wiemy z pieśni, że gdy wybije godzina, biorą nas od rodzonych, od ojca i matki, a niewolnica musi iść, gdzie ją nowy pan prowadzi.

Wymówiła to z pewną smutną egzaltacją, tak że król mocno się zadumał.

— *Ou le sentiment va-t-il se nicher?* — zapytał się w duchu sam siebie po francuzku, bo gdy myślał i mówił sam z sobą, innego języka nie używał.

Natałka spoglądała nań i uśmiechała się. Stary był oczarowanym, czuł, że mu tu długo nazbyt pozostać nie wypadło, a oderwać się nie mógł od tej czarodziejki. Ona tak ciekawie rozpatrywała się w królu, jak on w niej. W oko jej wpadła ręka pańska, jakby z kości słoniowej utoczona, i pytała się w duchu siebie, jak mężczyzna mógł mieć taką rękę niewieścią? Gdyby go znała lepiej, mogłaby była zapytać jeszcze, jak mąż mógł mieć takie serce kobiece?

Żaden szczegół stroju nie uszedł jej wejrzenia, żaden pukiel ubielonej peruki. Rzekłbyś, że chciała odgadnąć myśl, co pod tem czołem białem w tej chwili się wiła.

Król był zakłopotany; drugą ręką oddawna szukał czegoś w kieszeni i nareszcie dobył sznur koralu — już drugi — i położył go przed nią na stole.

Dziewczę popatrzało nań, ręką wzięło za te, które miało na szyi, potrząsając niemi, jakby powiedzieć chciało: mam ich dosyć, jakby dawało zrozumieć, że się czegoś innego spodziewało.

— Nie zawadzi i ten drugi sznur na pamiątkę.

Sydorowa szeptała:

— W rękęż króla pocałuj i podziękuj.

— A pewnie, że dziękuję — odezwało się dziewczę z jakąś dumą — ale po co mnie te dary? ja tego nie potrzebuję. Wy jesteście królem, koło was się tam dużo takich zwija, co są na to łakomi, a Natałka Bondarywna ma tego dosyć, o, aż nadto! Do kogo się tu stroić, kiedy chyba Zabój i stary krywonogi mnie zobaczy.

Ruszyła ramionami.

Nagle myśl jej przysłała jakaś. Pobiegła do bodni zamkniętej, która stała w kącie, otworzyła ją pospiesznie, rzuciła pokrywę na ziemię i kozuch, co był na wierzchu, dobyła chustę zawiązaną i przybiegłszy do króla, rozplątała ją na stole, patrząc nań, jakby go zdumieć chciała.

Chusta pełną była jakichś klejnotów, razem zsypanych, jak garniec grochu. Sznury koralu, bursztynu, krzyżyki, medale złote, pierścienie staroświeckie, naszyjniki bogate, kółce z kamieniami, wszystkiego tam było pełno.

W istocie zdziwiony król spojrzął i zawstydził się swego ubogiego sznurka koralu, twarz mu pokraśniała. Niejedna z bogatych pań jego dworu nie miała tyle ni tak drogich rzeczy.

Zkąd się to mogło wziąć w tej chacie kozaczej na chutorze?

Król patrzył długo i milczał. Sposępniał nawet. Mimowolnie przyszło mu na myśl, że taki zamożny, choć prosty Kozak, niełatwoby był wszelkiej pokusie przystępny.

Machinalnie wśród tego mnóstwa błyskotek, król spostrzegłszy pierścień staroświecki z krwawnikiem, ujął go i do światła obróciwszy, zobaczył na nim herb Dębno.

Sydorowa w czasie tej sceny pobladła była i niespokojna zbliżyła się do stołu. Gdy król pierścień wrzucił nazad w chustkę, pospieszyła ją coprędzej związać, gniewnie prawie rzuciwszy okiem na córkę i corychlej chustkę do bodni nazad odniosła.

— Zkądże to takie precyoza? — zapytał król po cichu.

— E, co to tam dziwnego! — szybko zaczęła Bondarowa. Zwyczajnie na Ukrainie... po jarmarkach u żydźskówsz wszystkiego dostać można, a Sydor ciekawy i dla córki to lat dwadzieścia zbierał może.

Król pokręcił głową. Natałka tymczasem jego sznur koralu, stanąwszy przed ścianą, na której było kawałek zwierciadła, przywiązywała sobie pod szyją.

— Oczewista rzecz — po cichu dodał Poniatowski — że moje korale dla takiej krasawicy bogatej nie przystały. Chodźże tu, moja panno.

W głosie króla słyhać było drżenie. Na piątym palcu lewej ręki miał pierścionek z soliterem, pamiątkę, nie wiem już czyją. Zdjął go powoli, popatrzał nań, westchnął. Natałka śmiało doń przystąpiła.

— Rękę mi daj, wacpanno — rzekł głosem drżącym.

Pierścionek błyskał jak oko szatana i iskrzył się do niej. Sama nie wiedząc, co czyni, Natałka przyklękła przed królem, który na palec włożył jej solitera.

Z blizka tak spojrzeli sobie oko w oko. Pobladł stary, wzruszony, dziewczę pokraśniało.

— Jam stary — rzekł Poniatowski żywo — mógłbym być ojcem twoim, więc mi wolno...

I nie pytając o pozwolenie, schylił się, na czole dziewczyny składając wcale nie rodzicielski pocałunek. Natałki twarz jakby krwią się oblała, chwyciła gwałtownie rękę pana i przycisnęła do niej usta gorące.

W tej chwili twarz królewska zmieniła się jakby czarem; wystąpił rumieniec na nią, zaczął drżeć, powstał z ławy, oczyma obłąkanemi potoczył po izbie, jakby przeciwko sobie samemu szukając ratunku. Dziewczę jeszcze jego białą rękę trzymało.

Z lekka wyrwał ją król, patrząc na nią i szepnął cicho:

— Do widzenia.

Ale głosu mu prawie brakło. Dziewczę spojrzało mu w oczy.

— Starosto! — odezwał się Poniatowski głośniejszym głosem, jakby wzywał ratunku.

Szydłowski się pokazał w progu, a Natałka powoli ustąpiła. Sydorowa stała pod piecem ciągle, oczyma wodząc przestraszonymi, bo się lękała wzroku męża.

Król zęgnął się już i wychodził z chaty, nie mogąc znaleźć do drzwi drogi, tak był pomięszany. Dziewczę szło za nim.

Przez dziurkę we drzwiach, pani Mniszchowa, przytulona do nich, widziała wszystko.

Gdy król wyszedł na świeże powietrze, odetchnął, był milczący i zamyślony. U progu stał Sydor z założonemi rękami; do niego się obrócił.

— Bóg zapłać za gościnę — rzekł — a jeśli byście czego od króla waszego żądali, powiedzcie, uczyni to chętnie.

Kozak jakby się lękał za nadto powiedzieć, głową tylko potrząsał i ust nie otworzył, a Poniatowski też nie czekając odpowiedzi, spojrzawszy na zegarek, który miał w guziku na rękawie, zawołał:

— Krysy z Warszawy nadejść musiały. Szydłowski pospieszajmy.

Krok w krok za nimi idąc Sydor i naszczekujący pies, odprowadzili ich aż do wrot, które Kozak z taką siłą zatrzaskał, że się w kawałki rozleciały, ale nikt nie zważał na to.

Postał Bondar chwilę, patrząc na odchodzących i na podwórze powrócił.

W chacie z alkierza właśnie się dobywała po przydługiej niewoli pani Mniszchowa, otrząsając suknię pomiętą. Dwaj satellici jej opatrywali fraki i poprawiali fryzury.

Oprócz siostrzenicy królewskiej, nikt sceny z Bondarywną nie widział, nikt rozmowy nie słyszał.

Pod wrażeniem jej wybiegła z chaty marszałkowa, zarumieniona, ożywiona wielce. W przechodzie popatrzała z zajęciem na Natałkę, która w sobie cała, mało na nią zwracała uwagi i pospieszyła ku wrotom.

Sydor ani na nich nie spojrzał, padł zaraz na przyzbę, podparł na rękę i dumał. Natałka stała pod piecem, przyglądając się pierścionkowi na palcu. Obracała go różnie do światła... błyszczał jej jak królewskie wejrzenie.

Matka się do niej zbliżyła po cichu.

— A co baćko powie? — szepnęła.

Jak przebudzona Natałka z przestachem na nią popatrzyła.

— Zrzuć i schowaj! — rzekła stara.

— O, nigdy w świecie! nigdy! — gorąco odparła dziewczyna. Król mi go włożył na palec! Nigdy!

— Ojciec ci go razem z palcem wyrwać gotów! — zawołała matka przelękną.

Natałka się zamyśliła i wnet rozdarłszy fartuch, paskiem białego płótna milcząc palec obwinęła.

— Ja z nim umrę! — szepnęła po rusku i nie wiedzieć dlaczego, lzy się jej z oczów puściły; siadła pod piecem i płakała długo, a Sydor sumował przed chatą, a matka dumiała, stojąc u ognia i brodę podparłszy na rękę, ani widziała, jak szumowiny z garnków w ogień sycząc płynęły.

Za panowania Stanisława Augusta, szambelanów J. kr. Mości było więcej niż wszelkich innych dworskich dygnitarzy. Tym tanim tytułem król obdarzał wielu niewymagających biedaków, co się doń po jakieś odznaczenie cisnęli. Czynnych szambelanów było przy nim kilku, a honorowi siedzieli po wsiach, nasycając się kopertą.

Miło było szambelanem się zwać i klucz nosić, choć nic nie otwierał. Przybywszy do stolicy, ułatwiał to przystęp do N. Pana i pewne stosunki.

W sąsiedztwie Wiszniowca mieszkał jeden taki szambelan *in partibus*, pan Koronat Ostoja Rzeziński.

Był to stary kawaler, człowiek majątny, a że wiecznie grosza żądnym magnatom pożyczął, często po kilka tysięcy złotych, pan marszałek Mniszech, wdzięczny za jedną taką przysługę, szambelanem go kreował.

Rzeziński był niezmiernej ambicyi człowiekiem. Do szambelaństwa brakło mu orderu, a choć mu się to na nic nie zdało, aspirował też, choćby do drażkowej kasztelanii.

Dlaczego jej pragnął, co mu przyszło z szambelaństwa, na co mu był order, tego pewnie jasno sam sobie nie umiał wytłumaczyć; lecz rozbudzona ambicya pchała go w tym kierunku.

Z początku robiło się to — dla koperty, później — dla nagrobku. Dobrze było choć na kamieniu w kościele stawić się jako Koronat Ostoja z Rzesina na Walach Krasnych Rzezińskim, Szambelanem J. K. Mości S. Stanisława, Kawalerem i — ewentualnie — kasztelanem jakimś tam. Dochodów z kasztelanii nie potrzebował, miał bowiem więcej daleko, niż zjeść, wypić, wyczęstować nawet zdołał, lecz są w człowieku niebezpieczne żyłki, które gdy raz drgać zaczną, już mu do grobu spoczynku nie dają.

Rzeziński wobec wielkich układając się do niesłychanej pokory, bo marszałka w łokcie całował, z niższymi się dął niepomiernie. Z szambelaństwa jego jakoś się uśmiechano; potrzeba mu było więcej daleko...

— Bądź co bądź, na swoim postawię! — mówił sam do siebie — niech kosztuje co chce! niech...

Nie kończył.

Dowiedziawszy się, że król miał być w Kaniowie, Rzeziński spać nie mógł.

— Tandem do Kaniowa trzeba submitować się majestatowi — nieodmiennie powtarzał sobie. Napisał o tem do Mniszcha, ale marszałka w domu nie było; albo w Kijowie lub w Kaniowie przesiadywał.

— Marszałek zbyt zajęty — rzekł w duchu — a moją dobrodziejką marszałkowa, na tej polegać moge; do niej się udać potrzeba. Na święty Jan potrzebują, jak mi mówił rządca, trzech tysięcy czerwonych złotych; pożyczę im cztery i to na pięć procentów! a musi mi ułatwić to, ażeby order dostał. Wszyscy go już mają! gorszym mam być od drugich? Kpi ze mnie lada S.... albo M.... Choćby mnie to nie wiem ile kosztować miało... choćbym głupstwo musiał uczynić, na swoim postawię!

Pięścią w stolik uderzył i list stylizował dwa dni do marszałkowej, *assumpt* biorąc z tego, iż trzy tysiące czerwonych złotych na św. Jan dać obiecywał. Szło o to, aby marszałkowej uczuć dać zrzęcznie, czem mu odsłużyć mogła.

List zawierał interes, insynuacja mieściła się w *post scriptum*. Na nie wysilił się pan Ostoja Rzeziński, wyrażając, iż mu do szczęścia potrzeba tej oznaki łaski pańskiej.

List dwa razy przepisany, z powodu, iż raz na nim żyda zrobił, a drugi raz omyłkę, której brzytwą wyskrobać nie mógł, bo aż dziurę w papierze wyrwał — zapieczętował sygnetem rodzinnym Rzeziński i wyprawił przez hajduka.

Oczekiwanie było długie i utrapione; hajduk w ostatku powrócił z tak nieczytelną karteczką pani Mniszchowej, iż Rzeziński jej ani wydecyfrować, ani zrozumieć nie mógł. W dodatku pani marszałkowa, zapomniawszy się, połowę tego liściku napisała po francuzku, a szambelan Rzeziński z języka tego oprócz *mąsie* i *adie*, nic nie rozumiał.

Czy mu obiecywała, czy odmawiała, czy odkładała, odgadnąć było niepodobna. Z listem poszedł do proboszcza, który reputowanym był jako człowiek uczony. Ten włożył okulary, dostał dykcyonarz Trotza ku pomocy, silili się dwa dni i sumienny duchowny z westchnieniem przyznać musiał, iż grube ma wątpliwości co do znaczenia listu. Niektóre wyrazy, przez marszałkową rzucone na papier bez ceremonii ortograficznych, w ogromnym Trotzu się nie znalazły.

Rzeziński gorączki dostał. Myślał całą noc.

— Ale czego tu sobie głowę łamać — rzekł nadedniem, po co? Korona z głowy nie spadnie, choćby mię w tym zamęcie kaniowskim nieszczególnie przyjęto. Jako szambelan do króla się docisnę, marszałkowa dla sumy świętojańskiej widzieć się ze mną musi, tam się wszystko wyjaśni i rozwiąże. Przez posły wilk nie tyje.

Dictum, factum! — Nazajutrz musztardowy koczyk sposobiono do drogi, najlepsze konie i liberyę nową. Dla prozopoei na wózku węgierskim jechało pachole, *vulgo* zwane

kuchcikiem. Na kozle koczy Jerzy, lokaj, który tę jedną miał wadę, że pił dużo i napiwszy się, spał jak kamień, jechał w libery i płaszczu paradnym. W trzosie szambelan na nieprzewidziane wydatki wioził naprzód trzysta czerwonych złotych, potem dołożył dwieście, a naostatku zmienił go na szkatułkę, którą w nogach w powozie postawiono, i zabrał w niej tysiąc.

Mówiono mu coś o starości Piasoczyńskim, że i przez niego się takie interesa robiły; więc gdyby zawiodła marszałkowa...

Rześniński chrząkaniem kończył.

Gdy się to działo, szambelan miał lat z okładem pięćdziesiąt i nie był wcale zakonserwowanym. Cherłał całe życie, w tym wieku był już nieco pochylony, trochę pomarszczony, na lewe oko nie dowiedział i na lewe ucho nie dosłyszał. Sapka go męczyła jakaś też, niepowabnym był — lecz wszystko wąs śliczny naprawiał.

Wąs ten szambelana był po części jego niepowodzenia przyczyną. Był to wąs, którym Rześniński się chlubił całe życie, dopóki nie dostał szambelaństwa, wąs, jakiego nikt nie miał, wąs, okręcać się dający dwa razy za ucho, bujny, równy, wspaniały, pyszny. Gdyby nie żał po tym przyjacielu młodości, szambelan by się był dawno przebrał po francuzku i — wiedział o tem dobrze, że toby mu było niesłychanie do krescytywy pomogło. Król Stanisław August stroju polskiego nie lubił, miał go za barbarzyński, szambelani w tym ubiorze musieli się chować po kątach; Rześniński po francuzku był daleko więcej wart, ale z owym wąsem, który miał sławę ogólną, który był znany, można powiedzieć, historyczny, rozstać się... ciężko mu było. Złożyłby go na ofiarę mamonie, lecz chyba za kasztelański drażek.

Tymczasem z pewną czcią się z nim obchodził.

Droga z Wałów krasnych do Kaniowa dosyć poszła szczęśliwie. Rozbijano wówczas na gościńcu i parę się przypadków trafiło, lecz koczyk szambelana uniknął nieprzyjemnego spotkania, a z nim i szkatulka.

W Kaniowie u chłopa na przedmieściu musiał się szambelan pomieścić: koczyk na podwórzu, konie przy żłobie z worowiny na drażkach.

Zajęte były stajnie, chlewy, budy, domki, chaty, i Rześniński się za szczęśliwego uważał, że mu w głównej izbie tłumok rozpakować dozwolono i siana przynieść na pościel. Wprawdzie dwoje dzieci małych było w chacie, a dwoje gorszych nad niewyrostków, wprawdzie myszy pod poduszką nocą odbywały sejmiki — lecz czegoż się dla miłości koperty i nagrobku nie znieśie!

Nazajutrz po przybyciu, z wąsem do parady, karabelą u pasa, w nowym kontuszu i żupanie, poszedł szambelan do marszałkowej, a trafiło się tak dziwnie, osobliwie jakoś niespodzianie szczęśliwie, że do dworku, zajmowanego przez nią, dochodził właśnie, gdy pani Mniszchowa towarzyszyów swej wycieczki posiawszy po drodze, sama jedna biegła przemienić strój ranny.

Niezmiernie przejęta jeszcze tem, co widziała i słyszała, szła pani Mniszchowa zamyślona, nie patrząc i nie widząc nic, gdy szambelan, który czapkę zdjął o staję, zbliżył się, nisko kłaniając.

Lecz uklonił się tak nisko, że spostrzegłszy przed sobą tylko głowę i część pleców, pani go poznać nie mogła i nastraszyła się. Dopiero go sobie po wąsach przypomniała.

— A, szambelan! — zawołała — jakże się pan ma? co pan tu robi?... proszę, i pan w Kaniowie!

Nieco przekąsu było w tem: „i pan w Kaniowie”, lecz szambelan był w tem położeniu, że wszystko polykał. Pani marszałkowa zatrzymała się, nie wiedząc co jej przyszło do głowy. Trudno, tyle mając do czynienia, wśród takiego zamętu, bawić się z panem Rześnińskim, nieumiejącym po francuzku i mającym śmieszne wąsy. Było to w tradycjach wiszniowieckich, że szambelan na pokoje i do stołu przychodził, lecz się z nim nie zabawiano, a interesa z nim odbywały się albo przez plenipotentą, albo przez Grzybosię.

Grzybosia była jak stworzoną dla szambelana, miała nawet jakiś czas nadzieję... ale... rozchwiało się to.

Po obiedzie w Wiszniowcu, Rześniński zwykle chodził do Grzybowskiej i na gawędce przy dobrej kawie czas u niej spędzał. Robił jej małe podarunczki, a Grzybosia mu się podejmowała interesów u marszałkowej. Na prawdę, jej może był winien przypilnowanie tego szambelaństwa.

Marszałkowej było pilno, bardzo pilno; nie chciała zrazić szlachcica, który na święty Jan miał dać kilka tysięcy czerwonych złotych.

— A, mój drogi panie szambelanie — odezwała się, z trwogą oglądając i niecierpliwie poprawując stroju — mój szambelanie najdroższy! jeżeli macie jakie interesa, czego się domyślam, zaklinam cię — przez Grzybosię! Tchnąć, zjeść czasu nie mam! upadam, czuję się chorą!

— Pani marszałkowo dobrodziejko — począł żywo Rzesiński — w łasce jej nadzieja moja. Z nadzieją tu przybywam... interes życia lub śmierci... ostatni... jedyny... na sercu mi leżący mam...

Marszałkowa się przestraszyła. Szlachcic był potrzebny; uśmiechnęła mu się i małą rączkę podała.

— Kochany szambelanie! ja i mój mąż zrobimy wszystko, wszystko, co tylko można, ale mówcie z Grzybosią; ona mi przypomni, ona dopilnuje; ja tyle, tyle swoich i cudzych rzeczy mam na głowie...

Spojrzał jej w oczy; uśmiechnęła mu się wielce łaskawie.

— Więc słucham rozkazów. Pomówię z panią Grzybowską, ale łasce jej siebie polecam; o najdroższą rzecz, o honor mój chodzi.

I czapkę ująwszy oburącz, szambelan przycisnął ją do piersi, oczy wznosząc ku niebu. Gdy je znowu ku ziemi spuścił, pani marszałkowej już nie było, tylko kraj jej szaty mignął mu we drzwiach, które się przed nosem jego zamknęły.

Wyszukać pannę Grzybowską było zadaniem chwili. W pół godziny, odprawiony razy kilka przez niedosyć grzeczne sługi, szambelan się dobił do pokoiku starej swej znajomej.

Mocno ją przybyciem swem zawstydził, gdyż była nieubrana i bez fryzury; wyglądała tego dnia okropnie, a pokój, w którym klientów przyjmować była zmuszoną, tak był pełen i zastawiony pudełkami różnego kalibru, iż ani w nim sięść, ani wygodnie się rozmówić nie było podobna. Już miała wypchnąć natręta panna Grzybowska, gdy po wąsach poznała swojego starego znajomego i przyjaciela.

— Niechże się pani ze mną nie żenuje — zawołał szambelan. Pani marszałkowa mnie tu przysłała; mam bardzo coś ważnego do zakomunikowania. Na miłosierdzie Boże, wysłuchaj mnie pani; umyślnie przybyłem z tem do Kaniowa.

— Ale gdzież? jak? ani sięść, ani się obrócić; pan nie wiesz, co się tu dzieje. Do góry nogami wszystko!

— Niech się dzieje co chce — przerwał szambelan — a pani musisz mnie wysłuchać.

Szambelan tak jakoś wymownie spojrzał, tak błagając, że Grzybosia na łóżku siadła zrezygnowana, a jedyny stołek wskazała panu Rzesińskiemu, zdjąwszy z niego jakieś graty, które rzuciła na ziemię.

— Siadajże pan — już Rózia pójdzie panią ubierać — i mów; słucham.

Szambelan się obejrzał, przysunął, począł szeptać coś do ucha. Grzybowska z miłą protektorki słuchała; nagle czoło się jej zaczęło rozpromieniać, oczy błysły, w dłonie klasnęła i podskoczyła na łóżku.

— Pan jesteś w istocie szczęśliwym człowiekiem — rzekła — boś przybył w taką godzinę.

Szambelan aż się uśmiechnął.

— Wszystko możesz mieć, co zechcesz!

— Wszystko! — zawołał uszczęśliwiony Rzesiński.

— Wszystko... ale, ale — dodała, patrząc mu w oczy Grzybowska — nim kto tego szczęścia nie pochwyci, należy się decydować prędko.

— Na co? na co? — podchwycił szambelan.

Panna Grzybowska nagle spoważniała; pierścionek, który miała na palcu, zaczęła obracać. Namyślała się widocznie, jak powiedzieć, o co chodziło.

— Potrzeba się ożenić, panie szambelanie! wziąć żonę piękną jak anioł... no...

Rzesiński spojrzał trochę wylękły.

— Nie rozumiem — bąknął — jak mi Bóg miły, nie rozumiem.

— E, co ja będę w bawelnę obwijać! — zawołała Grzybowska. Jest pewna osoba, która się królowi podobala... podobno nie szlachcianka, pono nieosobliwego wychowania, ale nadzwyczajnej piękności. Gdybyś się pan z nią ożenił, będziesz przez nią miał i św. Stanisława, i Orła, i kasztelanię...

Szambelan osłupiał.

— Tak, tak — szepnął jakby sam do siebie — mogę mieć wszystko, ale...

Grzybowska oczyma odpowiedziała.

— Dyabła sprawa! — trąc czoło i węża targając, rzekł szambelan — to potrzebuje namysłu.

— A tymczasem ją kto inny pochwyci! — zawołała Grzybowska. Zmiłuj się, panie szambelanie, co tu się namyślać! Albo to co tak osobliwszego? Chleb powszedni! My to najlepiej wiemy, co żyjemy na dworze, iż się ludzie dla siebie nie żenią. Zresztą, gdyby to szło o kogo innego... ale dla naszego drogiego króla!

— To prawda, dla króla! — powtórzył szambelan — jest racya!

— A ja panu powiem więcej — szepnęła Grzybowska — że to tylko pozory będą. Król stary, to stworzenie młode, on jeno dla oczów i dla niewinnej rozrywki mógłby pragnąć ją widywać. Nic w tem złego...

— Gadaniny! — rzekł szambelan.

— A na kogoż nie gadają! — ramionami ruszając, rzekła Grzybowska. Na to zwać nie należy. Spojrzawszy na pana, zaraz mi to na myśl przyszło. Kandydatów będzie mnóstwo... ja to dla pana uczynić mogę, że mu pierwszeństwo dane będzie.

Szambelan się skłonił, lecz frasobliwie spoglądał.

Grzybowska wstała z łóżka.

— Nie mam czasu — zawołała — możesz się pan namyśleć... ja muszę biedz do mojej marszałkowej.

To mówiąc, Grzybosia zakręciła się... szambelan jeszcze stał.

— Do zobaczenia — rzekła — przyjdź pan wieczorem... muszę iść...

I wyrwała się żwawo przez sień do swej pani. Biegła tak, jakby ją co gonilo i śmiała się sama do siebie.

Marszałkowa siedziała, ubierając się do obiadu, przed zwierciadłem. Fryzura już była gotowa. Różia suknię trzymała; Grzybosia jej z ręk ją wyrwała.

— Idź, ja już resztę zrobię sama.

Ledwie się drzwi za wychodzącą zamknęły, Grzybosia zawołała, nie mogąc wytrzymać:

— Paniuńciu, ze złotą myślą biegnę; jak Boga kocham, warta jestem medalu złotego jak jaki Poczobut lub Kopczyński. Szambelana ożenimy z Bondarywną i pójdzie sobie na wieś, a ona do Warszawy!...

Marszałkowa aż krzyknęła z podziwu.

— Co ci się dzieje!?

— A dlaczegożby nie? Dla orderu zrobi co mu każą; ożeniłby się nawet ze mną, słowo pani daję!

— Tak, ale nie z prostą dziewczką ukraińską!

— Która się królowi podobala — dodała panna Grzybowska i po cichu dokończyła:

— A ta wielka pani, co ją to Boscamp wywiózł z Konstantynopola, cóż miała więcej nad cudowne czarne oczy? Jak Boga kocham, to najlepsze szlachectwo. Rączka i nóżka stanie za wychowanie, uśmiech za dowcip, a stanik za rozum...

Marszałkowa westchnęła i uśmiechnęła się razem.

— Na uczciwość, masz rację, Grzybosiu.

— Alboż nie tak na świecie? — paplała stara panna, podając suknię pani — będzie Bondarywna taką szambelanową, co się zowie, i ludzie dla niej poszaleją! Nauczy się siedzieć, krygować, usteczka sznurować, główką kręcić — i to jej starczy; byle czarne oczki nie zgasły.

— Byle ona za niego poszła...

— A co on ją obchodzi? — zawołała Grzybowska, ciągle szybko papląc, mimo że w ustach kilka szpilek trzymała. Dziewczyzna, słyszę, rozumna.

— O, nie głupia! — potwierdziła pani Mniszchowa.

— Ale zkadże ci ta myśl?

— Albo ja wiem! — dodała, śmiejąc się, a ciągle spinając suknię, zręczna Grzybosia. Wyraźne natchnienie... jak błyskawica mi to zaświeciło i wnet przybiegłam.

— Mówiłaś mu?

— Ogólnie, ale nie wie o kim. Reszta należy do pani. I ja się też przydam na coś — dodała dumnie. Królowi, gdy o czym zamarzy, żadna ofiara nie ciężką, a co mu to kosztować będzie, dać krzyż i kasztelanię taką, której na świecie nie ma.

Rozmowa w jakiś szept cichy się zmieniła.

Szambelan tymczasem powracał do domu a raczej do chaty, bo tego dnia królowi przedstawić się nie mógł. Szedł tak zamysłony, że nic przed sobą nie widział. Spadło to na niego niespodzianie, dziwnie, i nie mógł jeszcze po propozycji Grzybowskiej przyjść do siebie.

Rzesiński stanu małżeńskiego w ogóle nie był zwolennikiem, unikał go przez całe życie; zdało mu się, że zemrze spokojnie z kopertą i nagrobkiem, nie dopuściwszy, aby mu kto w domu bruździł i dzielił z nim władzę. Nagle zmieniło się wszystko; miał się, musiał się ożenić, i to w tak osobliwych warunkach.

Myślał głęboko, wzdychał ciężko i pot z czoła ocierał.

— Tandem, awantura babilońska! — powtarzał wedle zwyczaju, gdyż u niego awanturą babilońską zwało się wszystko dziwne i niespodziane.

Z jednej strony były owe nader drażliwe warunki, z drugiej tytuł kawalera orderu i kasztelania.

— Te szelmy się powściekają z zazdrości! — mówił do siebie — będą pletli, ale będą się jeść z zawiści. Co oni mogą wiedzieć, jak, kiedy, dlaczego się ożeniłem. A mozem się zakochać... albo to, albo owo... co komu do tego! A przywilej czarno na białem, to fakt. I ja podpisuję się...

To mu się uśmiechało.

Wracając do domu, całe musiał miasteczko przechodzić. Była to chwila, gdy w nim największy ruch panował. Jak w stolicy, krążyły karety, konni na dzielnych uwijali się wierzchowcach, gwardyacy i kawalerya narodowa, pieszo i konno, snuła się między domami. Niektórzy dygnitarze pieszo też w orderach szli na królewskie pokoje, inni wyglądali z okien karet.

Szambelan na bok nieco ustąpiwszy, patrzył.

— Jutro i ja takim być mogę — mówił w duchu — alboż nie? A wstęga mi będzie tak dobrze do twarzy, jak i tym.

W tem zapatrzywszy się przed siebie, nie postrzegł, jak go z boku idący słusznego wzrostu drab potrącił. Ten także z ironicznym uśmiechem przyglądał się jadącym i idącym.

Był to Sydor Bondar, który sam nie wiedząc czego, w jednej koszuli, butach i chłozniach, podpasany pasem zielonym, w baraniej czapce, z fajką w zębach, chodził po miasteczku i wzrok nasyczał nienawistnym sobie widokiem.

Szambelan obrażony niezmiernie, że go takie jakieś potrąciło chłopisko, ofuknął go. Sydor nań spojrzął z góry, pogardliwie.

— Co to ty jakiś, nie widzisz, że ja idę? gdzie masz oczy? — krzyknął Rzesiński.

Sydor stanął; zapalały mu źrenice złowrogim ogniem i odezwał się czysto po polsku:

— A tyś gdzie swoje podział?

W szambelanie zakipiało.

— Patrzcie go, ryzuna jakiegoś! — poczał głosem drżącym — chłopisko to śmie jeszcze...

Sydor poczał się śmiać. Śmiech to był niezdrowy, straszny, przejmujący; dźwięczało w nim groźbą i wzdardą. Szczęściem nikogo w pobliżu nie było. Bondar pięścią pogroził.

— Ej, wy! — zawołał — ej, wy! wam to wolno wszystko, a nam tylko z drogi ustępować przed wami. Dlatego, żem ja w koszuli, a ty w atlasie, ma ci być dopuszczonem pchać i łajać — mnie milczeć. A wieszże ty, ktom ja?

— Cham! — zawołał szambelan w gniewie.

Sydorowi twarz zapłynęła krwią i znowu na tego chuderławego popatrzywszy szlachcica, śmiał się, aż mu ramiona się trzęsły.

Szambelan żałował, że go zaczepił, ale odejść nie mógł. Wstyd mu było pobitym uchodzić.

— Nie widziałeś mnie nigdy na oczy — począł nagle Sydor, zbliżywszy się — i pewnie drugi raz mnie nie zobaczysz. Otóż ci powiem, ty... jakiś... żem taki dobry szlachcic jak ty, a może i lepszy.

Pięścią mu pod nosem pogroził i oddalił się spiesźnie.

I polszczyzna, i mowa, i buta zdawały się w istocie dowodzić szlachcica, ale strój i postawa chłopowi przystały chyba.

Rzeziński stał długo, nim ochłonął i patrzył za odchodzącym. Sydor się już nań nie obejrzał.

— Cóż to u diaska za tajemnica! — szepnął po cichu. W złą godzinę z domu ruszyłem. Grzybowska mnie żeni dla królewskiej zabawki, chłop mnie popycha i łaje, dowodząc, że szlachcic. Marszałkowa dobrego słowa mi nie dała i ogonem od sukni pożegnała. Było po co jechać do tego Kaniowa, koniska męczyć, kości stare trząść i tyle pieniędzy puścić w drodze!

Dumał tak jeszcze, gdy obok głoś posłyszał.

— A co tu szambelanie robisz?

Zląkł się i za czapkę instynktowo pochwycił. Głos był pański. Obejrzał się: przed nim stał starosta Mielnicki, podparty na lasce.

Znał go z Wiszniowca i miał to szczęście, że się z jego wąsów nieustannie Szydłowski naśmiewał. Byli razem u Mniszchów w słotną porę dni kilka i wąsy Rzezińskiego za zabawkę służyły.

— Co asindziej tu robisz? — powtórzył starosta.

— Ja?...

Rzeziński spowiadać się nie mógł i nie chciał.

— Po drodze, po drodze — bąknął.

— Dokądże? do Kijowa chyba? do księcia Potemkina? z wąsami! — szydersko rzekł Szydłowski. Zdrada kraju, takie piękne wąsy z niego wywozić.

— A kiedy ich doma nie szacują — odparł żartobliwie szambelan. Gdzieindziej już bym za nie dostał co... jaką dystynkcję... a u nas...

Dokończył ruszeniem ramion.

— Szambusiu kochany, masz słusność. U nas rodzimych talentów cenić nie umieją. Było prawo, że kto dał krajowi dwunastu synów, dostawał starostwo, jako *panis bene merentium*, a kto się takich wąsów dohodował, też coś wart.

Szambelan swoje pokręcił.

— Panie starosto — rzekł — polecam się jego protekcji.

— Za powrotem do Warszawy — dodał Szydłowski — musimy wskrzesić rzeczpospolitą babińską, a jegomości w niej uczynimy Wielkim Wąsowniczym.

To mówiąc, skłonił się i śmiejąc jeszcze, poszedł dalej, a Rzeziński do chaty.

Stary pałac w Wiszniowcu był prawdziwie pańską rezydencją, pełną, odwiecznych pamiątek i mogący do siebie szczęśliwego posiadacza przywiązać. Wspomnienia w nim spotykały na każdym kroku, chlubne dla rodziny, smutne razem, ale o potędze świadczące. Wszystko, czego mógł żądać magnat, mieszkający na wsi, posiadał Wiszniowiec; obrazy, bibliotekę, sale ogromne, teatrzyk nawet, niegdyś urządzony na przyjazd N. Pana. Były pokoje dla małego towarzystwa i na przyjęcie choćby panujących.

Mimo to już od dwu pokoleń Wiszniowiec był nieco zaniedbany. Utrzymanie gmachu, służby przy nim, stosownego dworu, wymagało zbyt wiele, a państwo marszałkowskie nie w najlepszych byli interesach.

Któż w kraju naówczas inaczej gospodarował? Wydawano ogromnie, nad siłę, robiono długi i starając się dawny blask utrzymać, pożyczano u jednych, by oddać drugim, frymarczono dobrami, sprzedawano i zastawiano folwarki.

Państwo marszałkowskie, a szczególnie sama pani, choć nowy i wspaniały park zakładała w Łozach, nieopodal od Wiszniowca, choć czasem tam na wilegiaturze, zabrawszy z sobą parę osób z Warszawy, bawiła po kilka miesięcy, pijąc przywiezione sobie spaskie i pyrmonckie wody, wzdychała, żaląc się na ten ciężki Wiszniowiec i pragnęła go z kim na inne dobra zamienić. Była o tem mowa parę razy, myślał o nim Szczęsny Potocki, chwiało się to, chwiało i rozchwiało.

Zamek stał najczęściej pustkami, ale go jako tako utrzymywano. Burgrabia, kilku starych sług i kilku stróżów chodziło około pokojów.

Nic smętniejszego nad taką pustkę, przeznaczoną dla ludzi, a zamieszkiwaną przez pająki.

W jednej z górnych sal znajdowały się owe sławne obrazy z życia carowej Maryny, żony Dymitra Samozwańca. Cesarzowa się o nich jakimś sposobem dowiedziała i zażądała kopii od Mniszchów. Pani Mniszchowa, która się spodziewała za to dostać order św. Katarzyny (dostała go w istocie w Kaniowie na statku), natychmiast wysłała do Warszawy, aby Plerscha sprowadzić i kopiowanie mu polecić.

Plersch musiał być posłusznym. Znano go już naówczas z talentu; w Warszawie miał roboty dosyć, wolałby był pozostać w mieście, lecz odmówić Mniszchom, było to narazić się N. Panu i wyrzec roboty, jaką on mógł dać w przyszłości.

Plersch był sierotą, człowiekiem skromnym, cichym, kochającym sztukę, niechcącym się narazić nikomu. Za te kopie spodziewał się trochę grosza, który nie był do pogardzenia; uśmiechało mu się kawał kraju zobaczyć — stał się więc na rozkazy pani marszałkowej.

Dziwne naówczas było położenie takiego artysty w kraju. Mógł on mieć talent niepośledni — pierwszy z zagranicy przybyły z imieniem włoskim, francuzkiem lub niemieckim, otrzymał przed nim pierwszeństwo. A jeśli miał kawalerską postawę, wymowę, po francuzku szczebiotał i w salonie znaleźć się umiał, mógł być pewnym sławy, grosza i wziętości. Domowy artysta, na którym coś zawsze łykowatego ciążyło, był używanym, ale żyć musiał w niższych kółkach, a do wyższych nie znajdował przystępu. Sądono go ostro. Król miał ten przesąd co inni; wolał cudzoziemców. Plerschowi się dostawały kopie, jakie takie wynagrodzenie i ledwie znośna grzeczność, dumna, jakby względem sługi.

Plersch nie wiele wymagał, ale z ubogiego chłopięcia wyszedłszy na artystę, skazanym był na Tantalowe cierpienia. Stykał się z wytwornym, wesołym, zalotnym, płochym i ponętym światem, do którego dobić się nie mógł.

Było to niepodobieństwem. Plersch nie miał powierzchowności, mówił mało i nieśmiało, był bladej, ospowaty, a myślał i marzył tylko o sztuce. Pomimo to, były chwile w jego życiu, w których go ogarniała tęsknota; on nie pokosztował nigdy nic, ani tych piękności, które malował, ani tego wesela, na które patrzył, ani tego szmeru a pieśni słowa, które dochodziły do jego uszów, jak zapach kwiatów wiosenny, przepojone miłością i gorącą pragnieniem. Nieraz, gdy śliczną a strojną malował panią, w całym blasku wdzięków dziewiczych, a w pracowni jego, w oczach jego, adoratorowie otaczali ją kołem i szeptałi słodko do uszka i z oczów miód pili jak pszczoły; gdy biała pierś wygorsowana, spoczywająca w koronek puchu, podnosiła się, miłosnymi szeptami poruszona, gdy się potajemnie ręce ścisnęły — biedny artysta spuszczał oczy, aby nie widzieć, uszy by był zatkał, aby nie słyszeć, myślećby chciał zapomnieć, aby się nie domyślać. Na próżno, szmer, śmiech, słowa, barwy prześladowały go na jawie i we śnie. Wszyscy mieli chwilki szczęścia, błyskanie rozkoszy — tylko on nie.

Niktby po nim nie poznał z powierzchowności, że śmiał pragnieniem sięgnąć po owoc zakazany. Na pozór oczy jego nic nie mówiły, przysięgłbyś, że nic nie słyszał i nie rozumiał, tak był zajęty swymi farbami i paletą; lecz co się w nim działo, on jeden wiedział tylko...

Smutne to życie było, nawet w Warszawie. Cały dzień, póki jasno, przy sztaludze, zamknąwszy pracownię, musiał iść do kawiarni lub garkuchni i tam słuchać niedorzeczności. Niekiedy trafiły się dobrotliwe do szlachty uboższej albo mieszczańskie zaproszenia z litości. Naówczas myśleć trzeba było o fraku, o sprzączkach do trzewików, o świeżych żabotach i mankietach karbowanych, o które nie zawsze bywało łatwo, a potem, przyszedłszy do łaskawych gospodarstwa, w kątku cicho przesiedzieć wieczór samemu.

Plersch był młody i czuł tę nieszczęsną potrzebę kochania, która jest młodości darem i plagą — ale kochać kogo nie było... ktoby chciał malarza? chyba subretka-emerytka wielkiej pani, z rozpacz po ostatniej jakiej zdradzie kasztelanica.

Plersch nie mając rodziny, nie mogąc się przywiązać do nikogo, bo nikt go nie chciał, bawił się pudłem, którego wziął za przyjaciela.

Pudół się *Ami* nazywał — patrzył mu w oczy, roztropny był bardzo, niekiedy szkodę robił w farbach, ale zmyślny i posłuszny, płacił za nią zabawnymi figlami i przywiązaniem namiętnem do pana.

Po całych dniach pudel patrzył w oczy Plerschowi, a malarz się do niego uśmiechał; niekiedy rozmawiali na migi i rozumieli się bardzo dobrze.

Gdy pani marszałkowa kazała do siebie przywołać Plerscha, zapinała właśnie bransoletkę ze szmaragdem na białej rączce.

— Mój panie Plersch — odezwała się do niego, nie spoglądając nań nawet — proszę cię, bądź tak dobry, wybierz się zaraz do Wiszniowca. Trochę daleko, ale mieć tam będziesz wszelkie wygody. Cesarzowa chce mieć kopie tych obrazów Maryny... pan pewnie słyszałeś o nich. Nie są to arcydzieła, tylko rzeczy ciekawe; trzeba je w tej samej wielkości przekopiować, to dla pana będzie zabawką. O cenę się ułożymy. Król, mój wój, życzy sobie tego. Proszę tylko pana, żeby to było pięknie zrobione, choćby nawet piękniej od oryginału, to nic nie szkodzi. Na drogę panu damy pieniądze i furmankę do Wiszniowca. Trzeba wszystko wziąć, płótno, farby, bo tam nic nie dostanie, często nawet pocziwego świeczka. Ale znowu Wiszniowca niech się pan nie obawia. Rządca bardzo uczciwy i porządny człowiek, u niego się pan będzie stołował; usługę panu dadzą i pokój na mieszkanie i do roboty salę na górze.

Potok ten słów nieprzerwany wybiegł z ust pani marszałkowej, która dopiero wypowiedziawszy wszystko, na Plerscha spojrzała.

Malarz stał nieopodal od progu i słuchał.

— Rozumie mnie pan Plersch?

— Tak jest, pani marszałkowo, tak... ale...

— Ach, kochany panie Plersch, żadnego ale... ja tego nie lubię, pan wie, żadnego ale. Ja to muszę mieć koniecznie i prędko.

— Ale — rzekł mimo zakazu Plersch — takich wielkich płócien gotowych nie znajduję, gruntować je muszę, a nim wyschną... na mokrych malować niepodobna... więc to przy najlepszej chęci potrwa...

— Ale ja słuchać tego nie chcę! Maluj pan sobie na mokrych, niech co chce będzie, cesarzowa czekać nie może, ani ja. Co się tyczy wynagrodzenia... widzi pan, to są kopie... więc czy od wielkości, czy od czasu, czy jak tam pan zechce się ułożyć, ale bardzo drogo ja nie mogę zapłacić; kopie...

— Spuszczam się na cenę, jaką N. Pan, który jest znawcą, oznaczy.

— Bardzo dobrze. Na drogę dwadzieścia czerwonych złotych. Kiedy pan wyjedzie?

— Muszę się wybrać.

— Po co się wybierać? artysta! żeby artysta się potrzebował przygotowywać do drogi, jak my nieszczęśliwe kobiety! Węzełek, tłumoczek, skrzyneczka z farbami i po wszystkim.

Plersch się uśmiechnął; marszałkowa nań spojrzała.

— Ale już mi się pan nie sprzeciwiaj, proszę, bardzo proszę.

Była to godzina, gdy pani marszałkowa miała do zamku jechać na obiad. Król, który wracał od prymary, wstąpił, aby ją zabrać z sobą. Wszedł i zastał Plerscha. Zaraz mu na myśl przyszły obrazy.

— A cóż, jedziesz, mój Plersch?

Artysta się skłonił.

— Do usług, N. Panie.

— Bardzo się cieszę; z jego talentem — rzekł zawsze greczny pan — z jego talentem będzie to wykonaniem znakomicie. Obrazy nieszczęśliwe, ale historia. Kto wie, może współczesne.

— Pan Plersch z oznaczeniem ceny przystał na to, co N. Pan osądzi — rzekła pani Mniszchowa.

Król się uśmiechnął; pochlebilo mu to.

— Tak, dobrze, cenę postanowię, a niech marszałkowa będzie pewną, wysoką, i do niej dodam sto czerwonych złotych od siebie.

Wyciągnął rękę białą, w mankietkach świeżych — Plersch ją pocałował; miękka była jak erdredonowa poduszeczka, usta w niej tonęły.

I w dni pięć furmanka z pałacu Mniszchów, która przywiozła do Warszawy jakieś apteczkowe zapasy, zaślana kilimkiem, zaprzężona trzema konikami, z woźnicą w siermiędze z kapturem na koźle i z pisarzem prowentowym, panem Marcelim Strzałką, zajęchała po artystę do jego mieszkania na Nowy świat.

Nadzwyczaj było trudno wpakować na wózek wszystkie przybory; siedzenie wypchane, na którym się trzymać musieli obok siebie Plersch i Strzałka, stało się przez to straszliwie niewygodne, lecz — tak pani zadysponowała.

Strzałka był wesołym towarzyszem i rozmarzony Warszawą, przez całą drogę paplał; nie znudził się więc malarz, a że pogoda sprzyjała, parę tylko razy trochę zmokli, gdy ich deszcz daleko od karczem pochwylił.

Wiszniowiec ogromnymi murami zaimponował malarzowi, ale pustką czuć go było, w jednych pokojach stęchlizną, w drugich jakąś nieodgadnioną nosem przeszłością z zapachów i smrodów złożoną. Kosztowne meble w kapkach, okiennice na pół pozamykane, cisza, smutek, śmierć, rozlegające się wśród milczenia kroki idących, przejęły dreszczem Plerscha. W tych murach miał przeżyć nie wiedzieć wiele miesięcy, sam na sam z płótnami, myślami i umarłą przeszłością.

Pokazano mu oryginały. Przeraził się ich wielkością i zapuszczeniem.

Pomimo naglącego listu do rządzcy i zapewnień, że wszystko mieć będzie co zechce w Wiszniowcu, Plersch o najmniejszą rzecz walczyć musiał.

Rządzca był szlachcic sygnetowy i lekce sobie ważył jakiegoś szoldrę, mieszczucha, do tego niby coś nakształt rzemieślnika. Nie rychło do ładu z sobą przyszli. Pan Pluszczyński miał córkę, o którą się obawiał, i drugą młodą żonę, o którą był zazdrośny więc malarza do domu nie wpuścił.

Warszawiak także wydawał mu się tem niebezpieczniejszym, że on sam ciągle po Wiszniowiecczyźnie jeżdżąc, to do Krzemieńca, to do Dubna, gościem był tylko w domu. Plerschowi więc zimne jedzenie noszono do pałacu, gdzie pracował i nie zapraszano go wcale.

Nie było w istocie niebezpieczeństwa żadnego, gdyż druga żona pana Pluszczyńskiego, wzięta z fraucymeru pani marszałkowej, grająca na gitarze i śpiewająca teksty światowe, nosząca kokardy pomarańczowe, wcale już piękną nie była, a córka blada i chorowita, kwaśna i dumna, także nie znęciłaby nawet Plerscha, ale, strzeżonego pan Bóg strzeże! Plersch je widywał z daleka, w kościele; w niedzielę go zapraszano na podwieczorki, nie zawiązały się jednak żadne stosunki.

W górnej sali, jednej z najświetlejszych, zaczęła się praca około tych olbrzymich płócien, które Plersch powyciągał z ciemności. Nim zrobiono ramy, nim płótno się wyciągnęło i zagruntowało z pomocą dwóch chłopców, nim wyschło, nim potem rysunek stanął, upłynęło czasu dużo. Na nudy było go aż nadto.

Najczęściej w całym pałacu, we dnie, oprócz chłopca, który spał gdzieś za parawanem, i malarza, nie było nikogo. Cisza okrutna i przerażająca. Na dole pałac zamykano, ale w drzwiach sal i pokojów sterczały klucze, Plersch więc mógł chodzić sobie po nich i przypatrywać się tej wspaniałości, na nic nikomu nieprzydatnej. Stare zegary, wskazujące wiecznie jedną godzinę, poosłaniane zwierciadła, zapyłone stoliki, napisy brylantami na szybach u okien powyrzynane przez wesołych paniczów — wszystko to Plersch znał na pamięć. Czasem siwy, stary sługa, Damian Korytkowski, opowiadał mu tradycje pałacowe; czasem Plersch chodził i dumaniami sale zapełniał, niekiedy przed portretami pięknych, uśmiechniętych pań, które dawno w proch się rozsypały w grobie, marzył o ich życiu.

Nudy były rozgorączkujące; Plerschowi niekiedy chciało się rzucić wszystko, wyrzucić stu dukatów króla i zapłaty pani marszałkowej, a pieszo uchodzić do Warszawy. Na przechadzkach wieczornych spotykał tylko wołyńskich włościan, z którymi rozmowy nie mógł nawet zawiązać, w miasteczku oprócz żydów nie było nikogo do towarzystwa, ksiądz kanonik miał go za farmazona i przestawać z nim nie chciał, słowem, pracą tylko żyć przyszło. Plersch zapamiętał, zajadle, od rana do mroku pracował, aby prędzej się zbyć tego utrapienia, a końca ani było widać.

W zimie dnie krótkie położenie to pogorszyły, w sali od zimna ręce kostniały, nocy były nie do przespania; Plersch wymizerniał, schudł i myślał już że zachoruje, gdy wiosna nadeszła. To go nieco ożywiło, a dnie też dłuższe dozwalały choć nadzieją końca dojrzyć w oddaleniu.

Jednego dnia męczył się właśnie artysta nad jakąś delią, która w oryginale jednym płatem ciemnym wyglądała, a w kopii choć trochę się pofałdować musiała, gdy szybkie kroki na wschodach, a potem w korytarzu słyszeć się dały.

Rzadko bardzo miewał czyje odwiedziny, biedny, zamęczony artysta. Pluszczyński stronił od niego, a on się mu nie nawijał. Zdziwiło więc go mocno to wejście niespodziane czyjeś i zafrasowało nieco, bo z powodu chłodu wiosennego w sali, siedział w kożuszkach, w starych kaloszach, z szyją obwiązaną chustką wytartą i na przyjęcie wizyty wcale nie był przygotowany.

W tem się drzwi otworzyły i rządca wszedł żywo, trzymając w ręku jakieś papiery. Plersch wstał, obwijając się kożuszyzną, a nie rzucając palety.

Skłonili się sobie z daleka.

— Proszę pana, tu jest list od samej JW. marszałkowej hrabiny do pana — odezwał się rządca nieco uprzejmiej niż zwykle. Jaśnie pani hrabina pisała i do mnie.

— O cóż to idzie? — zapytał Plersch, list odpieczętowując.

— A niech no pan przeczyta.

Na kawałku papieru, literami dużymi, stały następujące, niewyraźnie dosyć nakreślone wyrazy:

„Kochany panie Plersch!

„Jesteś mi tu pan poczebny (*sic*), proszę nie tracąc ani momentu (*sic*) zaraz pszyjeżdżać (*sic*) do Kaniowa. Rząca (*sic*) da konie. Czekam pana nieodmienne”.

List był cyfrą podpisany; pospiech tłómaczył omyłki. Na kopercie stało: *Monsieur Plerche*. Wielkim panom uchodziło mijać się z ortografią i przekręcać nazwiska.

Pluszczyński spojrział na malarza, którego lice się zarumieniło. Carowa Maryna i jej orszak tak mu były dojadły, iżby był na tatarszczyznę pojechał, byle z tej stęchlizny się wyzwolić i świeżem odetchnąć powietrzem.

— Cóż pan na to?

— A no, jadę.

— Dokąd? jużci do Kaniowa! A tak, i przyznam się, że panu zazdroszczę — dodał rządca. Ludzie się o to szczęście dobijają, które pana spotyka. To się tam pan napatrzy!

Plersch ruszył ramionami i wesoło się uśmiechnął.

— Kiedy konie będą gotowe?

— Już jedne wyszły na przeprząż, bo pan sobie po pańsku pojedzie. Za godzinę, dwie — upakuj się tylko — można jechać.

Plersch w ręce klasnął i podskoczył.

— Niech pan do nas na obiad przyjdzie, bo jest co do pogadania — rzekł udobruchany Pluszczyński — kieliszek wina przed podróżą nie zawadzi.

— O której?

— Koło pierwszej waza na stole.

Po wyjściu rządzczy wziął się artysta do swoich tłómaczków i z pomocą chłopca upakował się bardzo prędko; nie miał zbyt wiele do układania. Farby z palety zrzucił, pożegnał się z carową Maryną i przybrany jak na drogę, zbiegł, zamykając za sobą, a tak mu było rażno, że nie szanując ciszy pałacowej, świstał i śpiewał, przebiegając korytarze.

Na folwarku oczekiwano go z obiadem, kobiety postrojone i w krygach, naśladując panią marszałkową, rządca w taratce, zupa na stole i butelka wina przed gospodarzem.

Plersch, co nigdy nie miewał dowcipu, stał się tego dnia zabawnym i pełnym najlepszego humoru. Pannie i pani wydał się niezgorzej, aż pożałowały, że z nim bliższej nie zrobiły znajomości. Przy kawie się odkryło, że grał wcale dobrze na gitarze. Ale konie już stały przed gankiem, tłumoczki były na bryczce, Pluszczyński zapytał tylko, czy farby wziął z sobą.

— A jakżeby się malarz bez nich ruszył? — odparł Plersch.

W ganku Pluszczyński zamruczał, żeby mu też tam dał dobre słowo przed panią marszałkową — i konięta pokłusowały.

W podróży dla znudzonego artysty wszystko było nowem i zabawnem; cisnęły mu się obrazów motywa co chwila: młodyce kraśne, parobki jak dęby, starcy i lirnicy z brodami do pasa, w ostatku krajobraz ten majowy, wiosenny, co się dopiero do życia ubiera i w listki stroi i gdzieniegdzie kwiatki sobie czepia do fartuszka, i niebo, po którym obłoczki złote latają, jak piosenki, i pola zielone, jak kobierce, a w dolinach w cieniu szare chaty, z wstęgą dymu nad dachami.

Witał się Plersch z bocianami nawet, które doń klekotały, rozumiał doskonale skowronka, zdawało mu się, że z jaskółką był oddawna w przyjaźni.

Bryczka, którą mu pan Pluszczyński dał na drogę, więcej była obrachowana na trwałość, niż na wygody, roztrzęsała mu kości, ale nią szczęśliwie dobił się do Kaniowa. W instrukcyi, danej rządzczy, stało, ażeby pan Plersch po przybyciu nie pokazywał się nikomu i zajechał wprost do dworku Zamysłowskich, gdzie na niego czekać miało mieszkanie. Tam przybywszy, powinien był dać znać o sobie.

O dworek Zamysłowskich, bardzo zręczny chłopak, dodany malarzowi do posługi, dowiedział się po drodze. Stał on na uboczu, otoczony ogrodem, i wyglądał staro i szaro, lecz w Kaniowie naówczas szczęśliwym był, kto dach znalazł.

Gdy oznajmiono o przybyciu oczekiwanego malarza, otworzyły się wrota, wpuszczono bryczkę w dziedziniec, zamknięto znowu drzgiem wjazd, jakiś jegomość w kapocie wskazał mieszkanie na górze. Nie było to pięterko, szkoda mówić, ale — górka. Prowadziły na nią wschodki ciemne, a składała się z dwóch izb. W jednej z nich było dosyć jasno, w drugiej tylko, gdy drzwi pierwszej stały otworem, bezpiecznie się można było obrócić.

Plersch się rozgospodarował naprzód tak, że siana przynieść kazał i położył spać, resztę losowi zostawując.

Dziwiło go nieco, iż z taką jakąś tajemnicą go sprowadzono tutaj i wychodzić zakazano. Radby był znajomych subalternów z dworu króla zobaczyć, lecz tak był zmęczony, iż zasnął sprawę.

Gdy się obudził, chłopiec mu oznajmił, że ze dworu od marszałkowej jeść przynieśli i parę butelek wina, i że o godzinie jedenastej w nocy miał otrzymać posłuchanie.

Biednemu malarzowi w głowie się to pomieścić nie mogło. Ubrał się i wyczekiwał tej późnej godziny, gubiąc się w najdziwniejszych domysłach. Z górki dworku Zamysłowskich nawet na miasteczko wyjrzeć nie mógł, bo drzewa i budowle, niegrzecznie tyłami poobracane do dworku, wszystko mu zasłaniały.

Zegarek jego wskazywał jedenastą, gdy służący nadszedł, który go miał zaprowadzić do pani Mniszchowej. Wieczór był piękny młodej wiosny, chmury komarów na pogodę zwijały się w powietrzu, miasteczko było na pozór uspione, lecz sen jego mieszkańców nie przeszkadzał przybyszom poruszać się jeszcze i w oknach wielu światła widać było rześiste.

Plersch szedł za służącym, który go do dworu wprowadziwszy, sam przodem pobiegł oznajmić i drzwi mu do saloniku otworzył.

Pani marszałkowa nie potrzebując się ceremonizować z takim skromnym człowiekiem jak Plersch, była na wpół rozebrana. Miała lekki szlafroczek na sobie, patynki na nóżkach, bo ją trzewiki cisnęły, chustkę od nosa w rękę i wachlarzyk. W pokoju było nieco gorąco.

— Bardzo panu dziękuję, że przyjechałeś — odezwała się, podchodząc ku niemu — miałam do pana interes...

Tu się zatrzymała nieco; jakoś trudno było powiedzieć, o co chodziło.

— Potrzebuję mieć portret, ale bardzo, bardzo ładny i bardzo prędko.

— Pani marszałkowej? — spytał Plersch.

— Ale broń Boże! — rozśmiała się z urazą pewną — mnie już Lampi i Bacciarelli malował, mam tego dosyć, nigdy w życiu do portretu siedzieć nie będę. Portret bardzo ładnej osóбки, młodej ale prostej chłopki.

Plersch zdziwiony spojrzał; chciał spytać, na co się miał ten portret przydać i przez uszanowanie się wstrzymał.

— Czasem się i chłopianki trafiają ładne. Pan ją odmaluje czy jako pasterkę, czy jak tam będziesz uważał, ale żeby była podobna i piękna i w jakiejś pozie... pan rozumie...

— Gdy zobaczę oryginał...

— A! — rozśmiała się pani Mniszchowa — tylko się pan mi w niej nie zakochaj, bo nie wolno.

— Wiem, nam to nie wolno — szepnęła Plersch — rzecz wiadoma.

Zmierzyła go okiem pani i siadła.

— Weź pan krzeselko — rzekła.

Plersch podziękował, ale stał.

— Kiedy mam rozpocząć i gdzie?

— Otóż to są właśnie trudności, które ja się będę starała jutro załatwić. Postaramy się, abyś pan mógł jak najprędzej rozpocząć, jak najprędzej. Gdzie? albo tam w dworku na górze, albo u mnie, ale to musi być w wielkim sekrecie, nikt o tem wiedzieć nie ma, rozumie pan, nikt. Jest to siurpriza. Dlatego proszę, ażebyś się pan nigdzie tu nie pokazywał, boby mogli odgadnąć, a naówczas wszystko przepadło. Za portret i za fatygę zapłacę jak pan zechce.

Usłyszawszy „za fatygę”, Plersch oczy spuścił; jakoś mu się zrobiło przykro.

— Czy pan mnie tylko dobrze zrozumiał? — zapytała marszałkowa.

— Myślę, że spamiętałem wszystko — odpowiedział Plersch — bo zrozumieć dosyć trudno.

— To dosyć gdy pan spamięta, o co proszę.

Rzuciwszy okiem na artystę i postrzegłszy chmurne oblicze, pani Mniszchowa uznała właściwem, w interesie obrazu trochę rozdobruchać artystę, i dodała łagodniej:

— Niech pan się upomni, ażeby mu na niczem nie zbywało... bardzoby mi było przykro. Dałam dyspozycyę, aby panu przynoszono, co tylko potrzeba.

Jeszcze słów kilka o Marynie i obrazach wyszepnąwszy, na które Plersch odpowiedział chłodno, pani marszałkowa spojrziała na zegarek, zadzwoniła na służącego i kazała, życząc mu dobrej nocy, odprowadzić do jego dworku.

Pocziwy Plersch poszedł posłuszny. Cieszył się bardzo, że będzie piękną malował dziewczynę, serce mu biło.

— Nigdy w życiu pięknego, młodego nie malowałem dziewczęcia, chyba z obrazu. Ręka mi się będzie trzęść, a oczy mgłą zachodzić, ale co za szczęście, mieć taki wzór przed sobą!

I cały wieczór przemarzył o pozie, jaką jej nada, o stroju, o świetle i o tem, jak się będzie znajdował wobec tego tajemniczego wzoru. Rad był odgadnąć, co to wszystko znaczyło. Szarzało ledwie na dworze, gdy już był na nogach.

Od czasu, jak mu się goście węcili do chaty, Sydor chodził jak struty. Żona, gdy go takim widywała, a trafiło się to nieraz i dawniej, nauczona doświadczeniem, nie próbowała go nawet rozweselić, zostawiała to czasowi i udawała, że nie widzi i nie rozumie. Jeśli w złem usposobieniu wprost ją zaczepił, naówczas stawała mu oko w oko, nie darowała słowa, opornie się przy swoim trzymała i walka zwykle tem się kończyła, że Sydor uszedł lub zmilczał.

Tym razem na straszniejszą się zdawało zanosić burzę niż kiedykolwiek. Sydorowa była niespokojną, czuła, że miał powody do gniewu, rzuciła więc kiedy niekiedy słówkiem łagodzącem.

W starym kipiało i gotowało się wszystko. Nie rozumiał, gdy doń mówiono, po całych dniach błądził po chacie, po ogrodzie, po obejściu, bez celu. Zabój włóczył się za nim. Natałka, którą tak kochał, nie odbierała nawet odpowiedzi na pytania; co spojrzal na nią, to oczy odwracał.

Na polu, które się za chutorem ciągnęło, stał, nie wiedzieć jak, z lasów chyba dawnych ocalony, stary, wypróchniały dąb. Pod dębem było siedzenie. Niekiedy tam z wołami odpoczywano.

Wieczorem, jednego dnia, Sydor jakby chciał z chaty uciec, poszedł pod dąb i siadł. Na wieczerzę posłała Sydorowa zawołać go, ale Maksymowi odpowiedział tylko:

— *Idy k'czortu!*

Bondarowa zapaskę podjąwszy i buty wdziawszy, poszła sama. Zastała go na kępie pod dębem, z głową w dłoniach.

— Sydor, co tobie jest? — zawołała podchodząc — gadaj, z serca zrzuć.

Podniósł głowę.

— A co tobie do tego? co mi jest. Może umierać chcę, albo co; może się chcę na tym dębnie obwiesić. Kto mnie ma rozkazywać? Sumować mi wolno.

— Nieprawda — odparła kobieta — gdybyś ty na świecie sam jeden był, a nie miał ani żony, ani dziecka, to byś się tylko z Panem Bogiem rachował, a tak to i ze mną trzeba. Co tobie jest?

— Mętno na duszy — odparł Sydor — nie pytaj, babo. Jeżeli oczów nie masz...

— Gadaj, to mi otworzysz oczy, bo nie widzę.

— Ślepa jesteś, tak, ślepa; co z tobą gadać, tyś głucha.
— Tak, i głupia — dodała ze śmiechem kobieta, ręce na piersi zakładając.
— Samaś rzekła — zawołał Sydor. Licho ich tu naniósło. Pokojuśmy pozbyli, a tobie i Natałce z tem dobrze. Tu szatan ich nam naprowadził; nam ztąd tylko uciekać, ale dokąd? dokąd? Co z wami gadać? matka i córka poszalały!
— Praw, praw, coż dalej? — zapytała Sydorowa — ja będę słuchać cierpliwie, niech się wszystko z ciebie wyleje, co się w tobie nazbierało.
— I hody! — zawołał Sydor — ruszaj odemnie.
— Nie pójdę — odparła stara. Coż się stało złego, że się dziewczę podobało królowi, że się na nią popatrzy, że się Natałka polubuje swoją krasą. Tyle jej. Nie długo tego będzie, zniknie ona prędko. Zazdrościsz dziewczynie szczęścia... a może się Lach trafi i weźmie ją i panią z niej zrobi... alby to było złe?
Sydor się aż strząsł.
— Tak, wam obu się tego chce. Wielkie szczęście, z poczciwej dziewczki zrobią taką kobietę jak one wszystkie. A na co mi to państwo dla dziecka? Niech nas Bóg od tego broni, wołałbym ją widzieć na marach.
Sydorowa dłonią usta mu zatknęła.
— Milcz, żebyś w złą nie powiedział godzinę, ty, stary.
Z gniewu Bondarowa zawrzała.
— Ty, ty, stary! — krzyknęła — dziecko byś wołał widzieć na marach, dlatego żeś ty zgrzeszył i żeś się musiał, głowę ratując, w siermięgę przebrać. Ja ciebie znam, ja w tobie czytam, ja rozumiem ciebie. Ty ich nienawidzisz, choć to twoja krew, dlatego, żeś się ty krwią umazał.
Sydor zerwał się, ręce obie wyciągnął groźnie, jakby się chciał rzucić na żonę.
— Dosyć tego, stara, milcz! Czort z wami! Ja wam rady nie dam, ja dziecka nie wyratuję, gdy je matka gubić chce, ale oczy moje na to patrzeć nie będą.
To mówiąc, wstał i nie oglądając się już na Sydorowę, która jak wkuta w ziemię nieruchoma stała, poszedł w pole.
Pogoniła za nim oczyma, nie nawołując. Szedł powoli, zataczając się, rękę czasem podnosząc do czoła, jakby z niego pot ocierał, przystając i przyspieszając kroku. W mroku wieczornym Bondarowa widziała go, jak się tak powłókł w pole i w końcu z oczów jej zniknął. Zwrócona w tę stronę, w którą go odchodzącego widziała, chwilę jeszcze stała tak stara, przeżegnała za nim drogę i powoli powłokła się do chaty zadumana. Wróciwszy do domu, podała wieszak, nic nie mówiąc.
— A ojciec? — spytała Natałka.
— Poszedł na Sicz — odparła cicho Bondarowa — nie rychło go obaczmy, ale powróci.
I pogładziła ją pod brodę. Natałka się zamyśliła smutnie.
— Posłaćby za nim — rzekła.
— Nie trzeba, nie powróci on, aż tu nie stanie nikogo obcego. Niechaj lepiej tam sumuje, jak ma tu biedy narobić. Zna on siebie; a nóżby się nie wstrzymał i ubił którego!
Natałka ręce załamała i umilkła. Matka uspokajając ją, mówiła długo, po cichu i obie wreszcie zdawały się nie widzieć w tem nic straszego, że się Sydor oddalił. Wielki ciężar spadł im z serca.
Późno w noc jeszcze mówiły po cichu, a Maksym z Krywonogim także nie śpiąc, naradzali się, bo coś dosłyszeli, a wiele odgadli, i Maksym się zafrasował mocno.
— Kiedy on już na to patrzeć nie chciał, co się u nas dzieje — rzekł — to biedaż nam — i uderzył się w piersi — ale my tu małowani nie będziemy, a czy trzeba mieć i skarbu bronić, aby nam go te złodzieje nie wzięli, prawda, Krywonogi?
Obyczajem ludu parobek odpowiedział:
— A cóż!
Tak noc ta przeszła na chutorze. Nad rankiem postrzegli, że i psa nie było, bo się nocą, tropem, powłókł za panem.
Maksym z Krywonogim namówili się, żeby jeden z nich zawsze przy domu zostawał, a parobek zdał to na młodszego. Maksym więc nie poszedł tego dnia w pole. Zresztą nie zmieniło się nic. Natałka zasnęła na dzień, a Sydorowa wstała ranej niż zwyczajnie i dziewczkę napędziwszy do roboty, sama też się wzięła do krów i do kuchni.

Dzień, co się chmurny obiecywał, ku porankowi wyjaśniać się zaczął. Mgły wiatr pędził na stopy i szły, dołem się wlokąc, a po nad nimi czysty lazur niebios się odsłaniał. Rosa spadła jakby deszcz na zasiewy i wszystko nią odżyło. Skowronki dzwoniły w górze, bociany z wyciągnionymi nogi sunęły na moczary, zające z podniesionymi uszami wartowały na miedzach, po płotach skrzeczały sroki, trzepiąc skrzydłami, a górą, ledwie dojrząc okiem, jaskółki się zwiјаły jak tanecznice w sali balowej.

Słońce właśnie się nad mgłą uniosłszy, złociło chutor, gdy we wrotkach ukazała się postać kobieca, sama jedna. Było to coś pańskiego, a przecie nie żadna pani, ale jakby wykrzywiony cień dworskiej damy. Strój przypominał elegantki, ale był ułożony jakby na przedrzeźnianie; z pod kapelusika wyglądała twarz żółta, wymęczona, z czarnymi, żywymi oczyma, które biegały dokoła.

Zawahawszy się nieco, przybyła popchnęła wrotka i rozglądając się, weszła. Sydorowa właśnie stała w progu i ciekawie się przypatrywała. Jeszcze słowa nie rzekłszy, uśmiechnęła się jej wchodząca pani.

— Wszak pani Bondarowa? — zapytała.

— Co za pani? Bondarowa, ale nie pani — odparła, z równą ciekawością wpatrując się w zbliżającą Sydorowa.

Przez okno ciekawa Natałka szybko wystawiła głowę, głos posłyszawszy. Jeszcze była nieuczesana, czarne, bujne, rozrzucone na ramiona włosy, okrywały ją całą. Z pośrodku tych kędziurów biała, pieszczona twarzyczka śmiała się jak róża na aksamitach. Ale widzenie to trwało chwilę i znikło.

Przez tę chwilę miała czas się mu przypatrzeć przybyła jejmość i uśmiechnawszy się, przystąpiła uprzejmie się wdzięcząc do Sydorowej.

— Ja z jejmością mam pomówić na osobności... potrzeba — szepnęła i postrzegłszy jakąś obawę w twarzy starej kobiety, dodała ciszej:

— Ja tu nie od siebie przychodzę, ale od tej wielkiej pani, która była u was niedawno, gdy król był. Jest to bliska krewna królewska, ona wam bardzo dobrze życzy.

I głową kiwnęła znacząco.

Sydorowa ani się do rozmowy spieszyła, ani jej odmawiała.

— A no, to siądźmy gdzie i gadajmy — odpowiedziała po krótkim milczeniu.

Przybyła, w której łatwo się Grzybowskiej domyśleć, usiadła na przyzbie, chustkę podłożywszy pod siebie. Sydorowa przysunęła się do niej.

— Was wielkie szczęście spotkało — poczęła Grzybosia — wielkie szczęście. Dziecko wasze królowi w oczy wpadło.

— Ja to wiem — z powagą odparła matka — ale czy to szczęście czy niedola, to jeszcze nie wiadomo.

— A, wielkie szczęście! — dodała szybko posłanka. Czy to wy tego nie rozumiecie? Król taki dobry pan, on niczyjej niedoli przyczyną by być nie chciał. Nic złego od was nikt nie żąda, chowaj Boże. Dziewczyna za mąż wyjść może tak, jak się wam nigdy nie śniło — za możnego pana.

Sydorowa milczała, ale po chwili głową potrząsała.

— Ale to tam jeszcze do tego daleko, wy się namyślicie, a waszej córce gwałtu nikt nie zada jak wola wasza. Ja do was dziś z czem innym przyszłam, w czem już, Bóg widzi, i cienia złego nie ma.

— No, to mówcie.

— Królowi się podobało liczko; trzeba je na płótnie odmalować, ażeby o niem nie zapomniał.

Sydorowa popatrzała na nią przestraszona i załamała ręce.

— A godziź się to? — zawołała — toć to tylko Świętych Pańskich malują, a nas grzesznych...

— Moja jejmość, to u was na wsi takie obyczaje — rzekła Grzybosia — u nas inaczej, mało nie codzień malują pięknych i brzydkich, aby po nich na świecie pamiątka została. Żadnego w tem grzechu nie ma. Najrzałam tylko waszą córkę przez okno, warta tego przecież, żeby z niej malarz zdjął obrazek.

— Aby grzechu nie było — mruknęła stara.

— Spytajcież księdza, on wam poświadczy, jeśli mnie nie wierzycie.

Zamyślona Sydorowa nie odpowiedziała już nic.

— Malarz przyjechał — dodała Grzybowska — wszystko przygotowane, namówcie córkę, albo mnie z nią się dajcie rozmówić; przyjdziecie na jaką godzinę i rzecz będzie skończona.

— Dziecku samemu ani na krok nie dam stąpić — jeżeli będzie potrzeba, sama z nią pójdę, albo inaczej nic.

— Zrobicie, jak się wam podoba. A teraz — dodała wstając Grzybowska — jeszcze was o to proszę, abym waszą córkę zobaczyć mogła. Wszyscy mówią jak o cudzie, a jam ledwie ją najrzała; niechże wiem, jak wygląda.

Sydorowa niby tych wyrazów nie słysząc, głęboko się zamyśliła. Prostej kobiecie, jak jej córce, zawracało się w głowie. Magiczny ten wyraz „król” śnił się im obu. Miarkowała Bondarowa, że już ciż królowej z córki nie uczyni, ale rozumiała to, że ją na stopniach tronu postawić może, i panią, wielką panią zrobi. Zdawało się jej, że gdyby tak córkę za mąż wydała, wówczas i mąż by się przebłagał i wszystkoby było dobrze, a Natałka jeśli nie królową to królewską zostawszy protegowaną, zaszłaby tak wysoko, jak nigdy nie sięgnęła nadziejami, nawet we śnie.

Nachodzenie ciągle na chatę coraz nowych ludzi, zajęcie nimi wszystkich, wbiło ją w to przekonanie, że rzecz była nie na żarty. Od niej więc zależało poprowadzić tę sprawę i doprowadzić do końca. Wiedziała, że Natałka o starym królu marzyła, dumną i szczęśliwą się czując, iż na nią okiem rzucił, że na wszystko zgodzić się gotowa. Starej więc Bondarowej śniło się, że ma losy przyszłe w ręku i że energicznie sobie postąpić powinna. Grzybowska wydała się jej godną zaufania, przychodziła zresztą od krewnej króla, a ta krewna nie była widać przeciwną szczęściu N. Pana. Pomyślała więc Bondarowa i nagle wskazała Grzybowskiej miejsce na przyzbie. Grzybosia podłożyła chustkę i siadła, Bondarowa nachyliła się jej do ucha.

— Mówiliście, żeby moją dziewczkę wydać za szlachcica, prawda? a czemu nie? Ja wam coś powiem, że się zadziwicie, ale mi na krzyż przysięgnijcie, że nie powiecie nikomu.

I dobyła mosiężny krzyżyk z pod koszuli, na który Grzybowska spojrzała z jakąś trwożą, zawahawszy się.

— Pewnie, że nikomu nie powiem, tylko temu, komu to będzie wiedzieć potrzeba i kto nam szkody nie zrobi — odezwała się, do krzyżyka sięgając, Grzybosia.

Bondarowa nie bardzo zważała na restrykcję, tak była sprawą zajęta i poczęła szeptać do ucha przybyłej.

— Ja jestem gospodarska córka, Kozaczka, to prawda, ale mój Sydor... mój Sydor Lach i szlachcic, ja to dobrze wiem, że moja Natałka przez niego szlachcianka. Co zbroił, to ja tam nie wiem, ale na Zaporozie zbiegł i długo tam żył, a nierychło mu się zatęskniło za spokojniejszym życiem i mnie zaswał, bo chciał z Lachami na wiek wieków zerwać. Mnie to zawsze po głowie chodziło, żeby donię moją wydać za szlachcica...

Tu zniżyła głos jeszcze.

— A co jej do tego brak? szlachcianką jest, krasa szlachecka, rozum... no, i grosza po niej weźmie, kto się z nią ożeni, więcej niż się spodziewa. Ludzie na nas plotą, że my czerwonce półkorcówką mierzym; to bajka; a no, garncami, to może. Mój coś z sobą z domu przyniósł, a na Siczy też mu się wiodło. I chutor coś wart, i klejnotów się znajdzie, nie tyle, ile ona przed królem pokazywała.

Tryumfująco wypowiedziawszy to, spojrzała Bondarowa na Grzybowską, która słuchając, pobladła i zamiast się uradować tem, zafrasowała. Widać to było na twarzy.

W istocie, z ubogą dziewczką kozacką daleko łatwiej było, niż z taką niby szlachcianką, a do tego posażną.

— Choćby się z nią i tęgi jaki pan ożenił, to mu dziewczka wstydu nie zrobi; a że szlachcianka, no, gdyby potrzeba dowodu, toć ja wiem, gdzie Sydorowe papiery, pod przysięgą to i pokazać mogę.

To potajemne szlachectwo człowieka, który się na Siczy ukrywać musiał, także niemiłym było trwożliwej Grzybosi. Wystawiała w nim sobie zbrodniarza i nie bez przyczyny, a ten, kto raz popełnił kryminał, mógł dla ocalenia kochanego dziecka ważyć się i na drugi.

Widząc ją milczącą i zafrasowaną, Sydorowa dodała jeszcze:

— A macie już dla niej męża upatrzonego?

— Znalazłby się — szepnęła Grzybowska — ale na to czas. Ten, o którym myślałam, nie młody człek.

— Bardzo starego nie można jej dać — odezwała się Sydorowa — aby ludzi nie śmieszyć.

— W średnim wieku, bogaty pan, a człowiek prosty i pokorny i urzędnik ze dworu królewskiego.

— Niechaj, niechaj, zobaczymy — zawołała Bondarowa — trzeba żeby przy królu był, aby i ona była przy nim i aby król mógł na nią popatrzeć. Ja do wszystkiego Natalkę przygotuję, a wasz stary pan niechaj tu sam albo z wami przyjdzie, abyśmy go obejrżeli. Kota w worku nie kupują.

Grzybowska, która sądziła, że tu rej wodzić będzie, wzięta tak obcesowo przez Bondarowę, stała się wielce milczącą, odwaga ją odeszła ze zdumienia. Wstała, chcąc odejść, zapomniawszy nawet, że Natalkę widzieć chciała. Nie potrzebowała się o to drugi raz upominać, bo piękne dziewczę, które obcą najrzało, prędko zawiązało kosy, dokończyło ubrania i po świątecznemu strojne wystąpiło przed chatę.

Grzybowska nim odeszła, mogła więc stanąć i z uwagą się jej przypatrzeć. W oknie wydała się jej już piękną, teraz dopiero przekonywała się, że ta piękność jej nietylko w twarzyczce młodej, ale w całej równo rozlaną była postaci. Stara panna, która u pani podskarbinsy Kossowskiej i u dwóch najślynniejszych wdziękami pań dworu ówczesnego bywała w usługach i znała się na doskonałości wdzięków kobiecych, jak jubiler na brylantach, zdumiała się Natalce. Na ustach jej słowa zamarły.

Przemówiła do Natalki krótko i oddaliła się zamyślona.

— Hej, hej — rzekła do siebie — fraszka Wittowa... Broń Boże się do Warszawy dostanie, a w atlasy i koronki przystroi, zagasi wszystkie. Tylko — dodała ciszej — Bóg to jeszcze wie, czy to, co takie piękne w zgrzebnej koszulinie, równie się wdzięcznym okaże w batystach.

Od wrót zawróciła się jeszcze Grzybowska, bo w pośpiechu i obalamuceniu tem zapomniiała prawie o rzeczy najważniejszej, o umowie, kiedy malować się ma przyjść dziewczyna.

Na ranek następujący oznaczono czas, a że się lękano, aby kto nie wytropił Sydorowej z córką po drodze do dworku Zamysłowskich, miały jak dzień ogrodami po za miasteczkiem przejść, unikając ludzkich oczów. Bondarowa przyrzekła, że przyjdą i zapewniła, że dworek i drogę do niego najlepszą, za płotami, znała doskonale. Co się tyczyło Natalki tę brała na siebie.

Tak nadspodziewanie szczęśliwie wykonawszy, co poleconem miała, stara panna pospieszyła do miasteczka. Jednakże poufne zwierzenie się Sydorowej po głowie jej chodziło. Te garncie dukatów i klejnoty, i szlachectwo, i skryta ucieczka człowieka, który się wyrzekł stanu i nazwiska, jakąś nabawiły ją trwogą. Sprawa z Bondarywną zdawała się jej nieskończenie trudniejszą niż wprzódy, gdy o niczem nie wiedziała.

Z temi myślami wróciła do domu, gdy pani marszałkowa jeszcze w łóżku leżąc, dzwoniła o czekoladę.

Dnia poprzedzającego wieczór się był za długo przeciągnął. Zaledwie mając czas z siebie płaszczki i kapelusz zrzucić, Grzybosia sama wzięła filiżankę na srebrnej tacce i weszła z nią do sypialni.

Marszałkowa już się nieco niecierpliwiła; podniosła była zieloną kotarę kitajkową, osłaniającą łóżko, i piękna jej rączka biała jeszcze na dzwonku spoczywała. Obok niego widać było zgaszoną świecę, otwartą książkę i rozpieczętowany liścik. Na dywaniku przed łóżkiem stała para pantofelków, prześliczna.

Na głowie miała marszałkowa ranny czeppek, niepomiernych rozmiarów, nieco pomięty, ale cały w szlarkach i koronkach. Z pod niego wysuwały się włosy w nieładzie.

— A, to ty? Jakto, już powróciłaś, Grzybosiu? Już chciałam się gniewać; myślałam, że Rózia...

— Wróciłam przed chwilą i z raportami przychodzę.

— Nim opowiesz — niecierpliwie odezwała się pani marszałkowa — chcę wiedzieć skutek. Da się malować?

— A! — ramionami ruszając i śmiejąc się poczęła Grzybowska — da z sobą zrobić, co tylko zechcę, tak jej i matce król w głowie zajechał. Da się malować, byle to nie grzech był.

I stara panna za głowę się pochwyciła.

Pani marszałkowej jedna jakaś dziwna myśl przyszła do głowy, bardzo naturalna pod owe czasy.

— Co? pewnie dziewczyna miała już kochanka...

— Nie, o tem nie wiem nic, ale moja paniuńciu, czyżby król miał zważać na to? Prawda, mężczyźni są czasem tak śmieszni. Ale to wcale co innego. W tym domu jest jakaś tajemnica.

Obejrzała się Grzybosia i zwiesiła nad łóżkiem pani.

— To nie jest żadna Kozaczka, ale szlachcianka; ojciec jej niegdyś na Sicz zbiegł i tai się z tem, bo znać coś zbroić musiał. Matka prosta kobieta, ale ambitna. Mówiła mi, że u nich dukaty garncami mierzyć nie nowina.

Pani Mniszchowej na myśl mimowolnie ś. Jan przyszedł. Westchnęła.

— Cóż bo znowu prawisz, Grzybosiu!

Ale w tej chwili przyszły jej na myśl klejnoty widziane i zadumała się mocno.

Grzybosia szanowała zamyślenie.

— Cóż mi więcej powiesz? — spytała pani.

— Dziewczynę widziałam — istne чудо! Kozacka krew zmieszana ze szlachecką, wydały tę piękną istotę. A tak to patrzy, a takie to śmiało i wesoło, jakby czuło przyszłe losy swoje.

— Przyszłe losy! — szepnęła z uśmiechem ironicznym pani Mniszchowa. Ruszyła ramionami.

— Wspomniałam o małżeństwie; stara nie jest od tego, zrozumiała mię od słowa, byle mąż nie był nazbyt odrażliwy i niepokaźny, słowem, idzie jak z płatka.

— A ojciec, ten straszny drab, ponuro patrzący?

— Nie ma go ani śladu — odparła Grzybowska. Tam widzę rząd w dobrych rękach, a ów dawny szlachcic zawojowany przez babę.

Wśród tej rozmowy głos pana marszałka Mniszcha, który osobno mieszkał, dał się słyszeć w sieni. Pani marszałkowa poprawiła czepeczka i skinęła, koldrą się okrywając, na Grzybowską.

— Proszę cię, rób co chcesz, ale mi nie odchódź z pokoju. Słyszę głos marszałka; nie lubię jego czułości. Choćby ci wyjść wypadało, zostań, póki on tu będzie.

W istocie drzwi się otworzyły i marszałek już ubrany, w rannym stroju, z kapeluszem i laską w rękę, z gwiazdą u boku, wsunął się do pokoiku, pozdrawiając żonę, która dłonią po czole posunęła, skarżąc się przy powitaniu na migrenę.

Pomimo to usiadł na taborecie przy łóżku i spojrzął na kręcącą się u toalety Grzybosię, jakby się jej chciał pozbyć, i coś szeptać począł.

— Mów głośno, nie żenuj się — odparła żona — Grzybowska wie o wszystkim, ja dla niej sekretów nie mam, to moja najlepsza przyjaciółka.

— Od Szydłowskiego się dopiero dziś dowiedziałem o fantazyi pańskiej — rzeki Mniszech i ramionami ruszył, laskę do ust podniósł i nią uśmiech stłumił. Wiesz ty o tem?

Pani marszałkowa głową dała znak potwierdzający.

— Nie wiem, czy my się z tego cieszyć mamy, czy smucić — odparł Mniszech. *Entre nous*, to przelotne uniesienie znudzonego i zamęczonego człowieka. Ale co powie na to generałowa?

— Nie będzie wcale wiedziała o tem, jak o wielu innych — odparła pani Mniszchowa. Jesteś dla króla za surowym; przy jego zgrzyotach, utrapieniach i żeby mu też najmniejszą za złe brać rozrywkę. Kochany wuj jest artystą, czci piękność.

— Choćby dziką różę, wykwitłą pod płotem.

— Chociażby — mówiła marszałkowa. Nie róbcie z tego wielkiej rzeczy, nie mówcie wiele, udawajcie że nie widzicie.

— Co do mnie — rzekł Mniszech — ja się zupełnie w to wdawać nie myślę i ignoruję, ale dosyć żeby o tem wiedział starosta mielnicki, cały świat się dowie. Będzie królowi

dopomagał i króla wyśmiewał, a w ostatku siostrze doniesie. Żal mi króla. Ale jeśli ty wiesz, powiedz mi, co to jest?

Grzybowska stojąca przy toalecie, odwróciła się i poufale głos zabrała.

— Ja panu hrabiemu powiem; jest to bardzo ładne, młode dziewczę, proste, nieokrzeseane, ale mogące głowę zawrócić pięknnością, więcej nic.

— Ja byłam przypadkiem... ukrytą — dodała pani — gdy król tam był. Nigdy nie tak odmłodzonym nie widziałam. Biedny król! Dajcież mu choć pomarzyć trochę, aby o rzeczywistości zapomniał.

— *Pardon* — odezwał się Mniszech — nie zgadzam się na to. Król nie powinien o niej zapominać nigdy. W tej chwili jest ona tak ważną, tak stanowczą dla nas, iż grzechem by było, ażeby ją dla jakiejś fantazyi poświęcił. Potemkina mamy całkowicie za sobą, niemal cały dwór kijowski. N. Pan oczarował, zyskał sobie; należy z tego korzystać. Któż wie, uda się może dla księcia Stanisława następstwo na tron, zmieniony w dziedziczny, wyrobić. Wojna z Turcją jest nieuchronną, my pójdziemy na nią i przypuszczeni będziemy do łupu. Mołdawia, Wołoszczyzna mogą rozszerzyć granice Rzeczypospolitej...

— Ach, jaki ty jesteś nudny z tą twoją polityką! — odezwała się pani, niecierpliwie koldrę szarpiąc na sobie. *Qu'est-ce que cela me fait* wasza Mołdawia? Król właśnie rozerwać się musi, aby wyszedł z apatii, w jaką popada. *Pour cela il n'y a qu'une fantaisie pareille, c'est le seul remède.* Ożywi się, życie mu się uśmiechnie. Ten biedny król!...

I szepnęła do ucha mężowi:

— Ja to wszystko wezmę w ręce, przez Grzybosię, *vous comprenez, nous en aurons le benefice.* Królowi trzeba się starać być potrzebnym, *c'est mon système.*

Roześmiał się pan marszałek. Spojrzał parę razy na Grzybosię, czy nie odejdzie przecie, ale stara panna, posłuszna rozkazowi, siedziała już i coś robiła koło porwanych koronek, a marszałkowa zdawała się nie odgadywać myśli męża.

— Mój drogi — rzekła w końcu — idźże ty sobie, ja się muszę ubrać copędzej; mam tysiąc rzeczy do zrobienia rano.

— A, a — odparł Mniszech, wstając powoli — dosyć że my z sobą po całych tygodniach jak obcy, ledwie się na pokojach spotkać możemy na chwilę.

— I tak być powinno — szepnęła żona — bo inaczej za prędkobym ci się sprzykrzyła, a tego sobie nie życzę.

Wyciągnęła mu rękę do pocałowania.

— De Ligne dziś przyjeżdża — odezwał się Mniszech — a z nim najlepsze na nudy lekarstwo.

To mówiąc, obrócił się na pięcie, od ust żonie przesłał jeszcze całusa i z westchnieniem wyszedł z pokoju, którego drzwi natychmiast na klucz się zamknęły. Miano przystąpić do tajemniczej restauracji wdzięków, bielideł, pomad i różu, które świadków nie dopuszczały.

Plersch, który przez cały dzień siedział w niewoli, na górze, ranek spędził na porządkowaniu improwizowanej pracowni swojej, tak, ażeby nieznaną piękną mogła przyjąć i ugościć. Postarał się o nieodbite sprzęty, z deszczek zbić kazał jaką taką sztalugę, naciągnął płótno, dobił farby z pęcherzami, wybrał pędzle, zastrugał węgiel. Dla swego wzoru z dołu od Zamysłowskich wyprosił krzeselko, bo dla siebie miał tylko dwa stołki. Wszystkie graty swoje do drugiego pokoju powynosił i ubrany czekał.

Ale przez cały dzień, oprócz tego, co mu spóźniony i ostygły obiad przyniósł, nie widział nikogo. Wieczorem dano znać, że nazajutrz rano wzór przyjdzie, że może i marszałkowa także się do niego przekradnie, bo chciałaby pokierować portretem. Znać nie dowierzała gustowi biednego malarza.

Wszystko było więc w gotowości, a wyobraźnia artysty pracowała niezmordowanie nad wytworzeniem sobie wzoru tego tajemniczego portretu. Blondynka czy brunetka? słuszną czy maleńką i zręczną jak myszka? królowa czy subretka?

Subretek Plersch nie lubił. Te śliczne buziaczki z dwoma dołkami na policzkach różowych, z dołkiem na bródce, z zadartym noskiem maleńkim, ze śmiejącymi się oczkami, nie zdawały mu się godnymi jego pędzla. Wolał pięknosci klasyczne, rysów greckiego posągu, z oczyma tajemnic pełnymi, z uśmiechem, w którym gorycz się żeni z rozkoszą,

piołuny i ambrozye. Wystawiał więc sobie swój wzór nakształt tych postaci idealnych, które tak wielbił.

Potem mu na myśl przychodziło, że to być miała prosta dziewczyna, w której oczach tęsknica postać nie mogła, ani ów wyraz tragiczny, której usta śmiać się nie umiały półśmiechem ironii, bólu i słodczy. Jedynym ratunkiem było w takim razie, wziąć rysy tego żywego posągu i z ich tematu stworzyć ideał, któryby był podobnym do wzoru, a stokroć wyższym od niego. Wszak z Wenery Medycejskiej i Apollina robił karykatury udatne, czemużby z bławatka polnego nie miał świętojańskiego wysnuć kwiatu? Plersch rozumiał to dobrze, że w każdym typie jest tysiąc jego odmian zawartych, od poczwary począwszy, do bóstwa.

Pilno mu było ją zobaczyć, rozpocząć. Nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą, ale jeżeli to miała być piękność zachwycająca, dlaczegożby nie przedłużył malowania portretu, aby się na nią patrzeć, patrzeć i upić aż do szału. Taki szal wewnętrzny, skryty, był w jego życiu jedyną rozkoszą, dozwoloną.

Mówił sobie, że każe jej patrzeć w oczy... malarzowi... i że ze wzroku tego na długo zacerpnie życia. Ktoż wie, może ich samych zostawią, może potrafi zawiązać rozmowę, może...

Myśl puszczała się jak dziki koń po stepie. Plersch tem tylko żył.

Raniuteńko wstał. Serce mu biło, nie wiedzieć czego. Zszedłszy na dół, zobaczył w oknie u Zamysłowskich wykwitłą różę miesięczną i — ukradł ją, aby sobie popielaty frak nią przystroić. Żaboty pomięte w tłumoku sam odchuchał, mankietki były fantastycznie powyciągane, ręce umyte z kokieterią. Pończochy włożył jedwabne, z klinami à jour, trzewiki ze sprzączkami stalowymi, u kamizelki dewizki zdobita wielka gałka korallowa jako dorodna wisznia, a guziki jej były wprawdzie szklane, ale ze szkła weneckiego, w tęczowe kolory.

W zwierciadle wydał się sobie wcale przystojnym, choć nim nie był.

Było jeszcze bardzo rano, gdy na wschodkach posłyszał głosy. Stara kobieta weszła do izby, obejrzała się do koła i dopiero znać przekonawszy, że się nie omyliła, obejrzała się za siebie w ciemną sień, ręką skinąwszy na towarzyszkę.

Była to Sydorowa, za nią tuż szła Natałka. Ranek był chłodnawy, okryła się więc chustą wielką cała i dopiero na próg wszedłszy, ją zrzuciła.

W tym półmroku Plersch ujrzał swój wzór po raz pierwszy.

Ani Sydorowa ani Natałka nie wiedziały dobrze, jak się ubrać miała do malowania. Czula instynktem dziewczyna, że jak najpiękniejszą być powinna. Kładła więc i zrzuciła różne stroje, a wreszcie przybrała się dosyć fantazyjnie, ale nie po ukraińsku.

Ojciec jej kiedyś sprawił gorsecik, który widziała u dworki; wdziała go teraz na białą, cienką koszulę, z szytymi przez siebie rękawami. Od szyi spadały korale do pasa. Włosy spleta matka w dwie długie kosy czarne, przetykane wstążeczkami. Lecz czemże był ten strój wieśniaczy przy krasie twarzy tak świeżej, tak jasnej, tak promienistej, że malarz na widok wzoru poczuł objawienie nowe, trzeciego typu, co nie był ani subretką, ani Ifigenią, a zdawał uosobieniem wiosny i życia.

Sydorowa pozdrowiła po rusińsku, Natałka ani skinęła mu głową; co ją obchodził ten majster, który miał malować ją, której król hołdy składał, której Pan złożył pocałunek na czole i iskrzący się pierścionek włożył napalec.

Pierścionek! w jej myśli było to jakby zaślubienie z królem — należała do niego. Jakże miała patrzeć na innych maleńkich człowieczków, kiedy sama była jakby królową i czuła się panią.

Z tą dumą na czole weszła w majestacie dziewiczym do izdebki.

Plersch patrzył i zapatrzył się. Widział nieraz bardzo piękne proste dziewczęta wiejskie, ale takiej, nie przypuszczał istnienia.

Kobiety wszedłszy do pokoju, nie wiedziały co począć z sobą. Plersch olśniony zagadać nie umiał. Trwało to dosyć długo, aż stara go zagadnęła.

— No, a cóż będzie?

— Zaraz — odparł artysta, i zbliżył się drżący do dziewczęcia.

Czarne oczy Natałki padły nań z ciekawością zimną.

Plersch nie wiedział, jak ją nazwać. Panią nie wypadało, imienia nie znał.

— Panienska — rzekł cicho — wie pewnie, że ja mam ją malować?

Natałka potrząsnęła głową.

— Stać ma czy siąść? — odezwała się stara.

Za całą odpowiedź artysta krzesło przysunął, Natałka usiadła. Chciał ją jakoś ułożyć podług swej myśli. Zdawało mu się, że z koszykiem w ręku, pasterką byłoby jej bardzo ładnie; potem spartą na kolumnie, potem u monumentu, lub kreślącą na drzewie cyfrę ręką drżącą. W smaku wieku były te sentymentalizmy.

Wszystko to przebiegło mu przez głowę; chwila minęła, a Natałce brwi się zbiegły; nudziło ją to.

— Macie malować — odezwała się — no to dobrze, ale ja nie dam siebie sadzić jak wam się podoba; ja sobie siądem sama; malujcie jak chcecie, wola wasza. Inaczej nie będzie.

Ten despotyzm, tak siebie pewny, wielce zaimponował artyście.

— Jakże panienka chce usiąść?

Natałka pomyślała chwilę, posunęła krzeselko, rękę położyła na poręczu, a na rękę główkę, smutnie jakoś pochyloną.

Z tej pozy, przybranej od fantazyi, stworzyło się coś oryginalnego, niby obrazek, nie portret, gdyż portret wedle pojęć wieku, musiał siedzieć wyprostowany, sztywny i być pozbawionym życia, aby zyskać nieśmiertelność.

Natałka pochylona tak, z minką zateśknioną i smutną, niby opuszczona, znudzona, oczekująca, zdała się artyście zbyt nieklasyczną.

— Ale proszę panienki, w takiej postawie...

Podniosła dziewczyna głowę.

— A, to inaczej nie będzie — odparła i znowu przybrała tę samą pozę.

Plersch, który już miał węgiel w ręku, zatrzymał się i zawahał.

Sydorowa, która była usiadła na stołku, wstała i zbliżyła się do córki.

— Doniu, kochanie, a toć to oni lepiej od nas wiedzą, jak siedzieć do tego potrzeba, to posłuchajże.

Dziewczę główką rzuciło przecząco, a na malarza spojrzęło z zalotnością, którą go przekupić chciało.

— Ot tak — rzekła cicho — a no tak!

Co tu począć było. Stał malarz, wpatrywał się i myślał. Oczy Natałki ciekawie były w niego wlepione.

Na kim innym takie zimne, ciekawe wejrzenie nie uczyniłoby pewnie wrażenia, lecz Plersch był rozmarzony, wygłodniały, i zatopiwszy się w tych oczach, w twarzyczce, w zagadce tej piękności niepojętej, uczuł się oczarowanym, podbitym, co gorzej, do malowania niezdolnym.

Napróżno silił się odgadnąć, co to mogła być za istota. Węgiel mu w ręku drżał, podchodził do płótna i czuł, że nie potrafi ująć tej twarzy. Była nadto piękną, węgiel był nadto brudny, palce mu kostniały.

— A no, a no, a długo to my tak siedzieć tu będziemy? — spytała stara — toście jeszcze nic nie zaczęli, a i kresek nie widzę.

— Bo to się inaczej zaczyna — odezwał się malarz, rękę z węglem podnosząc.

— Ale wy i nie zaczęliście jeszcze — dodała stara — to pókiż tego będzie?

Natałka siedziała spokojnie, jakby o czym innym zamyślona. Na tej ręce, na której położyła głowę, miała właśnie królewski soliter. Palec nie był zawinięty, obrączka świeciła jasno i zdradzała. Plersch dopiero teraz postrzegł dyament na palcu Natałki i ścisnęło mu się serce jakimś uczuciem smutku i upokorzenia niewysłowionego. Wszystek wdzięk dziewczęcej twarzy zgasł przy tym błyszczącym kamyku.

— Biedna istota! — rzekł w duchu. Ochłonął trochę i powoli rysować zaczął.

Sydorowa z tyłu patrzyła nań ciekawie, a dziewczę śledziło także oczyma każdy ruch jego; kreślił i mazał.

Z razu szło tępo; powoli obudził się w nim artysta, a zatarł człowiek. Przed sobą miał zadanie trudne, któremu chciał podoleć. Rzucił więc szybko na płótnie raczej znaki miejsc, w których się kształty miały ułożyć, niż linie; pilno mu było do barwy, która w tem licu grała tak wielką rolę, iż zdała się być jedynym żywiołem, z jakiego urósł ten kwiatek. Drżały mu ręce, ale już teraz z zapędu dla pięknego wzoru, z którego piękny obraz miał stworzyć.

Sydorowa patrząc, co się działo na płótnie, niedowierzająco głową kiwała. Dziewczę podnosiło czasem twarz i znowu wracało do obranej pozy.

Plersch już paletę pochwycił. W izbie panowało milczenie, robota szła szybko i jak pod prądem natchnienia. Zaczynał już zakładać główne plany, gdy głosy w domu i na wschodach przestraszyły kobiety.

— Na miłość Boga, niech się panienka nie rusza — zawołał Plersch — cała robota przepadnie.

Natałka obojętnie głowę złożyła na rękę, a Sydorowa niespokojna poszła ku drzwiom. Właśnie się one otwierały i pani marszałkowa wchodziła. Spostrzegła Plerscha z paletą, Natałkę w pozycji wcale niezrozumiałej do portretu na krześle, i nie witając się nawet, krzyknęła:

— Jak to, już pan zacząłeś bezemnie?

I postąpiła szybko ku sztaludze, rzuciła wzrokiem na wzór, potem na płótno.

— Ale cóż to będzie?

— Panna mi inaczej siedzieć nie chciała.

Marszałkowa spojrzała.

— Moje dziecko, tak ci nie będzie do twarzy.

— Ale mnie tak do serca — odparła obojętnie Natałka — niechaj już tak będzie.

Milczenie chwilę trwało, a pani Mniszchowa, która sama trochę malowała, przez ten czas kręciła głowę.

— Taki portret! proszę cię Plersch. To nie wiedzieć jakie dziwactwo.

Wzór zdawał się nie słuchać i nie słyszeć.

Nie pozostało pani Mniszchowej, przypatrzwszy się rozpoczętej podmalówce, jak westchnąwszy, zgodzić się z wyrokiem losu.

— No, to kończ, panie Plersch — rzekła — niech już i tak będzie, ale zrób ją podobną. Nie mamy czasu, trzeba żeby to było gotowem prędko.

— Prędko? pochwycił artysta, który już sobie na malowaniu zbudował całe marzenie, a pierścieniem brylantowym tłómaczył możliwość urzeczywistnienia go.

Pani Mniszchowa pomiarkowała, że jej wizyta do pośpiechu w pracy przyłoży się nie mogła, odstąpiła więc dosyć nierada od sztalugi i poczęła na stronie rozmawiać z Sydorową, prosząc ją, aby póty, póki artysta wzoru potrzebować będzie, córkę nakłaniała do siedzenia.

— Coż już począć! Niech siedzi jak chce, byle podobieństwo pochwycił.

Ułożono tedy, że i obiad miał być przysłany na górkę i obie kobiety do wieczora tu pozostać miały. Wszak się nie pytano Plerscha, czy wydoła pracy przez dzień cały, czy nie będzie potrzebować odpoczynku; on, machina do malowania, nie wchodził w rachunek. Pani Mniszchowa szepnęła mu: spiesz się, proszę — i poszła.

Po wyjściu jej rozpoczęto na nowo.

Natałka się niecierpliwiła nieruchomem siedzeniem, parę razy Plersch musiał jej pozwolić przejść się. Pobiegła wyglądać oknami, obejrzeć izbę, poruszyła jak dziecię wszystkie sprzęty i narzędzia, aż do pędzli malarza. Znać było, że jej to zamknięcie i niewola ciężkimi były do zniesienia. Poszła za sztalugę przypatrzeć się nieforemnemu zarysowi własnego wizerunku, i rozśmiała się szydersko, widząc coś niezrozumiałego i dziwaczne-go.

— To to ja? — Ruszyła ramionami.

Z wielkimi trudnościami połączone malowanie trwało do popołudnia, aż i obiad przyniesiono. Plersch z chłopcem ustawili stół, przygotowali talerze, Sydorowa z córką usiadły.

Potrawy ze stołu pańskiego dziwne się im wydawały, ale Natałka ciekawie je próbowała, jakby do nowego sposobu się życia.

Przy stole Plersch począł rozmowę po kieliszku wina. Sądził, że dobędzie jakie słowo z zamyślanej, dumnej dziewczyny, lecz szło mu trudno. Patrzała nań z góry. Sydorowa pod koniec stała się rozmowniejszą.

Nic się jednak od nich dowiedzieć nie mógł Plersch, a okrutna go paliła ciekawość. Domyślał się w dziewczęciu czyjejś ulubionej, lecz jakże to było pogodzić z pobłażaniem dla niej osoby tak surowej jak pani marszałkowa? Ten pierścionek, ta duma dziewczęcia, która się na czemś opierać musiała, to milczenie — wszystko dlań było niezrozumiałem.

Jedną tylko jej piękność rozumiał, a ta tłumaczyła wiele. Co się w duszy pod tą cudną kryło powłoką? do badać się nie mógł; oczy wiele mówiły, usta — nic. Pod koniec obiadu wreszcie rozwiązały się nieco usta starej kobiecie.

— Wy nie tutejsi? — spytała.

— Nie, ja jestem z Warszawy.

— A piękna Warszawa? — przerwała Natałka.

— Trudno ją wam opisać — rzekł rad z zaczepki malarz. Jest tam i pięknego dosyć i brzydkiego nie mało, ale ludu, wojska, panów, powozów siła, i wesoło bardzo. Nad Wisłą, wysoko, król mieszka, w pięknym, starym zamku.

Gdy ten wyraz „król” wymawiał, lice dziewczyny pokryło się szkarłatem całe i oczy błysnęły, a usta mimowolnie powtórzyły: król!

— Króla tu w Kaniowie choć z daleka widzieć musieliście — mówił malarz. Pan jest dobry i miły. Ja miałem nieraz szczęście go widzieć i mówić z nim.

Kobiety spojrzały na siebie i zamilkły. Plersch dla odwagi wino pił i coraz się ożywał.

— Cóż król robi? — spytała Natałka.

— A, mój Boże! — odparł śmiejąc się Plersch — to bardzo trudno wam powiedzieć. Męczy się, króluje, ludzie mu się kłaniają, piękne panie oczyma go łapią.

— A lubi piękne panie i gładkie liczka? — zapytała Sydorowa.

— O, a któżby ich nie lubił? alboż król nie człowiek? — mówił artysta. Chciałbym mieć tyle lat życia, ile go kochało i w ilu się kochał.

— To chyba w żadnej! — przerwała nagle Natałka, porywając się od stołu — i nie kochała go żadna, boby nie dała mu go sobie odebrać.

To mówiąc i jakby chciała skończyć rozmowę, pobiegła do krzesła, siadając do malowania.

Plersch rad nierad powrócił do palety. Po obiedzie szło mu raźniej, a do zmierzchu przeciągnęła się robota. Gdy się nieco zciemniło, rzucił pędzle i Sydorowa wnet zabrała się córkę okrywać i do wyjścia sposobić.

Zamyślonie i zanudzone dziewczę nie pożegnało nawet malarza, rzuciło nań tylko oczyma czarnemi, a że w czasie malowania wzrok ich się często spotykał i Natałka czuła, że Plersch coraz na nią rzewniej spoglądał, uśmiechnęła mu się w pół litośnie, na pół przyjaźnie. Dziękowała mu za to, że zimnym nie został i nie dał jej zwątpić o sobie.

— A jutro — rzekł w progę do Sydorowej artysta — czekam znowu rano.

— I długo to będzie? — markotno zapytała stara.

Plersch ruszył ramionami; rad był choć dla przyjemności patrzenia w te oczy czarne, aby to wieki trwało.

Po odejściu kobiet, choć mrok już padał, męczył się jeszcze nad portretem, ale noc mu pędzle z rąk wytrąciła.

Przez ten dzień zrobił wiele; odchodzące kobiety spojrzawszy na płótno, już się z niego nie śmiały, ale dziwiły. Sydorowa patrzyła z pewnem poszanowaniem na malarza, Natałka zdawała się nie pojmować, jak taki niepoczesny człowiek mógł takiego cudu dokazać. Obraz był zaledwie podmalowany, lecz przewidując, że mu co do skończenia go przeszkodzić może, Plersch założył w nim wszystko, tak, aby i bez wzoru mógł dokończyć. Rysy i wyraz twarzy Natałki utkwily w jego pamięci głęboko.

Znużony, położył się, aby spocząć i snem gorączkowym przemarzył do rana. O brzasku wstał do roboty.

Gniewał się na siebie, bo o tej dzikiej dziewczynie ciągle myślał. Napróżno sobie przypominał brylantowy pierścień, który go zrazić był powinien; i z nim wreszcie czarowała go.

Nazajutrz dawno już stał przy sztaludze, gdy kobiety nadeszły. Sydorowa była chmurniejszą niż wczoraj, a dziewczę jakby rozgorączkowane i gniewne. Zaczęła się robota w milczeniu.

Okolo południa pani Mniszchowa na chwilę się wkradła; pobiegła wprost do portretu i uradowana klasnęła w dłonie.

— A!... wiesz Plersch, że to będzie wcale ładny obrazek. Greuza mi przypomina.

— Pani hrabina nadto łaskawa.

— Wykończ tylko; oryginalny obraz i pełen smutnego wdzięku.

— Winienem to przypadkowi, a raczej mojemu wzorowi, który sam znalazł tę pozę.

— Doprawdy, bardzo szczęśliwą — dodała marszałkowa. Wczoraj, z razu zdało mi się to niedorzecznym, dziś, *je trouve, que c'est charmant!*

Niezmiernie krótko trwały odwiedziny pan Mniszchowej, nalegała tylko, aby obraz mógł być skończonym co najprędzej.

Plersch tego dnia oczekując nieszczęśliwie z Bondarywną, do reszty się upił jej pięknnością. Miał zręczność z oswojoną nieco mówić więcej; zdawało mu się, że nie była już tak dziką, że gdyby starczyło czasu... któż wie... Biedny Plersch marzył jak człowiek, co nie zna świata i wejrzenia a uśmiechy za dobrą bierze monetę.

Po odejściu kobiet, choć mu zakazano z domu wychodzić, wytrzymać w nim nie mógł. Zdawało mu się, że płaszczem okryty, prześliznie się uliczkami i dostanie do panny Grzybowskiej.

Znał ją z Warszawy i z Wiszniowca, dokąd na kilka dni po garderobę i różne przybory dla marszałkowej przyjeżdżała. Wszędzie, gdziekolwiek dłużej musiała przesiedzieć, Grzybosia na wszelki wypadek zawiązywała stosunki. Była wesołą, dawała sobie mówić nawet często drażliwe rzeczy i sama o drażliwych rzeczach zręcznie rozpowiadać umiała. Lubiała bardzo towarzystwo młodzieży, a choć Plersch powabnym nie był i bardzo bojaźliwym, na pustyni wiszniowieckiej kilka dni z nim wesołych dosyć przebyła. Zapraszała go do siebie na kawę we dnie, wieczorem na gawędkę i polubiła nawet. Plersch, któremu ze starą panną było łatwo jakoś i raźnie, chętnie z jej uprzejmego towarzystwa korzystał. Z nią można było czasem całkiem kawalerską prowadzić rozmowę, i nigdy się nie pogniewała. W najgorszym razie klapnęła go po rękę i zawołała:

— Paskudnik pan jesteś, słuchać tego nie chcę!

Było to dosyć zabawnem.

Plersch wiedział, że Grzybosia była z marszałkową; chciał się do niej przekraść, aby się od niej coś o dziewczęciu, które malował, dowiedzieć. Drugiego dnia bowiem zakochanym był po uszy.

Niepodobieństwem mu się zdawało, aby Grzybowska, która wiedziała wszystko, nie znała historii tej tajemniczej istoty, co chodziła w wieśniaczym stroju, brylanty nosiła na palcu i miała takich opiekunów.

Wieczór był pośepny, gdy Plersch wysunął się ze dworku Zamysłowskich.

W miasteczku spodziewał się zorientować łatwo, a nieznanomego przechodnia zapytać o dwór marszałkowej. Powiodło mu się to nadspodziewanie, bo go w istocie sługa Mniszchów do drzwi zaprowadził i wnijsie do panny respektowej ukazał.

Grzybosia znużona drzemiała na krzeselku sama jedna, gdy Plersch się wsunął. Przebudziła się, udała przelęknioną i wyłajała natręta, ale poznawszy go, kazała mu sięść i pozwoliła zostać.

— Po co się pan włóczysz po miasteczku? jeszcze pana kto zobaczy i pozna! pani marszałkowa gniewać się będzie! — zawołała.

— Panno Różo, dobrodziejko, nie mogłem wytrzymać, bym pani uszanowania nie złożył.

— Doskonały, jak mamę kocham! — rozśmiała się panna Grzybowska — doskonały! Cóżes to tak nagle dla mnie rozgorzał? a kiedym była w Wiszniowcu, to prosić trzeba było, żebyś wieczorami przychodził.

— Pani jesteś względem mnie niesprawiedliwą — przerwał Plersch — to było niemal jedyne i najmiłsze dla mnie towarzystwo.

— Dziękuję, ale wołałabym, żebyś w dworku siedział i robotę kończył. Hrabinie z nią pilno, bardzo pilno.

— Ach, pani! — ręce składając zawołał malarz — mię też pali gorączka dowiedzenia się choćby, kogo maluję i dla kogo?

— Patrzajcie go, jaki ciekawy! A waćpanu co do tego?

I pogroziła na nosie.

— Jużciż nic dziwnego, że mnie ta zagadka nęcić musi; przyzna pani, że to bardzo naturalne.

— Ale waćpan się nic nie dowiesz, nic! — odparła Grzybowska. To są tajemnice stanu. Ja sama nic nie wiem.

Zrobiła stara panna taką minkę figlarną, że Plersch był przekonany, iż kłamie.

— Bardzo dobrze — odparł — w takim razie daję słowo honoru, nie skończę portretu, dopóki nie dojdę tajemnicy.

— A cóż cię tak piecze? — zawołała Grzybowska.

— Co? chcesz pani wiedzieć? — rzekł Plersch — o to w tej dziewczynie szpetnie się zakochałem!

Panna Grzybowska załamała ręce, położyła się prawie w krześle na poręczy i śmiać się zaczęła do łez.

— Słowem — odezwała się w końcu — że ta wiedźma kijowska wszystkim głowy pozawracała. Kto ją tylko zobaczy, szaleje.

— A kto ją jeszcze malować musi i w oczy jej po całych dniach patrzeć — dodał artysta.

— Mój kochany Plersiu — odezwała się panna, biorąc zwierciadełko ze stolika i stawiając je naprzeciw niego — prawda, nie jesteś stary, ale przypatrz się sobie, jak wyglądasz. Jeszcze dla takiej dojrzałej panny, nie przymierzając jak ja, uszedłbyś z biedy, ale dla takiego dziewczęcia jak różyczka, wybac...

— Albo ja tego nie wiem? — westchnął Plersch. Zwierciadła nie potrzebuję, żeby nabyć tego przekonania. Cóż to pomoże, kiedy człowiek szaleje!

— Oblej że się zimną wodą i wróć do rozumu; do czego ci się to zdało?

— Kochana panno Grzybowska, dobrodziejko, przyjaciółko jedyna, wiem i to, że moja miłość nie zdała się na nic, chyba na to, aby mi przyczyniła męczarni, ale... Kocham się.

Grzybowska ruszyła ramionami trochę gniewnie.

— Więc żeby cię opamiętać, bo szczerze mu dobrze życzę — szepnęła, zawahawszy się nieco — to ci powiem. Dziewczynę tę król pokochał, rozumiesz? Portret jest dla niego przeznaczony. To dosyć. Powtóre i to jeszcze dodam, że my ją za mąż wydajemy.

To mówiąc, odkrzyknęła znacząco.

Plerschowi oczy się zapaliły; chciał coś mówić, zająknął się, podparł łokciem na stole i zadumał.

— A, co za szkoda tej ślicznej, niewinnej istoty! — westchnął.

Grzybosia się rozśmiała.

— Nie pleć — rzekła — cóż to, źle jej będzie? Prosta chłopka, a wyjdzie może za jakiego szambelana i we wszystko opływać będzie. Niewinna istota! cha! cha! takie to mądre, że od razu zrozumiało swoje szczęście, i ona i matka; w to im graj; nie drożyły się wcale.

— I za kogoż ją wydacie, za kogo? — zapytał Plersch ponuro.

— Konkurentów nie zabraknie — rozśmiała się Grzybowska. Mam już jednego szambelana, a jakbym natarła mocno, kto wie, czy pewien artysta nie zgodziłby się także zostać kandydatem.

— O, nie — odparł Plersch — nie, ślicznie dziękuję. Kochać się mogą do szaleństwa, ale żenić w takich warunkach nie potrafię. To dla szambelanów rola, a nie dla artysty.

I skłonił się z miną smutną. Grzybowska spojrzała nań zdziwiona nieco.

— A, jak mi jej żal! — powtórzył zadumany Plersch. Z tego polnego kwiatka...

— Będzie to, co ze wszystkich piękniejszych kwiatów: pójdzie do bukietu na królewskie pokoje i wyrzucą go potem na śmiecie.

Westchnęła, mówiąc to panna Grzybowska, a wspomnienie jakieś nagle w jej oczach zaświeciło dwiema łzami, które prędytuko otarła, starając się wrócić do pierwszej swej wesołości.

— Król! nie rozumię króla — rzekł po cichu artysta. W młodości namiętność wiele tłómaczy, choć nie wszystko niewinnia, ale w jego wieku, na jego stanowisku, chwilę rozrywki takimi okupywać ofiarami...

— Cicho! — tupiąc nogą zawołała Grzybowska — co nam do ich sumienia? Nasza a ich moralność są do siebie wcale niepodobne; im wiele wolno, bo wielki ciężar dźwigają na ramionach. Dosyć tego, panie Plersch.

Artysta wstał zadumany.

— Dobranoc pani — rzekł na pozór spokojnie.

— Spodziewam się, że się waćpan nie pogniewasz na mnie — przymilając się szepnęła Grzybosia. Uczyniłam to z dobrego serca, dając mu dowód zaufania. Proszę tylko język trzymać za zębami, bo i mnie i sobie pan zaszkożdzisz. Podziękuj mi pan, żeś wyleczony.

Plersch uśmiechnął się smutnie.

— Wyleczony? nie! — rzekł — bo głupia miłość rozumną radą się nie leczy. Jak chorobę przeboleć ją trzeba, to darmo. Nie mogę się pozbyć z przed oczów tego dziewczęcia. Ach, gdybyś pani widziała, jak mi siadła do malowania, z jakim wyrazem smutku i niedoli siedziała cały czas, niby swą przyszłość przeczuwając!

Grzybosią się uśmiechnęła.

— Otóż masz sentymentalnego kawalera, który się tak nad prostą dziewczką rozczula. Lepsze od niej doznały gorszego losu. Ot, nie plótlbyś. Idź, idź, dobranoc. A jeśli ci się tak głowa zawróci, że aż ożenić byś się gotów, aby w te czarne oczy patrzeć, no, to poproś mię pięknie, gotowam to zrobić dla ciebie, że ci dopomogę, bo cię kocham, dalipan, mój Plersiu.

Wyrzekła to z jakimś uczuciem, tak, że poczciwy artysta wdzięczny za dobre słowo, wziął jej rękę i pocałował w milczeniu.

— Jeśli pani jesteś moją przyjaciółką — dodał cicho — a przekonasz się, że do tego szaleństwa doszedł, iż gotów jestem podobnej dopuścić się nikczemności, uczyni pani to i nie dopuść.

To mówiąc, wybiegł jak szalony.

Dnia następnego z rana nie przyszły kobiety siedzieć do portretu. Domyślał się Plersch dlaczego. Po mieście chodziła pogłoska, że N. Pan, potrzebujący wypoczynku, udał się ze starostą Szydłowskim na samotną przechadzkę.

Malarz kończył po troszę z pamięci, smutny i zamyślony. Nie szło mu teraz; mazał, psuł, rzucał; dziwne myśli rodziły się w głowie, parę razy chciał płótno podrzeć na sztuki i uciekać.

Przez chłopca, nader ciekawego, który mu był dodany do posługi, dowiedział się Plersch wiele rzeczy, już po miasteczku krążących. Jak zwykle, nic się tu utrzymać nie mogło w tajemnicy; wiadano, że król u Bondarywny gościł często, że ją malować kazano, że prawdopodobnie za mąż ją wydadzą i do Warszawy lub Kozienic zawiozą.

Nic w tem nie było tak szczególnego w owym wieku i w tych sferach; chorobliwe miłości starych i młodych powszednim były chlebem. Któż nie znał historii wojewody G.... ożenionego w starości z młodą dziewczyną, która go, odegrawszy ze starszym jego synem rolę żony Putyfara, do wydziedziczenia dzieci skłoniła, a dwa czy trzy razy w kawie częstowała go takimi przyprawami, od których psy i koty zdychały? Któż nie wiedział historii jenerałowej, z którą mąż nie żył nigdy i której dziećmi sam król się opiekował? itd.

Rzecz więc tak niezmiernie zwyczajna, prosta, powszednia, jak ożenienie jakiegoś staro niedołągi z piękną Bondarywną, dla ułatwienia z nią miłości królowi, nie obudzała najmniejszego ani podziwu, ani szemrania. Dobijano się tylko o szczęście służenia J. kr. Mości i korzystania z tak szczęśliwego składu okoliczności.

Chłopak dowiedział się więcej pewnie niż w istocie było, napłótl Plerschowi różnych wiadomostek, które go gorączki nabawiły, a co było dlań najważniejszym, uwiadomił, gdzie stał za miastem chutor Sydora i jak do niego trafić było można.

Z południa jednak, gdy malarz sądził, że już nie przyjdą kobiety, otworzyły się drzwi i Sydorowa, bardzo ożywiona i rażna, z Natałką, śmiejącą się i wesołą, weszły na górkę. Dziewczyna naprzód pobiegła do swego portretu i stanęła zadumana z palcem na ustach.

— Albo to ja, albo to nie ja — odezwała się po polsku, ale z rusińska, mieszając z sobą dwie mowy. Bóg wie, taką bym ja mogła być, taką ja może i będę — ale dziś... Nacoście wy mnie zrobili taką smutną, kiedy ja jestem wesoła? — zawołała. Ja dziś jestem bardzo wesoła i szczęśliwa; wy mnie odmalujcie tak jak widzicie. Dziś mi tak lekko na świecie, oddycham tak swobodnie, wszystko mi się śmieje i ja do wszystkiego.

— Tak, widzę to — rzekł Plersch — ale nie taką byłaś panna, gdym ją malować począł, a teraz przerabiacie nie czas. Choćbym na usta dał wam uśmiech, głowa pozostanie spuszczone smutnie. Jam temu nie winien, wyście tak chcieli.

— A no, z Bohom, niech tak zostanie — rzekła Bondarywna — i poszła sięść na swe krzesło, którego miejsce na podłodze kredą było oznaczone. Twarz jej pochmurniała, spuściła głowę na rękę.

Matka śmiejąc się, patrzyła na nią, po chwili przyszła do niej, pocałowała ją w czoło i nic nie mówiąc, na miejsce wróciła.

Aż do wieczora prawie w milczeniu ciągnęło się owo malowanie i głowa wzoru wyszła w całej swej krasie na płótno; pozostawały rączki i suknie, ale i do tych siedzieć było potrzeba.

Zmierzchało już, gdy kobiety znużone wstały. Stara Bondarowa zbliżyła się do Plerscha, szepcząc mu na ucho:

— Czy mnogo groszy kosztuje taki obrazek?

— Jak dla kogo — rzekł.

— A gdybym ja chciała mieć taką doczkę dla siebie, choćby mniejszą? Któż wie, kto mi ją zabierze, niechby choć na płótnie w tęsknicy uśmiechnąć się było do kogo!

Plersch się namyślał.

— Nie mówmy tu o tem — rzekł powoli — pozwólcie mi przyjść do was na chutor, tam o tem pomówimy. Na mnieby się może pogniewano tu, gdybym drugi taki obraz malował.

— Przyjdźcie wieczorem — odezwała się stara — znajdzie się dereniak, pogadamy. Rano nie można, ludzi nadto.

I poklepała majstra poufale po ramieniu. Natałka nań popatrzała.

Plersch przyjść obiecał nazajutrz.

Gdy się to wszystko odbywało po za chatą, w chacie działy się rzeczy, których nawet Sydorowej oczy, zbyt zajęte czem innem, dojrzeć nie mogły.

Od ucieczki Sydora, Maksym kroku prawie na pole nie zrobił. Siedział w domu, chodził do koła chutoru, chował się za płotami, szpiegował, nie jadł, nie pił nic prócz wody, którą z wiadra jak koń chlipał. Dziko mu z oczów patrzyło.

I on i Krywonogi spiskowali. Po nocach siadali w szopie i szeptali. Maksym się zrywał na najmniejszy szelest i biegł stróżować około obejścia. Suchy kij dereniowy, osmalony, ciężki, miał zawsze pod ręką.

— *Ubiju! jej Bohu, ubiju!* — wrywało mu się z ust ciągle.

Natałka od czasu pierwszych odwiedzin królewskich prawie już na niego nie patrzyła. Nie odpowiadała mu, gdy się odzywał, a posługując się nim, pomiatała po swojemu.

Maksym nie wiedział nic, ale domyślał się, co się tam święcić musiało. Częste odwiedziny różnych panów w perukach burzyły go i do rozpaczki przyprowadzały. Lachów kłął na czem świat stał.

Krywonogi zamiast go powstrzymywać, potakiwał ulubieńcowi we wszystkim.

— Niedoczekanie ich, aby oni nam naszą dziewczkę wziąć mieli! — wołał Maksym. Kto się przysunie i odważy — śmierć! ubiję jak psa!

— A król? — mruknął Krywonogi.

— Król stary, to nie król ją bałamuci — mówił Maksym — ale te panicze ze dworu, co chodzą jak lalki i baby postrojone; na to i pięści dosyć, kija nadto. Jakbym w skroń pocałował, ani ziewnie.

Wzburzyło się wszystko w Maksymie, gdy postrzegł, że stara się kręciła i dopomagała córce.

— Niechaj że dziewczyna, bo to młode i złotego dzióbka nie pozbyła, ale ta wiedzma stara! — mruczał Maksym, odgrazając się.

— Wiedział Sydor, czego uciekał; jemu także świerzbiała dłoń; wiedział, że jak nie wytrzyma, to kroplnie którego albo za gardło porwie i zdusi jak muchę; a wiedział i to, że ja tu jestem i że u mnie też krew nie woda. Nie mówił mi nic, ale ja wiem i zgaduję, co myślał... Ubiję... i niech mię na szubienicę prowadzą.

Gdy kobiety do malowania chodzić zaczęły, Maksym do reszty oszalał. Po całych dniach ich nie bywało. Krążył w zaroślach około dworku Zamysłowskich i podpatrywał, co się tam dzieje. Nie zobaczył nic, nie dowiedział się o niczem, ale to długie przesiadywanie do rozpaczki go przyprowadzało. Zaciskał pięści i gryzł wargi do krwi.

Jednego wieczora nie wytrzymał. Bondarowa siedziała na przyzbie, zadumana; poszedł do niej. Choć sierota i obcy w domu, Maksym dom i ich wszystkich kochał nadto, ażeby słowa mierzył i nie czuł się w prawie powiedzieć, co mu w piersi wrzało.

— Słuchajcie matko — rzekł, stając przed nią, a nie postrzegłszy, że z za otwartego okna Natałka rozmowę ich podchwycić mogła — już tego dosyć, com milczał tyle czasu, już tego dosyć. Rozmówić się nam trzeba.

Sydorowa popatrzała nań zdziwiona.

— Ja wiem, czego stary poszedł na Pobereże. Jemu straszno było ręki nie powstrzymać, a was sierotami zrobić wiecznemi. Na mnie to zeszło.

— Czyś ty się zbiesił? — zawołała Sydorowa.

— O nie, matko, rozum mam i serce — rzekł, uderzywszy się w piersi. Bóg nademną. Jeśliście wy ślepi, że nad głowami srom wisi, to ja widzę, i ja, Bóg nademną, ja nie dopuszczę... ja zabiję!...

Bondarowa porwała się z ławy.

— Skręcił się młokos! — krzyknęła, tupiąc nogami — a do budy, psie ty jakiś! ty robie! ty slugo! a tobie co do mnie i do mojego dziecka? słyszysz?

Maksym pobladł i stał milczący.

— Słuchaj, matko Sydorowa — rzekł głosem drżącym — nie darmom ja Bondarowy chleb jadł lat tyle, nie darmo ja wam winienem, że mię nędza nie zgryzła za młodu. Rak jestem, sluga, ale ja Bondarowi wszystko winien, i gdy jemu i jego dziecku krzywda się może stać przed Bogiem i ludźmi, niech zginę, a nie dopuszczę. Łajcie i w oczy mi plujcie, co mi tam, ja mam swoje sumienie. Wy ślepi, matko Sydorowa, wy ślepi, dziecko dzieckiem, u was wiek i rozum, a nie widzicie stryczka koło szyi. Co z tego ma być dobrego, że tu Lachy chodzą?

Kończył te słowa poruszony, rozszalały, gdy przed nim, pomiędzy nim a Bondarową, zjawiała się Natałka.

Siedziała ona w oknie, gotując się do snu. Mruczała pacierze, rozplatała kosy, a myślała, któż wie o czem, gdy ją głos Maksyma doleciał.

Serce jej bić poczęło z gniewu, z dumy; wybiegła jak stała, z rozpuszczonymi włosami czarnymi, które jak płaszcz spadały na białą koszulę i fartuchy, boso, na pół rozebrana; księżyc w pełni padał na nią i rusalkę z niej robił. Czarne oczy ogniste wlepiła w zuchwałego parobka. Rękę wyciągnęła ku niemu.

— Maksym, torbę i kij weź natychmiast i won, precz z tego domu, ty niewdzięczny, ty dziki zwierzu, któremu się krwi zachciewa! Żebyś mi tej nocy pod naszym dachem nie spał! precz! słyszysz? precz!

Jak wkuty stał Maksym,

— Ty mię wypędzasz? — rzekł głosem zbolałym — ty, Natałko, dla której ja życie stawiał i dziś dać gotów? O, nieszczęśliwa godzina!

— Co się tobie uroiło? — poczęła stara, wysuwając się z za córki — my twojej opieki nie potrzebujemy. Co tobie w głowie? ty przybłędo bez ojca, ty... Ja wiem... myślałeś sięgnąć oczyma na królownę, ty z gnoju wyszły robaku!

I stara namiętnie śmiać się zaczęła.

— Nie, matko Sydorowa — rzekł Maksym głosem, który drżał jakoś strasznie bolem i namiętnością — nie, Bogiem się świadczę, ja bezdomowy włóczęga, ja sierota biedny, jam nigdy nie pomyślał o waszem dziecku. Zabić się za nie dać, czemu nie? ale na nie spojrzeć zuchwale, jam się nie ważył. Niech Natałka jutro przyjmie swaty, ja się na ziemię położę, aby po mnie deptali nogami, ale rozbójnika, węża, Lacha do domu nie puszczę, nie puszczę!... krew się poleje!

Obie kobiety jakiś czas milczały. Natałka pierwsza odzyskała przytomność i rozśmiała się.

— Kij i torba na drogę, idź, żebyś mi tu nie nocował. Ja ani twego rozumu, ani twojej opieki nie potrzebuję. Won!...

Maksym potarł ręką po czole i zatoczył się jak pijany. Usta coś mruczały niezrozumiałego. Nie odpowiedziałwszy słowa, postąpił krok w tył i zwrócił się ku obejściu.

W tem z cienia, z za chaty, wystąpił Krywonogi. Stary, nie mówił nigdy prawie; mruczał, pracował, zdawał się stworzony na niemego niewolnika.

Szybko płacząc grubemi jak kłody nogami, przystąpił do Sydorowej. Czuć było wśród ciszy przyspieszony oddech jego piersi szerokich; dyszał, ręce wyciągnął.

— Bondarowa! — zawołał — kiedy Maksym won, ja z nim! Zostańcie same, więdźmy przekłete! Na pohybel wam!...

Ręką zamachnął nad głową, drugą zasłaniając sobie oczy; zachwiał się i szybko porwał Maksyma pod rękę, poszedł z nim pod szopę.

Kobiety stały, szepcząc między sobą, zmięszane. Księżyc w pełni oświecał podwórko. Po chwili z pod szopy wylazł Krywonogi, trzymając kij w ręku. Nie obejrzał się nawet, ciągnąc za sobą Maksyma, który szedł powoli, ze spuszczoną głową.

Sydorowę ogarnęła jakaś trwoga i chciała się zawrócić ku nim, aby ich wstrzymać. Natałka nie dopuściła. Milcząc ręką wskazała na wrota.

We wrotach Maksym się zatrzymał i odwrócił.

— Bywajcie zdrowe, matko Bondarowa i wy Natałko Bondarywna! bywajcie zdrowe! Za chleb i sól Bóg zapłać. Wygnaliście mię, idę; ale nie pójdę daleko; na drugiej miedzy siądę, a co przeznaczono i napisano, to się spełni. Na kogo spadnie krew, Bogu wiedzieć, nie mnie.

Wrota skrzypnęły. Maksym wyszedł z Krywonogim.

Natałka spokojnie powróciła do chaty, a Sydorowa ku płotom poszła, aby podpatrzeć, co z sobą zrobią. Widziała, jak się drużyną w parów puścili i znikli.

Starą strach ogarnął. Całą prawie noc oka zmrużyć nie mogła. Ich dwie w chacie, najmitka jedna, więcej żywej duszy; a włóczągów i zbytników i wszystkich ciurów pełno do koła. Pozamykała i pozaryglowała drzwi, pozasuwała okna, a istnie strach jej było. Psa nawet na podwórzu nie mieli. Szczęściem noc była jasna i dzień się robił prędko, a gdy dobrze rozedniało, Sydorowa spokojniejsza nieco, usnęła.

Nazajutrz miała się o parobka postarać.

Jak co ranka ubrała się Natałka gdyby na niedzielę; teraz u nich święto było tydzień cały. Dziewczę się stroiło w korale i kwiatki. Stało, patrząc w zwierciadélko i marzyło a śpiewało. Królewskie lice, uśmiechnięte tęskno, łagodnie, stało jej przed oczyma.

— On smutny, ja jego pocieszę — mówiła sobie. Ludzie będą przedemną padali. Jam czuła w duszy, że Bóg mię stworzył na to, abym królowała.

I sny złote chodziły po głowie zawróconej.

Dzień cały upłynął wszakże, a gościa nie widziały żadnego; z Kijowa przybyli właśnie znakomici podróżni, którzy króla uwięzili. Przyszły sprawy ważne na stół i trzeba było o czarnych oczach dziewczyny zapomnieć, a księcia Tauryki przyjmować. Księżę miał Poniatowskiego jeszcze raz przejednać z tym nieunoszonym hetmanem, który jak stepowy koń zrywał się, wierząc, od żłobu.

Król miał nadzieję przejednać nareszcie wszystkich swych nieprzyjaciół, nawet tych najzaciętszych, co ze sług i wiernych zauszników wrogami się stali.

Szczęśny zapraszał go do Tulczyna, Czartoryscy się zbliżali, Radziwiłłowie obiecywali iść z królem wreszcie i białocerkiewski starosta, przez wujka żony swej, musiał być do zgody skłonionym.

Obok tych ważnych zabiegów, czemże była owa rozrywka chwilowa?

Cały Kaniów dnia tego był w niezmiernym ruchu. Sydorowa sama nie wążąc się odalić z domu najmitkę posłała na miasto, aby jej parobków szukała.

Tymczasem kobiety siedziały w domu. Bondarowa jedzenie warzyła sama, a Natałka tęskno oknem wyglądała.

Około południa, korzystając z zamętu, jaki w miasteczku panował, Grzybosią zamówiła sobie szambelana Rzezińskiego. Chciała go zaprowadzić na chutor i dziewczę mu pokazać, a jego matce i Natałce. Kazała mu się ubrać paradnie i jeśli można, odmłodzić.

Posłuszny Rzeziński, który jeszcze się wahał, co ma uczynić z sobą, ogolił się starannie, wiadro wody wylał sobie na głowę, suknie wdział, jakie miał najlepsze w tłumoku, karabelę przypasał i stawił się na oznaczoną godzinę. Wyglądał tego dnia wcale nie źle, tylko go Grzybosią przestrzegła, ażeby prościej się trzymał i całą drogę, idąc do chaty, mu to przypominała.

Szambelan zeszywniał, lecz stał się poważnym bardzo.

Natałka siedząca w oknie, pierwsza nadchodzących postrzegła i poszła o nich oznajmić matce. Nie wiedziała kto był, lecz spodziewała się, że do niej przecie szli ci goście. Sydorowa się ogarnęła i wyszła.

Szambelan z Grzybowskią wchodzili właśnie w podwórko. Pozór chaty wieśniaczej nie podobał się szlachcicowi; nosem kręcił.

— Ależ to chłopcy! — szepnął do ucha towarzysze.

— Na Rusi i szlachta inaczej nie wygląda — odparła Grzybowska. Juści zem wam pałaców nie obiecywała.

Zaprezentowała stara panna swojego przyjaciela i weszli do chaty. Natałka spojrzała, domyślając się, że ów nieznajomy przybysz na coś jej musi być potrzebny, przyjęła go więc wesoło i ochoczo.

Rzeziński od chwili, gdy ją w progu stojącą zobaczył, mowę stracił i całą odwagę. Uśmiech dziewczęcia i oczy, z tą myślą, że on ma być panem tego uśmiechu i tych oczów, ogarnęły starego jakby płomieniem. Stał się trusią i nieśmiałym a śmiesznym, bo z dziewczyny oka nie spuszczał.

— Jakby to ubrać tylko po ludzku — szeptał sobie — królowa! pani! Wenera! mości dobrodzieju, obrazek! Żadna się do niej ani umyła.

Dziwnym fenomenem jakichś odżywionych nagle pragnień młodzieńczych, szambelan zapomniał o kasztelanii, o św. Stanisławie, o kopercie, o nagrobku, a zatopił się w kontemplacji tego arcydzieła bożego. Nigdy w życiu nie śniło mu się, ażeby taką mógł mieć żonę, a od lat piętnastu o żadnej nie myślał.

Nagle, taka piękność, a z nią w posagu czerwońce, o których Grzybowska wspominała, kasztelania, krzyż, łaski pańskie... Rzeziński czuł, że mu się mąciło w głowie. Zaczynał tylko znajdować, że królewskie amory, nawet platoniczne, wcale były nie do rzeczy.

Siadł pan Rzeziński w kątku na ławie, mało mówił, na szabli się podparł i uśmiechał do dziewczyny. Natałka mu sama wódki przyniosła i chleb a miodu na zakąskę. Z jej rąk wychylił czarękę, a dotknąwszy wypadkiem małego palca, poczuł po całym ciele przebiegający dreszcz, który jak piorun przeleciał potem przez pacierzową kolumnę i w mózgu błyskawicą się rozplynął. Szambelanowi jasne płatki jak gwiazdy latały przed oczyma.

Grzybosia patrzała nań jako osoba doświadczona; po części odgadywała wrażenia biednej ofiary, mierzyła go okiem szyderskim, zmusiła do drugiej czarki, naprowadziła na opowiadanie o majątkach, o dostatkach, o dworze, mrugała, śmiała się i dzięki jej zręczności a wielkiej domyślności kobiet, odwiedziny wypadły szczęśliwiej daleko, niżeli się nawet spodziewała.

Rozmarzony Rzeziński, pożegnawszy się z Sydorową i Natałką, ledwie wydostał się za wrota, pochwycił rękę Grzybosi i całując ją z uniesieniem, krzyknął.

— Królowo moja! dziej się wola Boża, za tą dziewczyną w ogień i w wodę, byle moja była.

Śmiała się panna Grzybowska, a szambelan rękami do góry podniesionymi gestykułując, wzdychał, bił się w piersi i protestował, że na wszystko był gotów.

— Jeśli pan tak to będziesz brał gorąco — odezwała się w końcu Grzybowska — najpewniej z tego nic nie będzie, bo się waćpana i ona złęknie, no, i ja, a może i kto trzeci. Tu te zapaly nie w miejscu, bo byś ani kasztelanii, ani krzyża nie dostał, a żonę, prędzej później, przecież mieć będziesz zawsze.

— Tak, później, bardzo dziękuję! — mruknął szambelan, a Grzybosia się śmiała.

Zmierzchać zaczynało, gdy Plersch, który prędzej wybrać się niepostrzeżonym nie mógł na chutor, wyszedł ze dworku Zamysłowskich i po pod płotami, małemi drożynami, okrążając ulice i drogi, począł się na przedmieście przekradać. Bardzo szczęśliwie dlań, dnia tego więcej niż kiedykolwiek życie się całe skupiło około dworu N. Pana. Wszyscy musieli być na usługi, a wielu z dobrej woli składało hołdy księciu Tauryki, którego pan hetman bodaj na przyszłego kandydata do korony kierował. Mógł więc Plersch niepostrzeżony, nie spotkawszy nikogo, oprócz jednego parobka, który z pola przewrócony pług wlokąc z sobą, powracał, dostać się aż do Sydorowej chaty.

Nie był jednak pewnym, czy nie zablądził z nieśmiałością wszedł na podwórko. Stało ono puste, drzwi chaty byty otwarte. Z dała cicha piosenka odzywała się okienkiem odsuniętem; głębiej w obejściu nowi parobkowie, których najmitka przyprowadziła, szepcząc rozpatrywali się po stajniach i chlewach.

Plersch po głosie poznał, albo się raczej domyślał Natałki. Stał trochę, aby się tą piosnką rzewną, w której brzmiała ukraińska nuta, nasycić. I na duszy od niej zrobiło mu się smutno nad wyraz. Pomyślał, jaki tej pieśni wiosennej koniec być musi w jesieni, jeżeli życie jak strumień, brzegi wyrwawszy, popłynie. I krok za krokiem postępując,

zwolna przyszedł aż pod okienko, a cień jego padając na nie, rozbudził dziewczę i usta jej zamknął. Poznała malarza, a wiedziała dobrze, że i on był jej zawojowanym sługą. Nie wstając, rzuciła mu „dobry wieczór”.

Plersch się zbliżył ku niej i naprzeciw usiadł na przyzbie. Natałka z jednej, on z drugiej strony, przez otwarte okno rozmawiać mogli z sobą. Sydorowa chodziła po gospodarstwie, dziewczę jej przywoływać nie myślało.

— Późności przyszedli — odezwała się Natałka — a to już dnia mało i noc nadchodzi.

— Nie mogłem prędzej — rzekł Plersch — i długo wam tutaj nie będę natrętny.

— E, my po księżycowych nocach czasem do kurów siedzimy — mówiła Natałka — ja lubię patrzeć na księżyc i słuchać ciszy nocnej, albo gdy chmurki białe po niebie latają, gonić je oczyma, albo gdy bąki huczą na moczarach, przysłuchiwać się ich hukaniu.

— Szczęśliwe to życie, kiedy się tak może pod swoją strzechą po pracy odpocząć — odezwał się Plersch. Co wam tu brak? mój Boże!

— Pustynia! — poczęła Natałka. Wy mówicie, czego brak? a no wszystkiego — ludzi... Bąka słuchać, gdyby się głosu ludzkiego chciało, to bieda i tęsknica; w chacie się dusić, kiedy drudzy białe domy mają...

Plersch pomilczał chwilę. Żał mu było ślicznej dziewczyny.

— E — rzekł powoli — gdybyście nie gniewali się na mnie, jabym z wami rad pomówić od serca.

— Od serca? — rozśmiało się dziewczę.

— Nie rozumiecie mię może, no to powiem od sumienia..

Dziewczę zmilkło.

— Mnie was żal okrutny — rzekł malarz.

— A no? — spytała Natałka.

— A tak, żal — ciągnął dalej Plersch — żal mi was. Wyście szczęścia warci, a wam się gotuje niedola. Ja wszystko wiem.

Natałka, która siedziała na ławie, wstała i sparszy się o okna krawędzie, zwiesiła nad siedzącym główkę ciekawą. On pozostał w miejscu, z podniesioną ku niej twarzą.

— Wyście lepszej doli warci — mówił Plersch, powoli się coraz więcej unosząc. Ja wiem, podobaliście się królowi. Król dobry jest, ale on co dnia nowej twarzy pragnie i miłości nowej. Co za dziw, żeście go oczarowali... a co potem? Jutro pamięci nie zostanie w jego sercu o tem, co wczoraj życiem by był okupił. A wy, wy zostaniecie ze łzami i ze sromem i z niezdatnym mężem, którego wam może dadzą, i będziecie płakać resztę życia.

Mówił to powolnym głosem, smutnym, a Natałka go słuchać się zdawała pilnie. Główka jej poruszała się w mroku, kołysząc jak usypiająca dziecina. Słowa nie zdawały się czynić wrażenia, aż Plersch, który się czego innego spodziewał, zamilkł.

— Mówcie — rzekła — niech wam to z duszy zejdzie. O mój Boże! albo to ja głupia dziewczyna? nie wiem tego wszystkiego? Ale wy mię nie znacie, o nie. Mnie od kolebki wielkość się śniła i chęć wielkości skosztować. Jam się dzieckiem perłami bawiła, chodząc w zgrzebnej koszuli; mnie ojciec i matka kołysali królową. Mnie tu ciasno, mnie tu tęskno; ja chcę wrzawy, i ludzi, i stroju, i śmiechu — no, ta choćby i łez!

Z kolei Plersch, słuchając, niemal oślupiał. Mówiła tak jakoś jakby przez sen, w jasnowidzeniu, nie powszedniem słowem i duchem. Była nie tą, którą widział u siebie na górcie, prostą dziewczyną, ale jakimś dlań niezrozumiałem stworzeniem, przez której usta istota nieznana mu przemawiała.

— Ach! — zawołał, gdy umilkła — nie szczęśliwszeń życie spokojne? nie lepiej-że by wam było przysiądz u ołtarza takiemu, coby wam przysięgi dotrzymał i nie kryć się z niczem, i nie wstydzic niczego?!

— Albo myślicie, że ja kryć i wstydzic się będę?... Grzech! jaki grzech?... on pan, on król, grzech jego, nie mój! Ja niewinna! ja idę jak ćmy na ogień...

— A ćmy w ogniu płoną — rzekł Plersch.

— Niech i ja się spalę, ale życia skosztuję! — zawołała Natałka, śmiejąc się dziko. I ręką pogroziła malarzowi.

— Ja wam powiem też prawdę, o, ja wszystko rozumiem, przedemną się nic nie ukryje. Mię nikt tego nie uczył, ot tak, samo mi to przychodzi, nie wiem zkad. Wam nie o moją idzie dolę... wyście też zakochali się we mnie.

Klasnęła w dlonie.

— A co, a co? nie prawda? O, o, jam to drugiego dnia już wiedziała. Wyście nie malowali, tylko patrzali we mnie, prawda? wybyście też chcieli mię wziąć do ołtarza i przysięgać.

Plersch się zmięsział. Nigdy nie mógł przypuścić, aby dziewczę tak śmiało było.

— Nie będę się zapierał; może i mnie od waszych oczów zawróciła się głowa, alem ja nie myślał o sobie, gdym mówił o was, nie, na to się wam na Boga zaklinam. Jam tam żył, ja patrzałem na to, co się dzieje, ja znam Pana i ludzi i świat ten, którego wy nie znacie. Tam nie trwa nic.

Dziewczę potrząsało głową.

— A gdzie trwa? — zapytała — a co trwa? wszystko przechodzi i ginie! Tak stoi w pieśni naszej. Niech krótkie życie przejdzie jak błyskawica jasna, a potem...

— O, o, a z kimże to tak przez okno gadacie? — odezwał się głos Sydorowej.

Natałka odstąpiła od okna i pokazała na Plerscha.

— A czemuż pana majstra nie prosicie do chaty? Taka to z was gospodyni — poczęła Sydorowa, poprawiając na stoliku obrus i idąc już po czarkę i obiecany dereniak.

— Chodźcie do chaty — dodała znikając z okna dziewczyna.

Plersch wszedł.

Zaczynało zmierzchać, księżyc już później schodził, więc ciemność szybko po słońca zajściu rozciągała się po stepie i miasteczku.

Kaniów leżał już w mrokach. Gdzieniedzie na dniewprowych wodach odbijał się szmat jasnego nieba i świecił jak oprawione w czarne ramy zwierciadło. W powietrzu była woń wiosenna.

Obok wzgórza, na którym stał chutor, ciemny parów przerzynał drogę i ciągnął się, stare wód łożysko, ku dniewprowym brzegom. Wyschły był teraz i wiosną tylko lały się nim śnieżne wody, wyrrywając mu boki i szczerbiąc strome ściany. Co roku na nich wiatry zasiewały zioła i krzewy, które się czepiały boków, wpijały w nie korzeniami i zawieszono na pół w powietrzu, bujały, rosnąc na łasce wichru i słoty. Niekiedy odrywał się kawał parowu i bryłami spadała glina z krzewami w łożysko.

Wiosenne wody czyściły tę głębię i zarośla nowe niszczyły, tylko górą silniejsze krzaki gęsto zbite, opierały się wiatrom i wodzie, zwieszając po nad wąwozem.

Ciemno było i we dnie na dnie jego, bydło szukało tu schronienia w południe, ludzie wypoczywać chodzili. Niejeden włóczęga, co po miasteczku nocą płądrował, na dzień się w te gąszcze zaszywał. Gdy słońce zapadło, każdy mijał wąwóz pospiesznie. Bywało rozbijano w nim często, a kupki kamieni i gałęzi świadczyły o dawnych morderstwach.

Tego wieczora też gałęzie tarnu i leszczyny i głogów jakoś szeleściły dziwnie, jakby się ludzie, nie zwierz, przebijali między niemi.

Gdy Plersch z miasteczka szedł na chutor, krok w krok za nim od dworku Zamyśłowskich przesuwał się Maksym niepostrzeżony. Doszedł on był, że Sydorowa do tego domu chodziła, i tam się domyślał nieprzyjaciela, więc na wychodzącego czatował.

Dzień był jeszcze wielki, gdy malarz szedł, napaść go więc nie było podobna. Maksym powiódł tylko oczyma na chutor, a sam pospiesznie spuścił się do wąwozu. Tu na niego oczekiwał Krywonogi.

— Wstawaj! — zawołał parobek — Lach ze dworku, do którego Sydorowa prowadzi codziennie Natałkę, sam przyszedł; radzi że nas nie ma. Może jeszcze czas naszą zuzulę ratować; chodź!

Krywonogi rękami około siebie poszukawszy pałki, którą miał przysposobioną, zerwał się, nie mówiąc nic, zarzucił ją na ramię i począł iść, sapiąc jak zwierz.

Maksym miał kij także. Wysunęli się z gąszczy ku drodze, a drogą powoli poczęli zbliżać do chutoru.

— Tędy musi powracać — rzekł Maksym. Szkodliwej bestyi nie ma co żywić, niech ginie!

Krywonogi podniósł do góry pałkę i spuścił ją na ziemię z całej siły. To była odpowiedź jego.

Wybrali miejsce w cieniu pod płotem z gnoju i gliny, który wałem otaczał obejście. Droga z chutoru szła tuż i minąć ich nie było podobna. Maksym nie rozliczył się tylko, że krzyk napadniętego dójdzie do chaty; o kilkadziesiąt kroków dalej, na zawrocie, jużby go słyszeć nie było.

Księżyc tylko co się dobywać zaczął nad ziemię, krwawą twarzą gdy w podwórku usłyszeli głos Sydorowej i Natałki i „dobranoc” powtórzone razy kilka. Kroki dały się słyszeć, potem i wrotka skrzypaneły. Krywonogi wstał, pałkę ujawszy, a Maksym postąpił kroków kilka naprzód. W mroku postrzegł zwolna idącego mężczyznę.

Malarz szedł zamyślony i upojony, a smutny, i w sobie zatopiony, tak, że nie widział nic. Cały ten wieczór spędzony u Bondarowej, wydawał mu się jakby snem jeszcze, jednym z tych, których tak wiele przemarzył w życiu.

Nagle mignęły przed nim dwa cienie i z dwóch stron spadły nań dwa uderzenia tak ciężkie, iż Plersch, którego jedno z nich w głowę dosięgło, zaledwie siłę mając krzyknąć o ratunek, padł krwią obłany na ziemię. Omdlał, nie wiedząc już, co się z nim działo.

Maksym przypadł doń w początku z wściekłością, ale sięgając ręką, aby namacać obalonego, umoczył ją w płynącej krwi i wzdrygnął się. Była to pierwsza krew ludzka, którą przełał w życiu. Porwał się jak oszalały i począł ku wąwozowi uciekać. Krywonogi ujrzawszy to i widząc, że napadnięty leży nieruchomy, rzuciwszy pałkę, popędził za nim. Plersch, któremu z rozbitej głowy krew się lała, leżał jeszcze omdlały.

W chwili napaści Sydorowa jeszcze była na progu chaty. Krzyk Plerscha, który posłyszala, przenikający, urwany nagle, wstrząsnął nią całą. Domyśliła się napaści. Maksym jej przyszedł na pamięć.

Nie wołając nikogo, popędziła stara ku wrotom, otworzyła je i ostrożnie rozpatrując się, zaczęła iść drogą. Błady odbłask wschodzącego księżyca dozwalał na gliniastej drożynie zobaczyć z dala coś czerniejącego. Każdy kamień, wyłobienie, znała stara Bondarowa do koła. Załamała ręce i podbiegła; domyśliła się już i kto tam leżał, i kto morderstwa był sprawcą. Kilka kroków zbliżywszy się, mogła rozpoznać rozciągniętego trupa i poklekła nad nim, ręce łamiąc.

W tej chwili westchnienie z jękiem dobyło się z piersi nieszczęśliwego. Uderzenie było ciężkie; pozbawiło go ono zmysłów, lecz życie zostało w nim jeszcze. Sydorowa odważyła się ręką dotknąć głowy; ciepła krew z niej płynęła. Sama nie wiedząc, co począć, zaczęła krzyczeć i wołać w nadziei, że ją ktoś z chaty posłyszysz.

W istocie, wśród nocnej ciszy krzyk ten i Natałkę i najmitkę, i wkrótce nowo najętych parobków z pod szopy wywołał. Powybiegali wszyscy na podwórze, a Natałka głos matki poznawszy, puściła się drożyną. Za nią biegło już co żyło.

Plersch leżał, jęcząc, pobity okrutnie, lecz żywy; poruszał się, wołał o pomoc, nie wiedząc, co się z nim stało. Parobcy wzięli go na ręce i zwolna ku chacie ponieśli.

Bondarowa najmitkę natychmiast posłała do Grzybowskiej, do której wiedziała drogę. W miasteczku tego dnia dłużej trwał ruch, i stara panna siedziała jeszcze, oczekując na powrót marszałkowej, gdy kobieta wpadła do niej przelękła, szepcząc na ucho, że wracającego od nich malarza na drodze zabito.

Nie zrozumiała tego z razu Grzybosia, lecz przelękła się okrutnie. Lubiała ona poczciwego Plerscha; strach ją ogarnął w pierwszej chwili tak, że nie wiedziała co począć. Łamała ręce i płakała. Pochwyciła chustkę, chcąc biedz z najmitką, ale i o siebie poczęła się lękać. Niemiała zwierzyć się komu, ani kogo użyć. Dopiero po upływie jakiegoś czasu, zebrawszy myśli, Grzybowska postanowiła, jak najmniej czyniąc hałasu, posłać pacholka od stajni po szambelana i w jego towarzystwie udać się do chaty.

Przeciągnęło się to dosyć długo, bo Rześniński, który nie miał tak dalece towarzystwa, spał już snem sprawiedliwego i musiał się ubierać, co mu zabrało wiele czasu. Na ostatek nadszedł, i Grzybowska z nim razem udała się na chutor za miasto.

Plerscha już złożono w chacie i Sydorowa otrzeźwiała go środkami babskimi, obmyła ranę, jaką miał na głowie, obwiązała i poila. Przyszedł powoli do siebie, lecz od uderzenia szum miał jeszcze i senność, inne symptomata wskazywały, że mózg był wstrząśnięty. Poznał wprawdzie Grzybowską i uśmiechnął się jej, ale musiał się zaraz znowu położyć. Natałka stała nad nim także z założonymi rękami, zamyślona i milcząca.

Nie domyślali się przybyli, co było powodem napaści, z przerażeniem więc mówili o rozbójnikach pod Kaniowem, którzy tak samo jak Plerscha, i dostojniejszą osobę jaką napaść mogli. Sydorowa nie miała ochoty tłumaczyć się obszerniej, ani ona ani jej córka nie chciały wydać Maksyma. Obie jakiś przestach ogarniał. Bondarowej nawet chwilami na myśl przychodziło, że jej mąż mógł do tej mściwej należeć napaści.

Po długich naradach postanowiono, choćby dlatego, że do chaty mógł kto nadejść ze dworu, a najprędzej sam król, który dni kilka nie widział Bondarywny, wynieść jeszcze tego samego wieczora Plerscha do jego dworku i potajemnie doktora Bekera powołać do niego. Grzybowska, której o to wielce chodziło, czynnie się zajęła wszystkim. Szambelan musiał z jednym z parobków pójść po konie, a w godzinę potem bryczka dobrze wysłana przewiozła po cichu ranionego Plerscha na jego górkę w dworku Zamysłowskich.

Tu tymczasowo podjął się do przybycia kogoś, coby go mógł wyręczyć, siedzieć pan szambelan Rzesiński.

Grzybowska czekała na marszałkową. Jak na przekorę pani Mniszchowa późno dosyć przybyła znużona i znużona, bo się musiała do wcale niepowabnych gości uśmiechać i wdziękować wieczór cały, i grać i śpiewać dla nich. Lecz król prosił ją o to, król, który nie miał ich czem w końcu rozrywać.

Gdy Grzybowska weszła, a pani Mniszchowa twarz jej zmienioną zobaczyła w zwierciadle, odwróciła się żywo ku niej.

— Co ci jest? czy i tobie migrena dokucza?

— Ach, gdybyż migrena! — zawołała stara panna — nieszczęście się stało. Czekam na panią jak na zbawienie, bo sobie rady dać nie mogę. Plersch biedaczysko, powracając z chutoru od Bondarów, napadnięty został w drodze przez jakichś rabusiów i ciężko w głowę raniony.

Marszałkowa poskoczyła.

— Co ty pleciesz?

— Ale tak jest. Napadli go i chcieli zabić; głowę ma okropnie skaleczoną, trzeba na gwałt doktora.

— Zbójcy! tu, pod boki króla!... ale to nie może być!

— Plersch leży bez zmysłów.

W tej chwili posłano po Bekera, który w kwadrans nadbiegł. Marszałkowa poszeptowała z nim na uboczu i wysłała go do dworku.

Wypadek ten jakiegoś niewytlómaczone uczynił wrażenie. Nie mogąc go zrozumieć, marszałkowa zaczęła się lękać o króla i przeklinać tę fantazję jego nieszczęśliwą, nie mogąc się uspokoić. Zbójcy a rabusie zwyczajni zdawali się jej nieprawdopodobni, lękała się czegoś gorszego.

W chacie także kobiety po wyniesieniu Plerscha długo siedziały milczące. Bondarowa namyślała się, kiwała głową, znać było po niej, że walczyła z sobą. Mąż jej ciągle na myśl przychodził, i Maksym, i przyszłość ciężka, w której pokutować musiała za te chwile niedoszłych może nadziei. Niekiedy przystępowała do córki, całowała ją w czoło, gładziła i płakała.

Dziewczę choć posępne, nie straciło odwagi, ani się zachwiało w mocnym postanowieniu. Jakaś niepojęta żądza nowości, czegoś, coby nakarmiło pragnienia nieokreślone, pchała ją na łaskę i niełaskę losu.

— Niech się stanie co chce — mówiła do siebie — trzeba iść za dolą swoją.

Nazajutrz, niespokojne, poubierawszy się do dnia, czekały w nadziei, że król wyjdzie na przechadzkę znowu i wstąpi na chutor wedle zwyczaju. Lecz do południa ani króla, ani od niego nikogo nie było. Sydorowa chodziła niespokojna, Natałce się oczy gniewem paliły. Wybiegała nieustannie z chaty, wyglądała oknem, parę razy wyszła aż do wrot — nikogo. W sercu gniew wrzał, a oczy lez miała pełne, lecz przed matką nic nie pokazywała i przy niej nuciła niby, dla niepoznaki.

Do obiadu nie usiadła Natałka, bo usiedzieć nie mogła. Sydorowa też nie tknęła jedzenia; oddano je parobkom.

Już się miało ku wieczorowi, gdy najmniej o tej godzinie spodziewani panowie jacyś na drodze się pokazali. Był to w istocie król, w towarzystwie starosty mielnickiego. Ten, nie chcąc być N. Panu zawadą w jego poufanych stosunkach z piękną Bondarywną, u wrót zapragnął rozpatrzyć się w pięknym parowie sąsiednim i pozostał tu na straży, a król wszedł sam na podwórko.

Natałka już go poznała z daleka, lecz nie spieszyła na spotkanie; gniewała się trochę na niego, choć był królem. Sydorowa z niskim wyszła na przeciw pokłonem.

— Jak się macie? — zawołał wesoło król, zbliżając się do niej — trochę długo być u was nie mogłem.

Obejrzał się, szukając oczyma dziewczyny, która uparcie w chacie siedziała.

Ucałowawszy rękę pańską, Bondarowa wprowadziła gościa do izby. Na widok jego, zarumienione dziewczę powstało nadąsane. Uśmiechnął się król.

— Dawnoście u nas nie byli — bąknęła po przywitaniu Natałka — ja już myślałam, że o nas król na wiek wieków zapomniał.

— O, nigdy! — żywo odparł ujęty wymówką Poniatowski.

— Nigdy? nigdy? — spytała niedowierzająco Bondarywna.

— Nigdy! — powtórzył król, siadając — bądźcie tego pewni. Takich pięknych oczów, jak wasze, któżby mógł zapomnieć?! Wy to prędzej o mnie dla innych zabędziecie.

Dziewczę potrząsnęło głowę.

— Dziękuję wam — odezwał się Poniatowski — ale ja tu zawsze siedzieć nie będę.

Nieznacznie bardzo Natałka skinęła królowi, matkę wskazując, jakby mu do zrozumienia dawała, że z nią o tem mówić należało, a sama powoli do progu doszedłszy, potem chyżo się zerwała i wybiegła śpiewając w podwórze.

Król zbliżyć się kazał matce i długo mówił coś z nią po cichu. Lice mu to się chmurzyło, to rozjaśniało. Trudno było z niego odgadnąć, czy się radował, czy frasował z tego, co mu odpowiadała. Któż wie, myślał zapewne o przemijającej rozrywce, a trafił na nowe więzy których już i tak dla miłych chwil kilku dosyć dźwigał.

Rozmowa między nim a Sydorową trwała dosyć długo; wstał wreszcie król, dopominając się, ażeby Natałkę zobaczyć, która nadeszła, zalotnie mu się uśmiechając i nieznacznie pokazując na palcu pierścionek.

Niema scena pożegnania trwała chwilę. Natałka jak wprzód pocałowała rękę królewską, król przyłożył usta do jej czoła, lecz gdy wyszedł potem, miał brew namarszczoną i zadumany był ponuro.

W kilka dni potem, pani marszałkowa, która udawała, że o niczem nie wie i nic się nie domyśla, zbliżyła się raz po obiedzie do najjaśniejszego wujaszka i odezwała się, bawiąc wachlarzem:

— Że też W. kr. Mość nie raczysz mnie nigdy zaszczyścić swojemi odwiedzinami. Choć tu jestem jak w karczmie na popasie, ale, kto wie, możebym się jaką osobliwością pochwalić mogła i coś pokazać ciekawego.

Poniatowski, któremu rodzina nieustannie niespodziankami wywdzięczała się za jego dobrodziejstwa, dorozumiał się zaraz, że o coś podobnego chodziło.

— *Mais, chère comtesse*, ja bo ci nie chcę przeszkadzać i robić ci wizytą moją kłopotu. Nawet przechodząc koło dworku, mijam go umyślnie. Coż tam w nim tak osobliwego trzymasz?

— A, rzeczywiście osobliwego — mrugając oczyma odparła siostrzenica — mam ciekawy i wcale ładny obrazek, kupiłam go sobie u młodego malarza i pragnęłabym o nim mieć zdanie W. kr. Mości.

Król spojrzął na zegarek; z natury był niecierpliwym.

— A no, to chodźmy zaraz.

— Ale sam — dodała Mniszchowa.

— A to dlaczego? czyżby obrazek miał być *un peu... indiscret*?

Śmiać się zaczęła Mniszchowa.

— Nic a nic, ale to moja tajemnica.

— Dobrze, więc chodźmy.

Król zadzwonił, rozkazując sobie podać kapelusze i laskę i oznajmując, że się przejdzie nieco z panią marszałkową, mając z nią coś do pomówienia. Widać było z twarzy jego, że tajemnica ta dosyć go zajmowała.

W charakterze Poniatowskiego było zawsze, wśród największych niebezpieczeństw i utrapień, na których mu w życiu nie zbywało, zajmować się fatalaszkami tak gorąco, jakby nic pilniejszego nie miał nad nie. Posłowie zastawali go w chwilach, gdy się losy kraju ważyły, rysującego ubiory dla liberyi; w czasie sejmu czteroletniego, wyplakawszy się — bo lży miał łatwe — z największem zajęciem przypatrywał się u pani Krakowskiej zwołanej z ulicy czarnoksiężkiej latarni i t. p. Teraz też, choć na sercu mu leżało zapomnienie swej dynastyi, przyszłości — obrazek, o którym mu wspomniała pani Mniszchowa, równoważył w jego umyśle rozmowę z Potemkinem.

Prawie milcząc przeszli przez część rynku, około ruin starej cerkwi, i król poprowadzając siostrzenicę, wszedł do jej mieszkania. Obejrzał się po saloniku — nie było w nim nic.

— Gdzież twój obraz? — zapytał.

— A — rozśmiała się piękna pani — nie dopuszczam, aby go lada czyje profanowały oczy.

To mówiąc, otworzyła drugi pokój i ręką zaprosiła do niego.

Tu, na krześle, coś tajemniczo zieloną kitajką przykrytego stało. Marszałkowa podbiegła, zerwała ją żywo i spojrzała śmiejąc się na wuja, który okrzyku nie mógł powstrzymać i zarumienił się mocno.

Przed nim stał niewykończony, lecz nadzwyczaj podobny portret Bondarywny, przez Plerscha malowany.

Nie było to arcydzieło, ale tęskna poza i smutna, zadumana twarzyczka, czyniły go wielce zajmującym. Gdyby był Plersch miał pędzel Greuza, przedmiot do arcydzieła dostarczyłby wątku.

Król stał w kontemplacji, Mniszchowa szydersko patrzyła mu w oczy.

— Cóż N. Pan powie na to? — odezwała się.

— Że pani hrabina jest wielką figlarką i złośliwą kobieciną, która starego wuja szpieguje i posądza — odparł król wcale nie zagniewany.

— Nie, N. Panie — poprawiła siostrzenica — trzeba powiedzieć, że najprzywiązaną z siostrzenic, która się stara myśl waszą odgadnąć i dla której największą przyjemnością w życiu jest chwilę drogich dni kochanego króla uprzyjemnić.

Poniatowski zbliżył się ku niej, całując ją w rękę z zapalem po kilkakroć i z prawdziwą wdzięcznością.

— Nie śmieć się ze mnie — dodał cicho — czasem serce stare uderzy, choć się je na wodzy trzyma.

— Wam, N. Panie, wolno jest mieć fantazje, bo wam los szczęścia nie dał, uczyniwszy dobroczyńcą drugich — z zapalem także poczęła Mniszchowa. Naszym obowiązkiem tylko wam życie uprzyjemniać.

— Gorzkie ono w istocie! — westchnął król i na podanem krześle usiadł naprzeciw obrazu.

— Więc mi tego za złe nie macie? — spytał. To po prostu artystyczny kaprysyk... niewinny, *chère comtesse*.

— Nietylko że nie mogę mieć go za złe, ale błogosławię tę piękność, która miała szczęście choć chwilę rozjaśnić oblicze mojego króla kochanego.

Patrzali oboje na obraz.

— Kto to malował? — odezwał się po chwili — przysięgłbym że Plersch, choć go tu nie ma.

Marszałkowa głową potwierdzającą znak dała.

— A widzisz, zgadłem — ciągnął dalej. Byłem pewny; pędzel i koloryt jego. Któż to ją posadził tak oryginalnie? To chyba nie on, bo by ją wyprostował pewnie i uczynił sztywną.

— To ona sama tak siadła i nie chciała się dać malować inaczej.

— Co za instynkt niewieści! — mówił dalej, wpatrując się okiem znawcy Poniatowski. Nie jest to skończone, tony się nie godzą dosyć i nie zlewają, trzebaby się temu z wielkiej przypatrywać odległości. Plersch nie ma tej słodczy tonów, tej złocistości ich, tej miękkości *vaporeuse*, co Bacciarelli i Lampi, ale zawsze talent niepospolity.

— Na ten raz zawdzięcza więcej wzorowi obraz niż talentowi... natchnęła go ta wdzięczna twarzyczka.

— Tak — przerwał król cicho — tu ona podobna jest, a powiedziałbym jednak, że ją fałszywie zrozumiał. Każde z natury malowanie, to tłómaczenie jakby z obcego języka; tłómacz wlewa coś zawsze swojego.

— *A que c'est vrai!* — podchwyciła Mniszchowa.

— Moja droga — rzekł król, całując ją w rękę, jeśli — cię prosić mogę, zakryj ten obraz i nie pokazuj go nikomu, nikomu! Jestem odrobinę zazdrośny. Cały dwór by tam poleciał jutro.

— Obraz musi Plersch skończyć, gdy wyzdrowieje, a potem... — szepnęła cichuteńko, prawie do ucha — pojedzie do Kozienic i złoży go u stóp mojego pana.

Ruchem pięknych rącek zdawała się hołd i kadzidło w istocie składać u nóg króla, który powtórnie ręce jej całować zaczął.

Wszystko to byłoby bardzo pięknym, gdyby niestety po ludzku nie było tylko zręcznym odegranym prologiem do pewnego dramatu poufnego.

Marszałkowa pochwyciła kitajkę i idąc z nią dla zasłonięcia obrazu, szepnęła mimochodem:

— Oryginał i kopia będą w Kozienicach.

Na to nie było innej odpowiedzi, nad nowe rąk pocałowanie. Oboje wyszli do pierwszego pokoju. Tu na stoliku jakoś nieostrożnie, lecz jakby umyślnie rozłożone były papiery, koperty, a na wierzchu leżało kilka ćwiartek, zapisanych dużym, znanym charakterem ks. Renaud, sekretarza pani Podolskiej, matki pani marszałkowej.

Król rzuciwszy okiem, poznał natychmiast list ten i zawołał:

— Mielicie wiadomość o kochanej siostruni!

— A tak, dzisiaj dwa ogromne listy odebrałam z Tuluzy. Mamcia się zachwyca powietrzem, podróżą, widokami, a nieoszacowany ks. Renaud tłumaczy jej, objaśnia, wynajduje wszystko, co ją zająć może. I byłaby prawdziwie szczęśliwą i odżyłaby może — westchnęła pani Mniszchowa — gdyby nie te wszędzie nas ścigające interesa. Mama się z Zamojskimi nie może porozumieć, tymczasem długi, zobowiązania, kontrakty przyszłe... jej własne i nasze interesa pokoju jej nie dają.

Po twarzy królewskiej przeleciała chmurka, ale z dobrocią wielką odezwał się:

— Moja droga, gdybym wam w czym mógł być pomocnym...

— O, nie, nie! — gorąco poczęła Mniszchowa — wy dla nas czynicie tyle, my wam jesteśmy ciężarem nieustannym. Książę ex-podkomorzy, pani Krakowska, Tyszkiewiczowie, my, cała rodzina was obdziera.

— *Chère amie!* ale to jedyna życia mego przyjemność, iż się wam na coś przydać mogę. Wy przynajmniej cenicie serce moje, nie tak jak ten... hetman, który mi winien wszystko, a goryczą mi zatruwa życie.

Westchnął smutnie.

— O, od was grzech by był wymagać, grzech przyjmować nowe dobrodziejstwa; wolę, żeby mama przecierpiała, żebyśmy my...

— *Mais, ma chère,* cicho! — namyślając się zwolna zaczął król, kładąc rękę na jej dłoni — o co idzie? Do Zamojskich napiszę, a dla was, gdybym kilku tysiącami, *mettons dix* — bo więcej do dyspozycji nie mam — mógł służyć, uczynię to z duszy serca.

— Ach, byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem — przerwała siostrzenica — ale nie godzi, o, nie...

— Godzi się, godzi, zostawcie to mnie — szepnął król — dam na tę sumę kwit marszałkowi.

— Najdroższy panie! — całując go w rękę żywo poczęła Mniszchowa — jeśli mogę prosić, niech mąż o tem nic nie wie. Łajał by mię, gniewał by się...

— Urządzimy to inaczej — szepnął król — dosyć, że będziesz to miała, a bądź mi wesołą.

Pocałował ją w czoło i zawrócił się ku drugiemu pokojowi.

— Jeszcze raz niech ten obrazek zobaczę — rzekł cicho.

Jeszcze raz podniosła się zasłonka zielona; podparty na lasce król przez zwiniętą w trąbkę rękę przypatrywał się obrazkowi.

— *C'est charmant!* — rzekł — dziękuję ci.

Lecz w tem zobaczywszy godzinę, pospieszył ku drzwiom, a marszałkowa towarzyszyła mu na powrót.

W drodze już nadbiegł Komarzewski z wiadomością, iż z Warszawy i Kijowa nadeszły kresy i pan wojewoda kijowski nadjechał.

Król krokiem żywszym, pożegnawszy siostrzenicę, udał się ku swemu dworowi.

Tymczasem Plersch przyszedł był prawie do zdrowia; mózg wstrząśnięty odzyskał siłę, rana się powierzchownie goiła, ale biedny malarz gorzej niż czaszkę, zranione miał serce. Miłość w nim łączyła się z litością dla dziewczęcia i po całych dniach myślał o niej.

Wrócono mu portret, który już bez wzoru miał dokończyć. Skorzystał z tego, aby na prędce kopię dla siebie zdjąć z niego. Zajmowało mu to ranki i wieczory, zamykał się i robił ukradkiem, bo nie chciał, aby o tem wiadano.

Grzybowska nawet, która z nadzwyczajną czułością go odwiedzała i starała się o najszerszej przyjaźni przekonać, o istnieniu tej kopii nie wiedziała. Chował się z nią Plersch jak ze skarbem. Domyśliła się wszakże stara panna, iż artysta na dobre kochać się musiał, bo choć mu się przyznała poufnie, że miała już oszczędzonych kilka tysięcy czerwonych złotych, choć mu dała do zrozumienia, że chętnieby z nim majątek i losy podzieliła, Plersch z wielką wdzięcznością odmówił. Westchnęła biedaczka, musiała czekać na szczęśliwszy skład okoliczności.

Tymczasem szambelana skłoniono do podania ręki pięknej Bondarywnie.

Natałka z początku zakrzyknęła, że jej przyszyły mąż ma być tak stary i szkaradny; lecz miał on być tylko słomianym małżonkiem na okaz i to ją uspokoiło. Tytuł, nazwisko, wioski i majątności pochlebiały dziewczynie — zgodziła się.

Sydorowa lękając się męża i napaści jego, sposobila się zdać chutor na najmitkę i parobków, porzucić gospodarstwo, zabrać pieniądze gotowe i klejnoty, i z córką razem uchodzić.

Wszystko tedy ułożonem już było, a po nocach obie kobiety zaszywały węzłki, gromadziły co miały kosztowniejszego i po cichu przygotowywały się do ucieczki.

Grzybowska czynnie bardzo zajmowała się planem podróży, weselem i przyszłością Natałki. Sydorowa ani na krok nie miała odstąpić córki, dopóki ją do Warszawy albo Kozienic nie odwiozła.

Rzesiński najuroczyściej miał przyrzeczony order św. Stanisława i pierwszą kasztelanę mniejszą, jakaby wakowała. Stręczono mu nawet jedną, którą mógł za pozwoleniem N. Pana nabyć bardzo tanio, gdyż posiadacz zgadzał się reces uczynić za parę tysięcy.

Jednego dnia, gdy się już z Kaniowa wybierał dwór i król, po owej chwili na Dnieprze spędzonej, naprzeciw miasteczka, na statku, który wiozł cesarżowę, zaszedł wóz przed chatę Sydora, na który spiesznie pakować zaczęto dawno już przygotowane rzeczy. Najmitka, parobcy patrzali na to zdumieni i przestraszeni. Bondarowa zwołała ich do chaty.

— Mnie jechać trzeba z córką na odpust do Poczajowa — odezwała się — nic nie pomoże, bom się dawno ofiarowała. Droga długa; pomodlić się trzeba za grzechy i świętą stopkę ucałować. Nie ma komu chaty zostawić póki Sydor powróci, więc pamiętajcie, żeby szło wszystko w porządku. Spiżarnia pełna, nic nie braknie.

Obróciła się do starszego.

— Nikita, w twoich rękach moc i władza.

Parobek się nisko pokłonił.

— Jeżeli w ładzie wszystko będzie, i nagrody nie zabraknie, a uchowaj Boże szkody i przeniecierstwa! Sydor nie daruje...

Parobcy i najmitka pocałowali ją w rękę; kobiety zakrywszy się chustkami, na wóz siadły i konie ruszyły.

Pusto i smutno stało się na chutorze, jakby ludzie wymarli. Najmitka chodząc po chacie, cały dzień płakała, parobcy do roboty nie poszli i do wieczora pod szopą odpoczywali.

O zmroku posłała najmitka po wódkę do karczmy, bo i sama tęsknoty wytrzymać nie mogła i żal jej było parobków, z których jeden zwłaszcza miał u niej łaskę.

Zgotowano jajecznicę ze słoniną... poczęły się gody w chacie.

Wieczór był późny już, gdy w sieni zastukało, otwarły się drzwi i na progu pokazała olbrzymia postać Sydora.

Kozak długo stał, patrząc, oczom nie mogąc uwierzyć. Za nim w pewnem oddaleniu widać było Maksyma i Krywonogę. Za pasem stary miał nahajkę, którą nic nie mówiąc, wydobyl i z nią w ręku wpadł na biesiadników.

W mgnieniu oka zerwało się to z ławy od stołu, najmitka wbiegła do alkierza, krzycząc i drzwi zatraskując za sobą, parobcy padli na kolana. Posypały się razy obfite po plecach. Sydor krzyczał — *won, pohane syny!* — i wszystkich wypędził z chaty.

Dopiero mu nahajka z rąk wypadła i na ławę siadł szlochając, a zasłaniając sobie oczy.

Maksym i Krywonogi u drzwi stali.

Zaczęto wołać na najmitkę, która ze strachu przez okno od alkierza usiłowała się na wolność wydobyć, ale ciasny otwór nawet głowy nie przepuścił. Dopiero gdy jej Sydor poprzysiągł, że bić nie będzie, odryglowała drzwi i klęcząc, ze złożonymi rękami, rozplakana, o przebaczenie prosić zaczęła.

Nie było na niej w istocie większej winy, nad jajecznicę ze słoniną. Sydor znęcać się nad nią nie myślał.

Zaczęli rozpytywać o wszystko, dokąd i jak Sydorowa córkę uwiozła. Nie umiała odpowiedzieć inaczej, tylko, że do Poczajowa pojechały.

— Nieprawda! — wybuchnął Maksym — jam chutoru dzień i noc nie spuścił z oka. Chodziły baby, chodziły Lachy, aż nieszczęścia nawarzyły. Natałce głowę zawrócili państwem, a matka dla dziecka gotowa była w ogień i wodę. Już ich nasze oczy nie zobacz! —

Maksym opowiedział, jak wpadli na jakiegoś Lacha, którego zdawało się, że zabili, ale się wylizal przecie.

Słuchał Sydor wszystkiego, nie mówiąc nic, a potem poszedł do alkierza. Wiedział, gdzie pieniądze, kosztowności, papiery były i zapasy kobiece. Począł bodnie odkrywać i ręce w nie zapuszczać, a co próżną dłoń dobył, to jęknął. Nie było nic nigdzie, kobiety pozabierały z sobą wszystko.

Wrócił Sydor na ławę, ręką oczy zasłonił i płakał. Maksym i Krywonogi stali u progu.

— Trzy konie wywieść z chlewa — zawołał — i sakwy podróżne, nie ma nam tu co ani dla kogo robić.

Chciał coś odpowiedzieć młodszy, lecz Sydor nogą w ziemię stuknął i na drzwi wskazał. Powlekli się więc po konie. Sydor ani ruszył z miejsca.

Gdy konie zarżały, wstał, obejrzał się tylko po chacie. Najmitka siedziała w alkierzu.

— Bierz, co twoje, babo i co nie twoje, a prędzej, bo długo tu zostać niezdrowo, słyszysz?

Z wielkim przestrachem i pospiechem kobieta zwiając poczęła co napadła, gdy Sydor z komina głównię wziął dymiącą w rękę i wyszedł.

Na podwórku wiatru popatrzał i powoli głównię wetknął w strzechę.

Maksym i Krywonogi stali, nie śmiejąc mówić nic. Bondar czekał, aż wiatr pożar rozdmucha. Drzwi chaty zamknął i zaryglował.

Wprędce sucha trzcina i słoma poczęły syczeć od płomieni, wiatr pędził coraz dalej pożar podłożony. Sydor na konia siadł i czekał aż rozgoreje. Maksym i stary parobek także na koniach siedzieli, ale nie ruszyli się z podwórka, dopóki cały dach na chutorze i na szopach nie stał w płomieniach.

W Kaniowie, w cerkwi, zobaczywszy ogień, we dzwony bić zaczęto, a Sydor ze swoimi spuszczał się w wąwóz. I gdy ludzie z miasteczka poczęli biedz na ratunek, na chacie się już wątył dach zawałił, a szopy i chlewy gorzały tak, że do nich przystąpić nie było można.

Najmitka na węzłkach swych siedząc pod starym dębem, płakała.

A nazajutrz z chaty na chutorze gruzu tylko opalone sterczały.

Działo się to wszystko w roku 1787, a w rok potem Warszawa cała przygotowaniami do wielkiego sejm wrzała i kipiała.

Sejm to być miał na pozór taki, jak inne, co go poprzedziły, na których król i ambasador panowali, opozycya się z sobą drożyła, aby coś wytargować, długi N. Pana, całując rękę jego, płacono, i chociaż nic nie uczyniono, przy zamknięciu odspiewywano uroczyste *Te Deum*, gdy gorzkimi trzeba było płakać łzami. I na ten sejm na pozór też same do tych co zwykle ról przysposabiały się żywioly, ale w powietrzu coś było, co nową zapowiadało epokę.

Pochlebiał sobie król, że wszystko poprowadzi ze swymi i spał spokojnie. Tymczasem wcześniej przed przybyciem posłów, miasto było pełne ludzi, co się dziwnie jakoś krzątali i poruszali, jakby i oni coś tutaj znaczyć mieli i do czegoś byli potrzebni. Ten i ów jechał z ciekawości, drugiego coś popchnęło, trzeci się dał skusić, bo tej zimy przedziwnie się bawić miano.

W pałacu Mniszchów przygotowywano się niemniej jak gdzieindziej na wielką frekwencyę gości i świetne wieczory. W skrzydle, wierna towarzyszka pani marszałkowej, miała parę pokojów panna Grzybowska. Tu ona więcej była w domu niż w Wiszniowcu,

gdzie i pani sama i ona chwilowo tylko gościć były nawykłe. Tu stara panna miała swojego ulubionego szpica, kanarki i całe gospodarstwo. W usługach ją wyręczały młodsze dziewczęta, lecz bez niej marszałkowa obejść się nie mogła. Była to jej prawa ręka, powiernica, pełnomocnik, prawie przyjaciółka, gdyby wielkie panie wierne sługi do przyjaźni swej zaszczytu przypuszczały.

Pannie Grzybowskiej działo się dobrze, odbierała podarki od pani, od pana, a często i od innych osób interesowanych, żyła tak samo jak państwo, przecież to wszystko razem szczęścia nie dawało, bo za mąż wydać się nie mogła. Byłaby może nader skromną zadowolona się partyą, ale wszyscy od starej panny uciekali. W ostatnim roku wypiękniała nawet, nabrała ciała, wybielała, znajdowała się odmłodzoną; niektórzy młodzi ludzie ze dworu, potrzebujący protekcji, chętnie u niej spędzali wieczory, a gdy przyszło do stanowczego słowa, wymykali się jej jak piskorze. Nie dziw też, że panna Grzybowska rodzajowi mężkemu poprzysięgła wiekuiłą pogardę.

Do pokojów, zajmowanych przez starą pannę, prowadziła się zamczysta, opatrzona w szcztokę do ocierania nóg, i słomiankę, gdyż czystość i porządek lubiła bardzo, u samych drzwi dzwonek wisiał, bo nie lubiła, by do niej wchodziło obcesowo. Czasem nawet pełnił on swe obowiązki napróżno, bo Grzybowska nie otwierała.

Jednego ranka miała się ubierać, aby wyjść na miasto, gdy dzwonek się odezwał nieśmiało zrazu. Nie myślała otwierać, lecz po chwili brzęknął powtóre głośniej, a gdy i to nic nie pomogło, zaczął się trząść konwulsyjnie i nieprzyzwoicie. Nie mogąc wytrzymać, panna Grzybowska z gniewem największym przypadła do drzwi i zabierała się wylajac natręta, gdy ujrzała przed sobą jakąś postać, kłaniającą się jej, niby znaną, a nieznaną, czystego koczkodana.

Był to mężczyzna nie młody, osobliwej twarzy, jakby zszytej z różnych kawałków, tak pofałdowanej dziwacznie. Niektóre jej części były poopalane, inne białe, a na domiar plamy brunatne od ostyły rozrzucone na czole i policzkach, koloryt ten fantastyczniejszym jeszcze czyniły. Źle włożona peruka zsuwała się na czoło, strój francuzki niby wytworny, ale z pewnością od tandeciarza kupiony, leżał na tym jegomości, jakby w nim chodzić nie umiał. Szpadka u boku, jak rożenek, zawadzała mu około nóg, na których pończochy źle ponaciągane, składały się w obwarzanki. Trzewiki też nie do jego nóg musiały być robione.

Kapelusik dusił pod pachą, nie wiedząc dobrze, co z nim począć; to go pod samo ramię podsuwał, to mu się wyslizgał, że go ratować musiał od upadku.

— Panna Grzybowska dobrodziejka! — zawołał głosem nieco ochrypłym.

Gospodyni krzyknęła, dopiero teraz poznając szambelana Rzesińskiego.

— A, jak mamę kocham, szambelan! co się z pana zrobiło?!

Rzesiński próg przestąpił; widać było z twarzy jego humor okropny, gniew, złość, żal i frasunek.

— Co się ze mną zrobiło? oto pani patrz — zawołał — oto waszych rąk dzieło, oto, na jakiegoście mię wystrychnęli dudka! Wąsów zbyłem, już żebym sto lat żył, drugich takich mieć nie będę. Żonęście mi dali, śliczną, której ani znam, ani wiem, co się z nią dzieje. Obiecaliście mi św. Stanisława na jaką taką konsolację; po dziś dzień ani patentu, ani orderu, ani słyhu. Miała być kasztelania, reces kupiłem, konsensu się doczekać nie mogę. A com pieniędzy przesypał, a co mi wątroby nagniło, a com się nagryzł, a com naklął i nagrzeszył... Otóż przychodzę należne dzięki złożyć mojej dobrodziejce, której to wszystko winienem.

Tu kapelus w rękach podniósł do góry i ogromnym głosem, aż Grzybowska ze strachu krzyknęła, zawołał:

— Niech was wszyscy dyabli wezmą!

Był w furii. Panna ustąpiła kilka kroków w tył.

— Oszalał! — zawołała — oszalał! do Bonifratrów!

— A, oszalał, prawda! — począł szambelan — bo jak Boga mego kocham, oszaleć było od czego, zwaryować, powiesić się i wściec. Ślicznieście mię wykierowali, nie ma co mówić! awantura babilońska!

— Ale uspokój-że się człowiecze! — zawołała Grzybowska — gadaj po ludzku!

Szambelan, który na nogach się ledwie mógł utrzymać, padł bez ceremonii na krzesło.

— Mów spokojnie, ja o niczem nie wiem; może się da co naprawić, bo mi waćpana żal. Napij się wody.

— Żółciście mnie napoiły, baby, jędze! — począł szambelan, a teraz wody dać chcecie.

— Jeśli mi tu waćpan będziesz tak wygadywał, to go za drzwi wyrzucić każę.

— Tylko tego braknie! — rozśmiał się Rzeziński — za drzwi i z majątku własnego won!

— Ale słuchaj-że mnie, szalony człecze — poczęła Grzybowska — jam waćpanu zawsze dobrze życzyła, ja o bożym świecie nie wiem od wyjazdu z Kaniowa. Jeżeli chcesz, bym ci poradziła, opowiedz, co i jak jest, co się stało. Słowo daję, że nawet o ożenieniu projektowanem tak jak nie wiem.

— Niewinna istota! a kto tę truciznę gotował? — wołał szambelan. Starego głupca złapaliście i rade, ale czasem i stary, taki spokojny człowiek, wściecze się i dopiecze.

Grzybowska zniecierpliwiona chciała już odejść, gdy szambelan się pomiarkował i ton zmienił.

— Proszę mi darować, ale już mi cierpliwości zabrakło i sam nie wiem co począć z sobą. Jeśli Boga masz w sercu, ratuj mię, panno Grzybowska, bo życie chrześcianina mieć będziesz na sumieniu.

— Ale mów, o co idzie, mów od początku.

Podsunała mu z wodą karafkę. Szambelan wypił duszkiem dwie szklanki, jedną po drugiej, a że dawniej nawykł był wasy ocierać, zrobił ruch ręką nałogowy i westchnął.

— Wasy dyabli wzięli, jak i resztę! — i westchnął.

Chwila była jakby namysłu i wypoczynku. Patrząc na stół, z oczyma nieruchomie weń wlepionemi, Rzeziński mówił:

— Matunia mojej przyszłej małżonki, jak to było umówione przy pani samej, miała tedy przybyć do mnie dla zawarcia ślubów małżeńskich. Później kiedyś mieliśmy jechać do Warszawy. Nie wglądałem w to wcale, jakie tam były ich stosunki czy z królem, czy z kim tamkolwiek bądź. Obiecałem ją wziąć, jaką była, i kwita. Dziewczyna mi się podobowała, żem szalał. Robiłem wielkie głupstwo, ale na starość, kiedy się co podobnego trafi, i ludzie i pan Bóg przebaczą. A no, słuchajże asińdzka, co się dzieje. Wszystko tedy do wesela było przygotowane, zmogłem się, wyszastałem, dom wysztyftowałem; kotarę sprawiłem karmazynową, podarki ślubne, czekam. Co się tedy dzieje? Jednego rana nadszły baby, no, nie paradnie, ale manatków dużo, a dziewczyna jeszcze zdaje się piękniejsza jak była. Przyjmuję jak mogę, posyłam po księdza — a już go miałem w kieszeni — przybywa proboszcz. Stara papiery dobywa: czarno na białem, szlachcianka, herbu Dębno. Tem ci lepiej a jak jej suknie uszyli i jak się to przybrało, przyczesano, zafryzowało... ani poznać! Cud! obraz! osobliwość! pani a królowa! Ale też do niej ani przystąpić. Raz tylko jeden, jedyny raz pocałować ją chciałem... jak mię pchnęła od siebie, jakem się zatoczył, gdybym się nie chwycił stołu, który wywróciłem, byłbym sam padł. No, ale przed ślubem... dałem pokój, ścierpiałem. Stara jak przyjechała w siermiędze i namitce, tak i została, przebrać się nie chciała, a córki odstąpić ani na krok. Cóż tu począć? Światu jej ani pokazać dla śmiechu! Wszystkom to znosił, aby ślub wziąć; myślę sobie: potem ja tu pan i zaspiewam inaczej. Ksiądz na moją prośbę wielką, popartą dobrym datkiem, ślub przyspieszył, więc przy świadkach, w kaplicy, choć *incognito*, świętym węzłem małżeńskim nas połączył. Było to jakoś wieczorem, zaprosiłem tylko jednego mojego brata ciotecznego, któremu się mógł zwierzyć, a drugiego Czuchczyńskiego, sąsiada, który mię nigdy nie zdradził. Nim do tego wesela nieszczęsnego przyszło, dziewczyna mi kazała wasy ogolić i po francuzku się przebrać, dlatego, że tak król chodził. Myślałem, że się jej lepiej spodoba i palnąłem głupstwo. Ogoliwszy wasa, serce mi się ścisnęło tak, że mi się lzy grochem z oczów puściły. Po weselu siedliśmy do stołu, żona, matka, ja, proboszcz, cioteczny mój i Czuchczyński. Wieczera była z piramidą, bom kucharza z Wiszniowca sprowadził, wino dałem najlepsze, słowem, siedliśmy z taką ochotą, jakbym żadnego nieszczęścia nie przeczuwał. Czuchczyński jak począł zdrowia wnosić, nie było końca... piliem z nim. Kobiety siedziały obie jak mruki, tylko po sobie spojierając; nie wesoło wyglądały ale taki jest obyczaj, że panna młoda powinna płakać przy weselu, niby się jej krzywda dzieje. Myśmy za to ochoczo pili i śmieli się. Już po ciastach i po galarecie, bo

była i galareta, wszystko jak się należy — aż pani młoda podnosi się od stołu, a matka mi szepcze na ucho, że czegoś jej mdło, że muszą pójść, żebyśmy sobie pili, póki chcemy, a one może powrócą. Pierwszego dnia się sprzeciwiać nie wypadało, niech i tak będzie. Czekamy i pijemy. Czuchczyński ze mnie żartuje jak z dziurawego buta, brat też... daję z siebie śmiać się, oglądam się, czy nie powracają... nie ma... pijemy. Gdzie tedy późno w noc poczną mię moi z kielichami prowadzić do pani młodej. Spiewając idziemy; przychodzimy do drzwi — zaparte. Stuk, puk... nadaremnie, choć taranami wał, nie odzywa się nikt. We dworze ludzie się jakoś popili; Czuchczyński woła drzwi wywalić, może się jakie nieszczęście stało, zaczadziały, czy co! Łamiemy drzwi, wpadamy...

Tu szambelanowi tchu zabrakło i wody się napił.

— W izbie nie było żywej duszy...

— A cóż się z niemi stało?

— Uciekły obie! uciekły! Wsiadły na swój wóz i przepadły!

— Cóżes waćpan nie gonił chyba? — zapytała Grzybowska.

— Jakto! co żyło, na konie powsadzałem. Pięćdziesiąt talarów naznaczyłem nagrody, kto mi przyprowadzi zbiegów. Prawda, że ludzie byli pijani, bom im beczkę wódki kazał wystawić, i z koni się staczali, ale...

— I nie dowiedziałeś się waćpan, co się z niemi stało?

— Na dziś dzień ani tropu, ani słyhu!

— Może napowrót do Kaniowa powróciły — zagadnęła Grzybowska.

— I tam posyłałem. Chutor się spalił, chaty ani śladu, ino zgłiszcza, a o Sydorze i jego rodzinie nikt nie wie.

Grzybowska zamilkła.

— Udawałem się do N. Pana, błagając sprawiedliwości; ani mi odpowiedziano; o krzyżu nikt w kancelaryi nie wie, z kasztelanii się ludzie śmieją. Oto pani masz, oto masz, na coś mię wystrychnęła; masz swą ofiarę — dodał szambelan — dobijże albo ratuj.

— Szambusiu, serce moje, tylko spokojnie, wszystko się znajdzie.

— Nie, za żonę już dziękuję, co mi po niej, do rozwodu idę, nie chcę.

— Zobaczymy.

— Poprzysiągłem, mam tego dosyć; wasy zapuszczę, do kapoty powrócę, ale rozwiązać się muszę, żebym nie rachował się za żonatego przynajmniej.

Chociaż żal było może Grzybowskiej starego, uśmiezek błędził po jej ustach.

— Uspokój-no się, ochłoń, miej cierpliwość — odezwała się — połatamy wszystko, żona wasza...

— Proszę jej tak nie nazywać!

— Jakże ją mam nazywać?

— Jak się podoba, byle nie żoną moją.

— Więc ta kobieta przepaść tak nie mogła, znaleźć się musi, a wówczas ułożycie się może i, mówię ci szambelanie, krzyż i kasztelania znajdą się także.

Szambelan westchnął.

— Bogdajbym się był o to nie kusił! Ta to mamona światowa — rzekł spluwając nieprzyzwoicie na środek pokoju, co Grzybowskę niesłychanie obruszyło — ta to mamona przyprowadziła mię do takiego sromu i upadku.

— Nie kłamże, proszę cię — odparła gospodyni — mamona mamoną, a liczko młode się jegomości podobało.

— Tak, masz asińdzka racyę, *peccavi*, nie zapieram się, nie wiedziałem, że dyabeł zwykle siedzi pod białą skórą. Póki życia, drugi raz pokusa mię nie złudzi.

Grzybowska pokiwała głową, rada, że się szambelan nieco dał ukołysać. W istocie siedział teraz ze spuszczoną głową, smutny, lecz spokojny, ręka tylko do wąsa nawykła, coraz to się podnosiła, aby go musnąć, i upadała z niecierpliwością.

— Długo waćpan myślisz zabawić w Warszawie? — spytała gospodyni.

— Albo ja wiem, albow ja teraz panem siebie od czasu, jak zostałem opętany? Przyjechałem szukać tej kobiety, aby się z nią rozwieźć; podam do konsystorza prośbę, a potem muszę być u króla.

— Gdzież, do jakiego konsystorza podasz prośbę? przecieżeś się tu nie żenił! — odparła, w rzeczach rozwodowych mająca pewne wiadomości gospodyni. Rozwód się tam bierze, gdzie się brało ślub. Zkąd zresztą wiesz, że ta kobieta tu jest?

— A gdzie ma być? To królewska, najjaśniejsza sztuka. Ona musi gdzieś tu się kręcić, a kto ją wie, gotowa się i szambelanową Rzesińską nominować i moje pocziwe imię w niesławę podawać. A tego ja nie ścierpię. Więc do króla pójdę, o audyencję poproszę i powiem mu wbrew: Najjaśniejszy panie, Kochaj się we wszystkich dziewczkach, jakie ci się podobają, ale od szambelanowej Rzesińskiej wara, póki ona moje imię nosi. To raz; powtóre, krzyż obiecałeś, daj; na kasztelanę konsens przyrzekłeś, podpisz, z reszty kwituję.

Grzybowska ręce założywszy, śmiać się poczęła.

— To dopiero będzie skutecznem, gdy pan szambelan królowi tak palniesz.

— Jak Bóg Bogiem, nietylko jemu to palnę, ale na sejm wniosę o krzywdę szlachecką.

Śmiała się coraz mocniej Grzybowska.

— Prawda, żeś opętany — zawołała — bo resztę rozumu postradałeś. Róbże sobie co chcesz, a mnie na pomoc nie wzywaj i bądź mi waćpan zdrów.

Dygnęła mu na pożegnanie. Szambelan siedział nieporuszony, z głową zwieszoną.

— Adieu — dodała Grzybowska.

Rzesiński podniósł głowę, ręce obie wyciągnął rozpaczliwie i krzyknął przejęty:

— No to mówże, kobieto przewrotna! co mam począć? no cóż? co?

— Idź, wypij się, zjedz, napij, pójdź na hecę, kiedy chcesz, albo na teatr, nie rób nic, a ja się postaram, aby cię z kłopotu wyciągnąć, lecz jeśli sam się porwiesz, ja palcem nie poruszę; masz do wyboru.

Zdawał się namyślać szambelan.

— Dajże termin — rzekł — niech wiem, ile to trwać ma; nie mogę tu siedzieć rok i koni trzymać na kupnym owsie, korzec po trzy złote; to ruina!

— Mogęż ja termin naznaczyć? namyślając się odezwała Grzybowska — to gotowo trwać tydzień i dwa.

— Tydzień, dwa... dobrze, niech dwa.. dajecie słowo?

— A wy nawzajem?

— Daję słowo, będę milczał.

— Dobrze; idź na hecę, mówię ci, idź na hecę, to cię zabawi.

Szambelan wziął nieszczęśliwy swój kapelusz, z którym się obchodzić nie umiał, ukłonił się śmiesznie, szpadkę poprawił, aby mu się do nóg nie cisnęła i zwolna wyszedł od Grzybowskiej.

W istocie był to nieszczęśliwy człowiek. Po Warszawie chodził jak błędna owca. Stał pod Orłem białym i już dwa dni orientował się napróżno, ludzi potrzebnych wśród tłumu zawadnego znaleźć nie mógł.

Nauka Grzybowskiej: „idź na hecę!” utkwiała mu w pamięci. Zajrzał na godzinę i poszedł pod Orła naprzód zjeść, bo nadchodziła *hora canonica*.

Stół był gęsto obsadzony, burgundzkie wino zapijano, rozmowa była nader ożywiona. Młodzieniec pięknej postawy siedział koło szambelana, dalej staruszek widocznie ze wsi, za nim wojskowy, za tym ks. kanonik z prowincyi, potem dwie Angielki, Francuz, słowem, jak się zwykł był wyrażać szambelan, awantura babilońska. Wieża Babel! Wszystkie języki brzmiały za stołem.

Szczęściem ów młodzieniec mówił po polsku. Wśród obiadu spytał go dyskretnie szambelan o hecę wyznając, że ciekawym jej był.

— Ja tam właśnie wieczorem idę — rzekł usłużny sąsiad — jeśli waćpan dobrodziej życzyś sobie, pojedziemy razem.

Zaprezentowali się więc sobie wzajemnie: szambelan J. kr. Mości, Koronat Ostoja Rzesiński — i — August Mikorsz z Poznańskiego — bez tytułu.

Brak tytułu, bodajby po ojcu, nieprzyjemne uczynił wrażenie na szambelanie, gdyż się łyka domyślał, a z takimi przestawać nie lubił.

Od obiadu do hecy było kawał czasu; pan Mikorsz butelkę burgundzkiego przynieść kazał i sączyli. W tem osób wiele poszło na osobne stoliczki rozrywać się w karty i pan August zaproponował polskiego maryasza. Zgodził się na to Rzesiński, myśląc, że po trzy grosze do puli zagrają, ale się dowiedział, gdy karty podano, że niżej dukata sama przyzwoitość grać nie dozwala. Cofać się, wstyd mu było; pomyślał, że go parę pul nie zrujnuje. Poczęli tedy grać. Pierwsza wypadła szczęśliwie, drugą szambelan przegrał, ale

że uważał przeciwnika za słabego, puścił się na trzecią. W trzeciej grubo dosyć przyplacił. W czwartej chcąc się odegrać, pośliznął się gorzej jeszcze. Gra przeciwnika w dziwny się sposób polepszała, w piątej doszła przegrana do dwudziestu dukatów.

Czas było na hecę. Pan Mikorsz nazajutrz rewansz ofiarował.

Markotny wstał szambelan; wzięli fiakra i dostali się na tę sławną hecę. Dnia tego drewniana buda była pełna, bo niedźwiedzia szczuć miano. W pierwszych krzesłach pełno dam postrojonych siedziało, a ze strojów i postawy łatwo poznać było, że nie lada mieszczyki to były, ale damy najpierwszego towarzystwa. Szambelan miał wzrok przykrótki, szczególnie na jedno oko nie dowiadał. Z daleka rozpoznać dobrze twarz było mu niepodobniństwem, strój jednak i figura jednej damy osobliwie go uderzyły.

Wiele oczów się ku niej zwracało. Siedziała w pierwszej łoży, sama jedna, a po za nią w kątku ukryta stara jakaś kobieta. Widać ją było niemal całą, bo na wysokim siedzeniu zajęła miejsce. Miała na sobie do gorsu aksamitną suknię czarną, z pod której białe jak śnieg ramiona i popiersie cudne widać było, obramowane bogatymi koronkami. Na białym gorsie świeża róża, pełna, przypięta, cudnie się odbijała. Fryzura cała w puklach, spadała jej na ramiona obficie, a na niej kapelusik popielaty z różą, opięty był sznurem brylantów.

Maluską rączkę, w rękawiczce popielatej, trzymała na kolanach z chusteczką przezroczystą, haftowaną. Z ramion spływał łańcuch złoty, wenecki, kilka razy obwinięty około szyi, z zawieszoną na nim balsamką kameryzowaną i takimże zegarkiem. Śliczne oczy czarne pały pod powiekami przymrużonemi, usta miała malusie i różowe, twarzyczkę piękną jak obrazek, ale dumną, smutną, nagniewaną i zbolaną. Trzymała się tak zręcznie, przechylała tak gibko, padała w krzesło i podnosiła z takim wdziękiem, że się ludzie jej napatrzeć nie mogli.

Nikt na hecę nie patrzył, wszyscy na nią, i szeptano coś sobie do ucha.

Widząc, że oczy zmrzuza to wytrzeszcza pan szambelan, usłużny Mikorsz, który miał perspektywkę w kieszeni, ofiarował mu ją, zalecając.

Rześniński, który nigdy podobnych narzędzi nie używał, niezbyt będąc pewnym, czy w nich jaka nieczysta siła nie mieszka, z wahaniem ale z ciekawością ujął perspektywę i począł ją, zmrzywszy jedno oko wedle przepisu, a raczej ręką je przytrzymując dla ułatwienia, spoglądać tu i ówdzie.

Zdziwił się naprzód, postrzegłszy niedźwiedzia pod nosem. Uczyniło mu to wrażenie przykre, tak, że się aż zachnął; potem ogon psa, potem wąsy żółte jakiegoś jegomości spostrzegł zbliżone przerażająco, naostatek — o mało nie upuścił szatańskiego szkła — żonę zobaczył, własną żonę... tuż, tylko rękę wyciągnąć.

Krzyknął; ale że w tej chwili psy biednego maruchę mordowały, wzięto ten wykrzyk za wyraz współczucia dla niedźwiedzia.

Piękna ta pani w kapelusiku popielatym z piórem, z różami, z brylantami, wydała mu się Natałką.

Pobladł, lecz przypisał to szatańskiej sztuce. Sąsiad w chwili, gdy Rześniński nieśmiało drugi raz kierował perspektywę na tę damę, zapytał go, czy nie swoją imienniczkę, a może krewnę znalazł.

Szambelan spojrział nań.

— Albo co?

— Bo to jest owa sławna, pierwsza dziś piękność nasza, która nie wiadomo z kąd wypłynęła na światło stołeczne, zowiąca się, jeśli się nie mylę, tak jak pan dobrodziej, a nawet tymże tytułem... zowią ją szambelanową Rześnińską.

Słyszając to szambelan, przestraszył się, zdziwił i perspektywka wypadła mu z ręki. W drugim rzędzie pod nimi siedział jegomość łysy, którego uderzywszy w czaszkę i odbiwszy się od niej, potoczyła się między psy i niedźwiedzia.

Łysy jegomość, raniony lekko, krzyknął, wszystkich oczy zwróciły się na przelękłego winowajcę, zamęt się zrobił w sali. Mikorsz zaczął się śmiać. Rześniński za perspektywką gotów się był rzucić między dzikie zwierzęta, a gdy się to uspokoiło, owa pani w popielatym kapelusiku znikła.

— O perspektywę nie masz się waćpan dobrodziej co tak troszczyć, nie była to rzecz tak kosztowna.

W istocie tylko pięć czerwonych złotych szambelan zapłacił za nią, lecz nie szło mu o nie; chciałby był gonić za widmem żony, a tej już nie było. Milczał, dziko wodząc oczyma po sali.

— Pani Rzesińska — szepnął głosem zalterowanym do sąsiada — jest mi podobno daleką powinowatą; pan nie wiesz, gdzie mieszka?

— Nie wiem — rzekł Mikorsz — lecz się o tem łatwo dowiedzieć mogę.

— Uczynisz mi tem największą przysługę.

Spędzili resztę widowiska, które zapłaciwszy smutny szambelan, czuł się obowiązany skosztować do ostatka, oba nie bardzo niem zachwyceni.

Przy wieczerzy Mikorsz znowu dał burgunda, a po niej grali w maryasza i pan Rzesiński przegrał tylko dwadzieścia pięć dukatów, co z lornetką i ranną przegraną uczyniło pięćdziesiąt, nie licząc stołu, miejsca na hecy i fiakra połowy.

Gdy późno w noc wszedł do swojej stancyi szambelan, po burgundzie, maryaszu, widowisku, przegranej i całym tym dniu nieszczęśliwym, począł się liczyć z kasą i sumieniem, i postrzegł, że takich dni kilka wyczerpią zapas do dna. Wprawdzie znalazł żonę, lecz co mu po tem było?

Nazajutrz pobiegł do Grzybowskiej zdyszany. Po dzwonienu go poznała, bo jak na wotywę sygnował.

Bez powitania prawie się wtoczył.

— A, dobrą mi asińdzka dałaś radę! — zawołał — tożem na hecy tę małpę znalazł!

— Jaką?

— A tę... tę... już się pani domyśl. I dowiedziałem się, że szambelanową śmie się nazywać!

— Bo ma do tego prawo — odparła Grzybowska seryo.

Szambelan na wczorajszym krzeselku padł jak przybity.

— Dałem słowo, że nic nie pocznę; słowo rzecz święta; nie robiłem wczoraj larum, lecz donoszę, że gdy ją wyszukam...

— Ja ci ją znajdę i rzeczy się ułożą — rzekła Grzybowska. Czekać, bądź cierpliwy i baw się.

— Śliczna mi zabawa w tej waszej Warszawie! — krzyknął rozpaczliwie Rzesiński. Wczoraj przy stole zrobiłem znajomość z młodym czlekiem, niewinność sama, grzeczny, układny, gładki, choć do rany, a jak się okazuje dzisiaj, upoił mię *cum premeditatione* burgundem i wziął u mnie w prostego maryasza pięćdziesiąt czystych! Ładna sumka; a przelknął to tak gładko, jakby to dla niego nic nie znaczyło. Oszust, szuler! Wczoraj mu tego nie śmiałem powiedzieć, ale dziś mam najmocniejsze przekonanie. Z początku grał jak szewc, potem jak wirtuoz, a karty znał doskonale, bo gdy odrzucił, pewnie spodem siedział pamfil albo tuz.

Grzybowska się uśmiechała.

— A żonę, jakżeś waćpan znalazł żonę?

— Małpę, małpę, nie żonę! — ruszając ramionami wołał szambelan. Ja ją widziałem i nie widziałem, mogę powiedzieć. Siedziała opodał, wystrojona, w brylantach, a ja nie dowidzę; myślałem, że jaka wielka pani... Ten szuler, który ze mną był, dał mi takie szkło, oprawne w rurkę, co zbliżało, przez nie ją dojrzałem i pięć czerwonych złotych za to odkrycie zapłaciłem, bo szkło i rurka z ręki mi wypadły i niedźwiedz je zgniółł. Komu się nie wiedzie, to nie wiedzie, trudno; abym rozwód dostał i do domu... Cóż każesz mi robić?

— Co? to samo, co wczoraj. Siedź spokojnie, w karty nie graj i czekaj, abym ci znać dała. W nic się nie wdawaj, bo popsujesz wszystko, rozumiesz?

— A no...

Szambelan wstał, aby wyjść. Stał w progu i odwrócił się do Grzybosi.

— Cóż pani na to? Pięćdziesiąt czystych w maryasza z gołowąsem i za jakiesz szkiełko! Śliczny interes, jak Boga mego kocham, awantura babilońska!

Warszawa w czasie sejmu czteroletniego świetną nader była, zgadzają się na to wszyscy, lecz co jej ten blask nadawało, to przypłynęło z daleka; dwory pańskie, powozy, konie, liberye, strojne panie i panowie — stan samej stolicy dziwnie od tej ludności pozłocistej

odbijał. Z wyjątkiem kilku piękniejszych gmachów w samego miasta obrębie, ulice i domy nie odznaczały się wytwornością, a stan bruków był oplakany. Po za bramą krakowską, na tej przestrzeni, która miastem być miała, ale jeszcze go nie dorosła, kręciły się drogi, uliczki, płoty, a wśród nich w nieładzie największym rozrzucone były przepyszne pałace, oko w oko z mizernymi chatkami wspaniałe budowle i szalase nędzne. Gdzieniegdzie leżały stopy drzewa, kupy przygotowanych cegieł, kłocę, pilować zaczęte, i szopy stały z chrustu plecione. Widok był osobliwy, ale wzrost zwiastujący; ładu mało, życia wiele.

W alei ujazdowskiej, wśród ogrodu w części ze starych drzew złożonego, w drugiej zasadzonego świeżo, stał naówczas domek niewielki, murowany, dosyć ładny, do którego przystępu bronił mur i brama zamczysta, obok której była furtka także warowna.

Powozem jadąc, można było zajrzeć we wnętrze ogrodu i dopatrzeć, że miał uliczki piaskiem powysypywane, dużo kwiatów, rodzaj sadzaweczki, ocembrowanej w pośrodku, a w domu widać było żaluzje zielone, firanki, białe, doniczki w oknach, ganek, ostawiony oleandrami i drzewami pomarańczowymi.

Przed ten domek, fiakrem, wieczorem dnia jednego zajechała Grzybowska i zadzwoniła do furty, która się nierychło otworzyła. Wprzód z wnętrza odsunięto okienko popatrzył ktoś i dopiero poznawszy przybyłą, otworzył.

Około domku nie było nikogo. Sień, do której weszła stara panna, także pustą znalazła; otworzyła drzwi przeciwległe i w pokoju, który na ganek wychodził, nie zobaczyła też nikogo. Dopiero zwolna w prawo się zawróciwszy, uchyliwszy drzwi i podniósłszy zasłonę, ujrzała kobietę, siedzącą na fotelu, a raczej leżącą na nim, z nogami spartemi na stoleczku.

Była to owa ukraińska krasawica, ale zmieniona na piękność miejską; z dziecka wsi, z kwiatka dzikiego, na zwiedle kwiecie, co usycha w dusznej atmosferze.

Była to piękność też sama i owe oczy czarne, płomienistsze może jeszcze, lecz jakże się to zmieniło, nietylko strojem, nietylko otoczeniem, ale wyrazem i bolem. W białej koszulce, z polnym we włosach kwiateczkiem, z koralami na szyi, z rumieńcem na licu, Natałka była obrazem życia i nadziei; w kaszmirowej sukni długiej, z pierścieniami na palcach, w naszyjniku złocistym, z puklami trefionymi, spadającymi na ramiona, w atłasowych trzewiczkach, piękna szambelanowa była obrazem znękania i rozpacz. Na czole napisana była żaloba, usta różowe pobladły, cera wybielała woskowo, stała się przezroczystą, oczy tylko cały ogień skupiły w sobie, ciemnymi obwiedzione tonami; zdawały się dogorywać, jak gasnąca pochodnia, co chwyta ostatki płomienia, aby się sama pożarła.

Leżąc tak zadumana, spozjrzała obojętnie na wchodzącą Grzybowską i nie podniosła się nawet. Usta jej skrzywiły się jakimś pół uśmiechem szyderskim, głową tylko skinęła powoli, a potem rączką białą, po której sine żyłki jak siatka się krzyżowały, wskazała obok stojące krzesło.

Grzybowska stanęła naprzeciw niej.

— Ktoby powiedział, że najnieszczęśliwsza w świecie kobieta, a to pieszczone dziecko, popsute...

— I takie szczęśliwe — szepnęła ironicznie Natalia — o, zapewne. Kapryśne dziecko! chce mu się szybki z okna, kafla z pieca, gwiazdki z nieba, nieprawdaż? Tak wy mówicie wszyscy, a gdy komu trzech powie, że pijany, niema co robić, powinien iść spać. Tak i ja. Wszyscy mi mówicie, że być powinna szczęśliwą, więc powinnam śmiać się.

Mówiąc to, otworzyła usta, pokazała ząbki białe, do uśmiechu nastroiła twarz i ziewnęła. Ręce się podniosły ku górze i bezwładne opadły na kolana. Jedną z nich sparła na poręcz, na niej złożyła głowę i zadumała się, jakby nikogo nie było. Grzybowska popatrzywszy na nią, usiadła. Zwróciła ku niej główkę po chwili.

— No cóż? przysięgnę, że mi przychodzie zwiastować przybycie mojego męża. Cha! cha! starego wczoraj widziałam na hecy. Patrzył na mnie osowiałemi oczyma, potem mu ktoś podał szkło, które z rąk wypadło, tak się mnie jak widma nastraszył... ale i ja uciekłam. Poznałam go. Teraz ja niewolnica zawsze podwójnie zamykać się muszę; broń Boże, mię wyszpiguje, a nuż się tu dostanie...

— Czegoż się masz bać?

— Hałas, wrzawy, krzyku — odparła Natalia. Król i tak cienia swojego się boi. Ta Grabowska nieszczęsną zagryza go podejrzeniami, zamęcza wymówkami. Król i tak znużony, nie wiele potrzeba, by mnie porzucił, a ja go kocham, ja go kocham!

Ruszyła ramionami Grzybowska.

— Wszak tu nikogo nie ma — odezwała się — prawda? Matka pewnie, więcej nikogo. Więc powiem otwarcie: komedyi nie graj ze mną. Król stary, nudny, znudzony, co ty mi mówisz, moja szambelanowo, że go kochasz!

Natałka porwała się na pół z siedzenia i padła na nie znowu, ręce łamiąc.

— Tacyście wy wszyscy! — krzyknęła z gniewem — nikt z was wierzyć nie chce, ale ja go kocham, choć stary, kocham go, bo jest biedny, kocham, bo nie wiem, czemu go kocham! Schnę, męcę się, umieram, marzę o stepie, płaczę, radabym zerwać się z łańcucha, a serce mnie tu trzyma. Wyście tacy wszyscy — poczęła gwałtowniej — żadna go nie kochała, sprzedawały mu się wszystkie, ale mnie nie ma świat, za coby kto kupił. Ja nie potrzebuję nic tylko kochania, choćby o chlebie i wodzie, o głodzie i o łzach... ja jestem boże stworzenie, a was ulepili ludzie; wy mnie nie znacie!

— Dostyc, dostyc tych narzeką — odezwała się stara panna, urażona nieco. Nie przyszedłam tu słuchać lamentów, bo jest mówić o czym innym. Szambelan w furii...

Natałka nie odpowiadała, patrząc w okno.

— Szambelan się odgraża! — powtórzyła Grzybowska.

— Czegoż chce? — spytała z wolna Ukrainka.

— Czego chce? sam pono nie wie; chce rozwodu, chce krzyża... — zaczęła się śmiać — ten mu się należy.

— Niech zrobi co chce, niech mu dadzą, co zapragnie, co mi tam!

— Ale właśnie byłoby nieroztropnie, moja szambelanowo, dopuścić rozwód i zerwać ten węzeł.

— Dlaczego?

— Dla przyszłości; król nie jest nieśmiertelny...

Wyprostowała się Natałka.

— A jaż? — spytała. Umrze on, umrę ja, może prędzej od niego. Jak się to życie skończy, innego nie chcę... pójdę tam, nad Dniepr i skoczę w wodę.

Stara panna z widoczną niecierpliwością słuchała wyeksaltowanej mowy pięknej pani; nie mogła jej zrozumieć ani w nią uwierzyć; ramiona się jej podnosiły, zrywała się, otwierała usta i krzywiła je.

— Jakże tu rozsądnie mówić z wami? — poczęła westchnąwszy — jak się tu dogadać? niema sposobu!

Niespodziewanie zamiast odpowiedzi, Natałka obróciła się ku oknu, podparła na dłoni i poczęła tęsknym głosem śpiewać piosnkę ukraińską. Nucila ją tak półgłosem, zadumana, jakby już o wszystkim zapomniała, oprócz króla i Ukrainy.

— Dwa dni go nie widziałam — odezwała się, przestając śpiewać nagle — musi się przekradać jak złodziej do mnie, tak go szpiegują, musi się z godzin rachować; Grabowska go łaje, siostry mu przymawiają, mnie wszyscy nienawidzą... słodkie życie! A gdy wieczorem skrzypną drzwi i przyjdzie on, drżący, wystraszony, to na zegarek patrzy i niczem go nie wstrzymać, i strach mu wszystko truje....

Pilno było Grzybowskiej, więc wstała.

— A gdzie matka?

— Z kądzielą schowała się w kącie, bo jej wstyd kądzieli, a tęskno za nią. Ot, tam.

Wskazała na drzwi.

Stara panna wsunęła się do ciasnej izdebki. Tu na ławce u okna stara Sydorowa siedziała zadumana i przędła. Zobaczywszy Grzybowską, postawiła coprędzej kądziel w kącie, fartuch poprawiła i pozdrowiła ją po cichu.

— Z wami się choć może rozmówić potrafię — szepnęła przybyła — z Natałką się nic nie dogadasz.

— Dajcie jej pokój, ona biedna — westchnęła matka — schnie mój kwiatek na lodydze, bodajbym była go tu nie wiozła, gdzie i szczęście takie niezdrowe.

Otarła łzę.

— Szambelan przyjechał... chce rozwodu; aleby może król się zgodził, a Natałka do niego wróciła i życie by się stało znośniejszem.

Stara podniosła obie ręce nad głowę i poczęła trząść długo suchymi palcami nad nią.

— *Kudy, kudy, kudy!* ani jej mówić o tem — rzekła, zniżając głos — co Bóg przeznaczył, to będzie.

— No, to choć rozwód niech weźmie, bo ten człowiek szaleje, że nazwisko dał, a żony nie ma.

— Niech sobie rozwód dadzą, a nam co do tego? Jak chcieli, tak my robiliśmy; odrobić, to odrobić; tak z tem, jak bez tego. Ręką machnęła — róbcie, co chcecie.

Nie wiedziała już co mówić Grzybowska, gdy od bramy dzwonek się dał słyszeć. Stara pobiegła do okna zmięszana.

— *Korol!* — zawołała, klaskając w ręce.

Z sąsiedniego pokoju słyhać było tylko, jak Natałka z krzesła skoczyła i naprzeciw gościa wybiegła.

Szczęściem Grzybowska odprawiła była fiakra od wrót, bo król inaczej by dom minął.

Przez okno zobaczyła go, obwinietego płaszczem i krocącego niespokojnie. Siadła ze starą w małej izdebce, Natałka w pierwszym pokoju króla przyjmowała.

Cisza panowała w domku. Rozmowa snąc toczyła się głosem stłumionym; niekiedy Natałkę tylko słyhać było wybuchającą i wnet jakby jej usta zamknięto, milkła.

Trwało to bardzo krótką chwilę, krócej, niż się Grzybowska spodziewać mogła. W sieniach dał się słyheć szelest... król już wychodził; do furtki biegł, nie oglądając się i zniknął. Na dworze szarzało. Szelest sukni i ciężkie rzucenie się na krzesło, oznajmiło Grzybowskiej, że Natałka na swoje miejsce wróciła. Otworzyła więc drzwi i weszła. Zastała ją tak siedzącą jak wprzód, ale z rumieńcem wypalonym na twarzy.

— Otóż tyle mego! — zawołała — dwa dni czekania, a ćwierć godziny pociechy, zatrutej strachem. A jaki on blade, a jak się trząsł, lzy mu się w oczach kręciły. Ludzie go męczą; skarżył się na obcych i swoich; rodzina go prześladowuje. O, biedny król i biedne to szczęście moje!

Złożywszy ręce jak do modlitwy, znowu w okno patrzyła.

— Ja was muszę pożegnać — rzekła Grzybowska — przyszedłam z dobrem sercem i radą, a nic wam uczynić nie mogę, więc odchodzę.

— Ale — przerwała Natałka — ale nie odchodzicie z niczem. Mówiłam królowi... król na rozwód się godzi, byle rozgłosu nie było, podpisze co zechce. Czegoż więcej żąda? Dadzą mu wykupnego, a niech go moje oczy nie widzą.

— Dobrze, dobrze — odezwała się stara panna — tylko żebyście później tego nie żalowali, że go odprawiacie; zdałby się może stary i z nim do ładu by przyjść można.

Śmiech i śpiewka były jedyną odpowiedzią. Natałka nuciła ruską pieśń: „Szumią bory, mruczą wody”, a głos jej nieuczony, słaby, ale tęskny i przejmujący, niecierpliwą Grzybowską nawet chwilę u progu zatrzymał. Gdy śpiewać przestała, po cichu się wysliznęła bez pożegnania.

Fiaker czekał na nią daleko w samotnej uliczce.

Na ujazdowskim dworku dzień ten był jednym z najczynniejszych i najpamiętniejszych Natałce. Ranek przetrwała w strachu po wczorajszej hecy, dzień w oczekiwaniu; podrażniła ją Grzybowska, rozmarzył król, tęsknota za Ukrainą rozłzawiła; wieczór nadchodził i piosnką kołysała się sama, pieszczone dziecko, do jakich snów marzących!

Sydorowa zajmowała się wieczorą ze sługą, gdy stary stróż, dawny żołnierz, później odźwierny w Kozienicach, dla wierności swej sprowadzony tu umyślnie, zjawił się w kuchence z kluczem w ręku.

Zobaczywszy sługę, skinął zręcznie na Sydorową, aby do niego wyszła, i wolnym krokiem poprowadził ją na ogródek. Tu obejrzał się po murach otaczających i zbliżywszy do ucha starej, szeptać jej począł:

— Ta juścić, moja jejmość, ja się nikogo nie boję, ale coś jest, trzeba żebyście wiedzieli, że coś jest.

— Cóż jest? co? — spytała stara, którą gderliwość i wielomowstwo żołnierza gniewało i niecierpliwiło. Znowu się wam co przywidziało.

Żołnierz aż się na nodze okręcił.

— Masz! znowu przywidziało! To idźże jejmość z Bogiem, nic nie powiem, ale jak posłyszycie, że m ognia dał w ogrodzie, żebyście lamentu i wrzasku nie narobiły.

— Czekajże, stój! — zawołała Sydorowa — a czegoż ognia masz dawać?

— A słyhać mnie nie chcecie? — żywo począł żołnierz — tobyście się przecież dowiedzieli, co jest. Od trzech dni już jakiś mi się tu człowiek podejrany około domu

kręci. Napatrzyłem go, stojąc przed bramą i przez płoty. Źle mu z oczu patrzy; siedzi ciągle pod murem; wczoraj suchy chleb kruszył i jadł. Ogromny drab, odarty, blady; mówię, że mu źle z oczów patrzy, na zbója wygląda...

— Młody? stary? zapytała Bondarowa.

— Juści nie stary — mówił żołnierz — i młody tak nie jest. Twarzy nie widziałem dobrze, a no, silny, zdrów. Zakradł się, gdy szambelanowa po ogrodzie chodziła, aż na mur i oczy wytrzeszczył na nią; dopiero gdym ja się ruszył, zniknął.

Sydorowa się zadumała.

Stali właśnie po za bramą i furta, tam gdzie mur był trochę niższy i odarty, w części okrywały go zarośle. Zaledwie umilkli, szelest się dał słyszeć, a żołnierz dał znak kobiecie, aby zamilkła i palcem wskazał ku zagrodzie. Mrok był na podwórzu, ale dosyć jeszcze jasności dnia zostało, by o kilka kroków twarz ludzką dojrzeć było można. Dwie silne ręce postrzegli naprzód na murze, jakby weń wpite i wrosłe, potem nad niemi ukazała się zmięta i szarżana czapka barania, na ostatek głowa i twarz blada, z oczyma ciemnymi. Twarz była wychudzona, znądziała, żółkła, spalona, pyłem okryta i błotem. Sydorowa wlepiła w nią oczy, podniosła ręce i krzyknęła głosem wielkim:

— Maksym!

Żołnierz ruszył się jakby po broń, a głowa znikła i ręce opadły.

Stara Bondarowa nie wiedząc co czyni, rzuciła się ku furcie, ze środka zamkniętej, otworzyła ją, nachyliła się w ulicę pustą i wołać poczęła:

— Maksym! Maksym!

Z prawej strony z pod muru szelest się dał słyszeć i człowiek przytoczył się raczej niż przyszedł ku niej, nie mówiąc słowa, pochwycił ją za ręce, namiętnie całując i płacząc.

— Maksym! szalony chłopie, co tu robisz? — zawołała, ciągnąc go z sobą do ogrodu — gdzie ty był? po coś tu przyszedł?

Nie miała siły czynić mu wyrzutów żadnych; lata wychowania jego, sieroctwo, przyswojenia za dziecko, wszystkie dni wspólnej pracy i wesela i niedoli na pamięć jej przyszyły. Jak drugie dziecko go witała, powtarzając: co ty tu robisz, Maksymie?

— Ja — odpowiedział wreszcie Ukrainiec, nabierając w piersi oddechu — a cóż! wszak włóczęgą przywlokłem się tu, aby was zobaczyć. Bez was tam dla mnie wszystko pomarło, bez was tam dla mnie nic nie było.

I Maksym począł płakać, ale wnet łez się powstydział, otarł je szybko i uśmiechnął się do Bondarowej, ręce jej pochwyciwszy i okrywając je pocałunkami synowskimi.

Stara zawahała się, czy go prowadzić do domu, czy o nim córce powiedzieć.

Żołnierz widząc te konszachty jejmości z obdartusem, stał cały zmięszany. Nareszcie powiodła go Bondarowa pod klon na ławę i sama na niej usiadła.

— Mów, Maksym, mów jak na spowiedzi świętej prawdę całą, co z tobą było?

— Matko Bondarowa — począł parobek — było ze mną źle, że nie mogło być gorzej, i żem żyw dotąd, Bóg tylko łaskaw, a może mnie pognał tu, abym wam na co posłużył. Samiście mnie z chaty wygnali, toć wiecie; poszliśmy ja i Krywonogi w wawóz, w bałkę, i żyli o chlebie i wodzie, pilnując, co się działo na chutorze. Mnie się we wnętrznościach gotowało, bom ja czułem, że idzie na pohybel. I tego Lacha, winny on czy nie, my przybili na drodze, żeby ich oduczyc łażenia do chutoru. A no, nie pomogło nic, co było napisano, to się stać musiało. Uciekliście z chutoru z Natałką, a Sydor już tego dnia na stepie znów był i od nas się dowiedział, że was nie ma. Po waszym wyjeździe my naszli na chatę, gdy najmitka z parobkami przy wódce siedzieli. Sydor precz wygnał hołotę, a że mu się serce ścisnęło, chutor podpałił i wszystko spłonęło.

Jęknęła Bondarowa, zakrywając oczy.

— Nam na konie kazał sięść i pojechaliśmy we trzech na step, gdzie oczy poniosą. Z domu, z lochu, nie wzięliśmy nic, ale u Porohów, u Kozaków dostali trzy samopały i kul i prochu. Sydor nas prowadził... krwi mu się chciało. Siadaliśmy w bałkach i czatowali, i rozbijali i zabijali, nie dla sakwy i nie dla pieniędzy, bo się nie tknął niczego, ale krwi mu było potrzeba. I lała się krew, matko Bondarowo, lała się, a jemu trochę się lżej na sercu robiło. Krywonogę prędko nie stało: w dziesięć dni kula go wzięła... w samą pierś pod żebro, że się zwałił z konia jak kłoda. Dwie nocy mu kurhan sypałem i krzyż wetknąłem, a sam go na bezpieczne miejsce do mogiły zaniósłem, aby nieruszany odpoczywał. Opo-
dal od gościńca na pagórku leży. Zostaliśmy sami z Sydorem i bładzili po stepie. Nocą

w bałkę i gąszcze się wszyli, a czatowali, dniem do bałek wracali na spoczynek; czasem do kozackich chat na wyżki, w sloty. Sydorowi twarz bladła, a po nocach kaszel go dusił, co aż krew po nim się rzucała.

Tu się Maksym zatrzymał. Bondarowa oczy zwróciła na niego i patrzyła mu w twarz długo.

— Umarł — rzekła — ja wiem, jam go tej nocy widziała; umarł... ja się grzeszna modliła za jego duszę.

— Na wyżkach w chacie kozackiej nadedniem zawołał mnie do siebie i w głowę pocałował. „Mnie przyszła godzina — rzekł — trzeba iść zdać rachunek. Bóg jeden wie, co z duszą będzie; powiedzcie im, że przebaczyłem wszystko, bo i ja przebaczenia potrzebuję.” Uderzył się w piersi pięścią, głowa się zatoczyła, chwycił mię jeszcze raz za ramię, bom nad nim klęczał... i już duszy jego nie było.

Zamilkł Maksym chwilę.

— Co było robić? gdzie się dziewać? Powlokłem się na chutor, a tam pustynia i bodiaki na gruzach i tęsknica, nie wydychać; ani żyć, ani umierać! Więc w świat za wami, matko Bondarowa, bo u mnie nikogo w świecie, tylko wy a ona... Ot, jak pies wietrzyłem tropy i zawlokłem się między Lachy.

Zamilkł Maksym i oczy zakrył dłonią. Sydorowa siedziała niema; noc nadchodziła. Zerwała się nagle z ławy.

— Chodź ze mną — rzekła — odpoczniesz pod dachem.

I powoli ku domowi go poprowadziła posłusznego.

Stary żołnierz stał na straży; z dala zobaczył idących i nieufnem okiem zmierzył przybysza.

— On tu przenocuje — szepnęła Bondarowa — dacie mu w izbie miejsce z sobą; ja go znam, to nasz, to sierota, com go wychowała, nie macie się go co lękać.

Żołnierz głową pokiwał. Nie w smak mu to było, lecz Bondarowa tu rozkazywała. Nie mówiąc słowa, wprowadził Maksyma do swej izby. Stał w niej tapczan próżny, wskazał nań ręką, a sam cofnął się ku swemu łóżku. Maksym siadł, rzucając kij i nieruchomy pozostał tak w miejscu, jakby pół senny.

Z pewnem niedowierzaniem żołnierz swoje mienie przygarniał jak mógł ku łóżku, świeczkę zapalił i wyszedł.

Był to dzień zwykły posłuchania u króla przed sesją sejmową. Przypuszczano interesowanych z rana na kilka chwil do oblicza pańskiego, a nagłące sprawy publiczne za wyborny służyły pretekst, by długo nie męczono N. Pana. Kilku grzeczniemi słowy zbywał z grzecznością ujmującą król cisnących się ku niemu. Nikt prawie nie odszedł niezadowolnionym z niego, bo odmawiać nawet umiał tak, że odmowę złagodził, a obietnice nic go nie kosztowały. Dobry do zbytku, lecz bez wyboru ludzi, rad był sobie pozyskać każdego i ze wszystkich w końcu robił nieprzyjaciół i niechętnych.

Dnia tego pan szambelan Koronat Ostoja na Krasnych Wałach Rzesiński miał sobie przyobiecane ucho królewskie. Naznaczoną była dziewiąta godzina z rana. Pół godzinę wprzód już się szambelan wystrojony na pokojach znajdował, gdzie oprócz dwóch paziów nikogo nie było. Z niecierpliwością spoglądał na skazówki zegaru, które się tak wolno poruszały, iż je pan Koronat o zaniedbanie obowiązków posądzał.

Wreszcie uderzyła dziewiąta.

Oprócz szambelana, na sali był jeden ksiądz i jeden szlachcic ubogi.

Drzwi się otworzyły i służbowy szambelan zawołał głośno:

— Król idzie!

W rząd ustawili się wszyscy.

Poniatowski w mundurze korpusu kadetów, z wiązką papierów w ręku, ukazał się w progu gabinetu. Uśmiech łagodny miał na ustach, oczyma zmierzył wszystkich i trochę zdziwiony a niepewny przybliżył się do szambelana.

Rzesiński gniewał się i kłął N. Pana z daleka, ale z bliska miał to tradycyjne poszanowanie majestatu pomazańca boskiego, które sprawiało niegdyś, że rokoszanie, co się przeciwko królowi rwali z bronią w ręku, padali przed nim na kolana, a gdy przejednać się nie mogli, wracali do szabel i samopałów.

Na widok pana, Rzeziński zgiął się wpół z takim przejściem i rozrzewnieniem, z taką pokorą, iż król mimowolnie się uśmiechnął.

— Ale jakże na korzyść zmieniłeś się, szambelanie — odezwał się słodko — prawdziwie, żebym go był nie poznał. Jakże tam zdrowie, dobre? gospodarstwo pomyślne? pszeniczka rodzi?

— Wszyscyśmy pod błogiem panowaniem W. kr. Mości szczęśliwi — odparł Rzeziński, nie myśląc, co mówił — kraj używa pokoju...

— Ale, *si vis pacem, para bellum* — dodał król — dlatego wojsko potrzeba wotować, ekwipować i wzmocnić. Co to za szkoda, żeś się acan dobrodziej nie starał o poselstwo ze swej ziemi... byłbyś nam tu bardzo użytecznym; przy jego miłości kraju i zdolnościach...

Rzeziński aż głowę podniósł ze zdumienia; miłości kraju w sobie nie wypróbował; musiał ci ją mieć, bo wszyscy ją mieć byli powinni, ale czuł, że dowodów na to nie złożył; co do zdolności, tych uznanie napełniło go dumą, ale razem było dlań niespodzianką. Skłonił się nisko. Król się obejrzał w koło.

— Kochany szambelanie — rzekł — radbym ja z waszmością dłużej na osobności pomówić w gabinecie; posłuchanie długo nie zabawi, chciejcie się zatrzymać.

Rzeziński podrośł; zrobiło mu się dziwnie błogo, czuł, że fortunę trzeba było za włosy pochwycić. Odszedł na stronę, prostując się i pełen powagi.

Król tymczasem od księdza przyjmował ofiarowaną sobie kantatę, którą w dzień imienin N. Pana duchowny dedykował mu, a teraz dopiero u stóp pańskich złożyć ją miał szczęście. Z tym król biegle po łacinie mówić zaczął. Przyjął w aksamit oprawną książeczkę i przyrzekł, że się jeszcze widzieć z nim będzie.

Szlachcic był Kurlandczyk, nie mówił tylko po niemiecku. Król od pierwszych słów postrzegłszy, że mu z polszczyzną szło trudno, odezwał się doń po niemiecku i prowadził rozmowę z wielką łatwością.

Nadeszło było później jeszcze osób parę: Anglik kupiec, do którego po angielsku król przemawiał, Francuz, oficer niegdyś pułku Massalskich, z którym jak Francuz szwargotał, nareszcie Włoch, bankier, do którego odezwał się piękną włoszczyzną.

Szambelan był niesłychanie zdumiony, lecz w prostocie ducha ten dar polyglotyczny przypisał osobliwej *gratia status*. Pomnożyło to jeszcze uwielbienie dla osoby króla J. M., którego i tak od pół godziny admirał i czcił aż do rozrzewnienia.

Naostatek ostatniego z przybyłych odprawiwszy, król odwrócił się i zobaczywszy szambelana, skinął grzecznie, ażeby za nim szedł do gabinetu.

Już samo szczęście, iż do tego przybytku był przypuszczonym, napełniło Rzezińskiego niewymownem uczuciem. W tej chwili dalby się był porąbać w sztuki za majestat króla J. M.

Wszedł, próg przestępując ostrożnie, pokornie i stanął nieopodal ode drzwi. Przed nimi stał stolik w rodzaju biurka, pełen papierów i książek. Na nim widać było ogromnych rozmiarów pergaminowy arkusz z pieczęcią przywieszistą, drugi podobny, mniejszy i misterne pudełko ze skóry czerwonej.

— Jestem waćpanu dłużny — odezwał się król, wchodząc — ale w tem nie moja wina, tylko kłopotów, jakie ciążą na mej głowie. Szczęśliwym, że choć dziś się po części z zobowiązań dla tak zasłużonego obywatela wywiązać mogę. Należał się acanu dobrodziejowi krzyż św. Stanisława... oto masz podpisany przywilej, a obok konsens na kasztelanie wieluńską. Bóg widzi, że wcześniej nie było podobna.

Westchnął król, a szambelan wzruszony biegnąc do ucałowania ręki pańskiej, padł na kolana, które sobie potłukł mocno. Nie uczył tego, tak go zapał ożywiał.

— Najjaśniejszy i ukochany monarcho! — zawołał — życie za ciebie dać, byłoby największem szczęściem! Ojcie ojczyzny! wyrazów braknie...

Rzeziński rozczulił się i płakać począł. Poniatowski jakkolwiek nadzwyczaj do łez skłonny, tym razem byłby rozśmiał się może, lecz potrzebował zachować krew zimną.

— Wstańże, wstań, kochany kasztelanie — rzekł z przyciskiem na tytule — oto twe przywileje, przypieczętowane i gotowe, a order, pozwól, bym sam włożył na piersi twoje.

To mówiąc, król pudełko otworzył, dobył wstęgę i na szyję szczęśliwego człowieka ją zarzucił.

Nowe rąk pocałowanie nastąpiło. Nowo kreowanemu kasztelanowi pilno było nadzwyczaj pokazać się w całym majestacie swym *urbi et orbi*; byłby może zaraz odszedł, gdyby król go nie powstrzymał.

— Słowo jeszcze, mój kasztelanie! — rzekł.

Tytuł brzmiał w uchu Rzesińskiego jak najśladźsza muzyka; w duchu powtarzał sam sobie: mój kasztelanie!

— Mówiono mi, nie wiem, czy prawda, coś o ożenieniu waszem, o nieporozumieniu z jejmością i o zamiarach rozvodu. Powiedzcież mi, proszę, jak ta sprawa stoi? co to jest?

Nowo kreowany kasztelan na chwilę stracił humor i przytomność umysłu; sam nie wiedział, czy się miał spowiadać, jak przed pomazańcem Pańskim, czy kłamać, czy milczeć, czy dyssymulować. Wstęga św. Stanisława, która się dotykała chwilowo jego brody, gdy na nią spojrział, przypominała mu obowiązki senatora i orderowego pana. Błyskawicą przeleciało mu po mózgu, że jako człek wielkiego świata, dyssymulować był obowiązującym.

— N. Panie! zawołał — niech ludzie mnie sądzą jak chcą... z żoną nie żyłem, opuściła mnie z powodów, które ignoruję; nie pozostaje mi nic, jak węzeł ten dla niej nie miły, a mnie krępujący, rozerwać.

Król słuchał z powagą.

— Lecz — odezwał się — czyby dobrych przyjaciół nie należało wezwać i spróbować, ażali się nie uda z jejmością porozumieć? Jest to, *jak mi mówiono*, osoba młoda, przystojna, nie bez majątku, pan kasztelan doszedłeś lat dojrzałych, nie jużżiż nowych szukać ci związków, czy nie lepiejby więc...

Rzesiński posłyszał to *jak mi mówiono* i wziął je dosłownie; pomyślał, że plotki o stosunkach z królem musiały być wymyślone, nie mógł nawet posądzać dobrotliwego pana, przez którego tylu szczytami został ozdobionym, o fałsz; zmieniło to jego postanowienia. Był wreszcie w usposobieniu pojednawczem i dziwnie rozczulony.

— N. Panie! — wykrzyknął — tyś pan, ty ojciec nasz, czyni i rozporządza, jak ci się podoba, ja do rozkazów się zastosuję.

Przystąpiwszy doń bliżej, z uśmiechem słodczy pełnym Poniatowski się odezwał:

— Bóg zapłać za te uczucia, panie kasztelanie; a zatem nie czyni kroków żadnych, a ja *przez kobiety* się postaram, aby państwo zbliżyć i pojednać. Radbym tak godnemu obywatelowi i domowe szczęście zapewnić.

Po raz trzeci Rzesiński miał szczyt ucałować rękę pańską; zabrał swe papiery i cały drżący, poruszony, wyeksaltowany, szczęśliwy, wyszedł do sali, poprawując wstęgę, która jak chomąt na nim wisiała. Tu dwór mu począł wieszować, Rzesiński płakał jak bóbr, całował znajomych i niezajomych, przyciskając do serca, i ledwie się nareszcie wydobył na świeże powietrze.

Fiaker zajeżdżał; nie wiedział sam z razu, co począć z sobą, bo tak wprost pod Orła białego zajechać nie mógł, chciał się gdzieś pokazać przecie. Tymczasem było to nieuchronnem, bo pergaminy złożyć musiał, gwiazdę przypiąć, która jeszcze w pudełku spoczywała, i wstęgę poprawić. Poleciał więc jechać do gospody.

Świat mu się innym wydawał teraz. Dziwna rzecz, gdy na posłuchanie jechał, niczego się nie domyślając, konjunktury ziemskie dosyć nieciekawemi mu się wydawały, wracając, widział obrót ludzkich rzeczy tak szczęśliwym, wszystko w porządku tak wzorowym, kraj tak błogim, pogodę nawet tak cudną, iż tylko żyć, żyć a żyć i nasycić się pragnął.

— A zechcą, żeby z żoną żył — mówił do siebie — dlaczego nie? byle pozory były ocalone, a zresztą, co mi tam! od czegoż filozofia? Gdyby nawet coś i było! gdzie nie ma podobnych wypadków? anim ja pierwszy, ani ostatni. No, gdyby w istocie J. kr. Mość był w stosunkach, przecież to przyzwoiciej, niż gdy lada młokos... *Vanitas vanitatum!* nie ma i mówić o czem.

Z tym wyrokiem przybył nowy kasztelan do gospody, poszedł na górę, przywileje, starannie je poskładawszy i pozawijawszy w chustki, do kufra zamknął, wstęgę, zamiarkowawszy, że na powszedni dzień nie wypadalo jej szarzać, złożył, gwiazdę tylko przypiął do boku. Gdy w zwierciadle zobaczył sam siebie z tą gwiazdą, stanął, uśmiechnął się i oczów nie mógł od niej oderwać; błogo mu było. W tym dniu czegoż u niego wyrobić, czego by nie można zyskać?!

Dopiero gdy fiakra, stojącego na dole, przypomniał, zmiarkował, że powinien był pojechać do Grzybosi przez nią się do państwa marszałkowstwa koronnych zameldować. Chwył kapelusz, rękę do gwiazdy przyłożył, z obawy, aby mu się nie odpięła, i wyszedł — pijany, w głowie mu się zawracało.

Na schodach dzień sobie zanotował, aby go w kalendarzu zapisać. Przez ulicę jadąc, tak siedział w fiakrze, aby gwiazda ludziom przyświecała. Kilku znajomych pozdrowił z wysokości swojego kasztelaństwa i orderu; widział, jak mu się wielkimi przypatrywali oczyma, czytał w nich zazdrość.

— Krok jeszcze, a wstęgę niebieską i województwo dostanę, choćby najpośledniejsze — mówił w duchu. Dlaczego nie mam z żoną żyć, jeżeli król tego pragnie? Furda przesady!

Fiaker się zatrzymał przed oficyną pałacu Mniszchów, z powagą wielką wysiadł Rzesiński i wkroczył do skromnej sionki. Już sięgał do dzwonka, gdy drzwi się otworzyły (znać był oczekiwanym) i Grzybowska wyszła na przywitanie, wesola, promieniąca, w ręce klaskając.

— Witam pana kasztelana i kawalera św. Stanisława! witam! winszuję...

— A ja przybywam z podziękowaniem — zawołał Rzesiński — z wdzięcznością, bo wiem, komu to zawdzięczam.

To mówiąc, chwycił się do ręki i ucałował ją, wsunął małeńki rulonik. Panna Grzybowska zarumieniła się.

— To niepotrzebne — rzekła, lecz rulonik wsunęła do kieszonki. Kasztelan poruszony usiąść musiał.

— Byłeś pan u króla, no cóż? mów; król...

— Król! król! — podchwycił Rzesiński, to nie król, mało tego wyrazu... półbogiem go nazywam! Geniusz jest, dobroczyńca ludzkości, mędrzec, luminarz Europy! żaden kraj się takim nie może poszczycić monarchą. Pani, jestem jego wielbicielem i życie za niego dać gotów jestem.

Grzybowska za boki się trzymała, śmiejąc, zapewne z radości.

— Wystaw sobie asińdzka, ten człowiek, co mówi! ten mąż, ten bohater, na którego ramionach losy ludów spoczywają, z jaką niewysłowioną łaskawością i dobrocią mówił ze mną, z jaką troskliwością wypytywał. Płakałem, pani, płacę, nie mogę wspomnieć tej chwili bez rozrzewnienia.

Rzesiński wydobył chustkę i puścił wodzę uczuciu i łzom, potem kilka razy silnie nos utarłszy, uspokoił się nieco, odetchnąwszy silnie.

— O czemżeście z królem mówili? — zapytała figlarnie gospodyni.

— Naprzód o sprawach krajowych, bo u niego te są pierwszemi — rzekł poważnie kasztelan. Król mi wyraził żal, bardzo dla mnie pochlebny, iż takich ludzi, jak ja, nie ma wielu pomiędzy posłami, i żem ja się o poselstwo nie kusił. Gdybym był wiedział wolę N. Pana, o, byłbym się dla niego poświęcił! Potem począł dopytywać o dom, o gospodarstwo...

Tu Rzesiński uczynił pauzę.

— A o żonie i rozwodzie nie było mowy? — zapytała Grzybowska.

— Owszem, ktoś mu znać o mojem utrapieniu wspomnieć musiał, więc jako pan przykładny, do zgody mnie zachęcał, a od rozwodu odwodził.

Ruszył z lekka ramionami.

— Nie jestem od tego, i owszem, zawsze za zgodą świętą i za przykładnem pożyciem małżeńskiem, byleby było możliwem, czemu nie?

— Widzę, żeś pan do tych sentymentów powrócił, które się zawsze w nim znaleźć spodziewałam, panie kasztelanie — przemówiła Grzybosa — nie wątpię, iż się teraz wszystko tak ułożyć potrafi, że będziecie zadowoleni; król użyje skutecznych środków.

Rozmowa zęcnie zwrócona przez pannę respektową, poszła potem o państwu marszałkowstwu o należnym im respekcie i podziękowaniu. Rzesiński chciał się submitować. Był to teraz baranek łagodności i wyrozumiałości pełen. Grzybowska, która na tę metamorfozę rachowała, sama się jej wydziwić nie mogła. Wszystko tedy szło jak najszcześliwiej i jak najlepiej.

Rzesiński pożegnał swą dobrodziejkę, a że mu pilno było się z gwiazdą pochwalić, pojechał z nią do miasta. Na nieszczęście nikogo z tych, którym chciał pokazać ją, nie zastał w domu, wrócił więc dla posilenia się pod Orła białego, i tu dopiero przed liczną

nader kompanią miał przyjemność błysnąć dekoracją, która jeszcze świeżuteńko z pudełka dobyta, świeciła blaskiem dziewiczym.

Obiad się miał ku końcowi, gdy współbiesiadnicy wnieśli, że nowego orderata oblać należało. Umiał się znaleźć Rzeziński i kosz burgunda wnieść kazał. Wesołość była powszechna, kieliszki się ponapełniały, wzrok szczęśliwego jubilata krążył do koła, gdy niespodzianie przy drugim końcu stołu ujrzał twarz jakąś znaną, nieznaną, której z razu przypomnieć nie umiał. Skromny człowieczek, który czymś widać kosztem był podejmowanym, skłonił mu się z daleka. Kasztelan dopiero teraz poznał malarza Plerscha.

Gdy się z krzesel ruszono, artysta przyszedł się przysiąść do niego. Był blady, mizerny i smutny.

— A jakże ten nieszczęśliwy przypadek? ci zbójcy? asindziej byłeś raniony, co? — zapytał jubilat — przeszło to?

— Ból czuję czasem w głowie — rzekł Plersch — zresztą zdrów jestem; roboty moje w Wiszniowcu pokończyłem i znowu się po Warszawie kręcę... a pan kasztelan dobrodziej? familia...

Rzeziński się cofnął nieco.

— A no, a no, dobrze wszystko.

— Panią kasztelanową z dala widywałem tu niekiedy.

Rzeziński chrząknął i popił burgunda.

— Dla nas malarzów taka piękność to prawdziwy skarb. Zdaje się, że z każdym dniem cudniejszą się staje. W naturze takich nadzwyczajnych piękności jest coś z natury mieniących się kamieni, które coraz inną barwę przybierają, a coraz świetniejszą...

— Hm! mruknął szambelan — a gdzieżeś asindziej widział moją żonę?

— W teatrze, na spacerach, na hecy, na widowiskach; zachwycała wszystkich nas a cmiła swą pięknnością, panie.

Rzezińskiemu to pochlebilo.

— Tak, tak — rzekł — piękność *primae classis!*

— Ale nam pan jej z Warszawy nie zabierzesz? — spytał malarz.

— Nie wiadomo, nie wiem, to się okaże — odparł Rzeziński.

Rozmowa była nieco ciężka i kasztelan obawiał się splątać, a wydać nie chciał, zwrócił ją więc na inne sprawy; Plersch jednak wracał uparcie do kasztelanowej.

— Masz pan kasztelan zapewne — rzekł po chwili — doskonały portret pani dobrodziejki, Lampiego lub Bacciarellego... wszyscy magnaci nasi zdobią teraz portretami domy swoje...

— Nie, jeszcze portretów nie mam — odpowiedział Rzeziński, i jak promień światła uderzyła go myśl, iż otrzymawszy gwiazdę, z nią nieuchronnie malować się był kazać powinien. Chwycił Plerscha za rękę.

— Wiesz asindziej co? zamawiam sobie naprzód mój portret u niego, potem...

Dał znak głową. Plersch wstał zarumieniony i szczęśliwy.

— Kiedyż mu służyć mogę?

— Choćby jutro.

Zaczęto się umawiać. Plersch miał małą pracownię na zamku. Sam więc zaprosił szambelana, który skwapliwie pochwylił się projektu unieśmiertelnienia się we wstędze i orderze. Szczęśliwa myśl mu też przyszła, iż mógł się dać malować z listem w ręku, na którego wierzchu mogły stać wypisane wszystkie tytuły jego.

Nazajutrz pojechał do Mniszchów. Marszałka jak zwykle nie było, ale piękna pani go przyjęła nader uprzejmie, albowiem owe cztery tysiące czerwonych złotych jeszcze na obliżu pozostawały. Wyraziła mu całą radość swą z zaszczytu, jaki go spotkał, wysłuchała kantaty na cześć koronowanego wuja, dała rękę do pocałowania i zapewniła, że mężowi powie o wizycie, przepraszając za to, iż mu zajęcia nie dozwalały itd.

Wracając z pałacu, wstąpił do oficyny pan orderowy. Grzybowska go przyjęła nader uprzejmie.

— Dobrą nowinę mam panu zwiastować — rzekła. Zdaje się, że król Imci osoby wpływowe użył do tego, ażeby kasztelanową skłoniły do zgody. Mamy nadzieję, że ona przyjdzie do skutku, bylebyś pan okazał się łatwym.

— Ja? ja będę najłatwiejszym! — zawołał kasztelan.

— A co się tyczy potwarzy owych, w które N. Pana wmięszano — dokończyła panna z nieznacznym uśmiechem — i o których król wie a oburza się niemi, będziesz miał pan najuroczystsze jego zaręczenie, iż ani widzieć ani bywać u kasztelanowej nigdy nie chce i nie myśli.

Nadspodziewanie Rzesiński się skrzywił i ręce rozstawił.

— Ale bo mnie chyba nie rozumiano — odezwał się po cichu — ale ja wcale od tego nie jestem, by N. Pan nas zaszczycał swoimi względami. Co mi tam! niech ludzie prawią, co chcą. Wszakże już gadali, a zatem, pał ich dyabli! żebym się miał dlatego wyrzekać krescycywy!

Miał minę zafrasowaną, Grzybowska sznurowała usta.

— Panna łowczanka mnie rozumie — dodał pospiesznie — i owszem, nie jestem od tego. Należy ludzi przekonać, że przecie nie gbur jakiś ze mnie i prostak ale człek, co świat zna i umie żyć.

— Bardzo się cieszę, iż tak jesteś wyrozumiałym i rozsądnym — odpowiedziała. Tym sposobem, sądzę, że się jeszcze rzeczy ułatwią; jedno tylko zachowaj kasztelanie, co jest w obyczaju dworu i dystyngowanych ludzi. Gdy się da Bóg pojednacie i dom otworzycie wspólny, nie napastuj jej czułościami swemi, zostaw to czasowi.

— Jak skoro to jest w obyczaju — odezwał się poważnie kasztelan — ja na tem nowem stanowisku, które mam z łaski N. Pana, zastosuję się, daję pani słowo, zastosuję, we wszystkim.

— Niech pan zobaczy tylko, jak żyją nasi państwo marszałkowstwo, a na świecie nie ma przykładniejszego i więcej się kochającego małżeństwa.

— Jakże żyją? — spytał kasztelan — jak?

— Pani marszałkowa ma apartament zupełnie osobny, on oddzielny; mieszkają w dwóch końcach pałacu. Każde z nich zupełnej używa swobody. Czasem po tygodniu się nie widują i w obcych tylko domach się spotykają, lub na obiedzie u siebie, a przyjdzie pan marszałek do hrabiny, w rękę ją pocałuje galancko, uśmiechnie się, pomówi... do twarzy się nie napiera, bo któż to znowu widział? I żyją, jak dwa gołębie.

— No, gołębie inaczej trochę żyją — odezwał się kasztelan — bo trzeba asindzce wiedzieć, że ja trzymam w Krasnych wałach dużo gołębi i życiu ich się przypatrywałem, to tam o gołębiach mowy być nie może, ale co innego człowiek światowy, a co innego takie stworzenie...

— Tak, tak, pan to już bardzo dobrze rozumiesz.

— Doskonale! — zawołał Rzesiński — stan każdy wkłada pewne obowiązki.

— A ja panu zawsze służyć będę dobrą radą i zobaczysz, powoli tak się porozumiecie, zbliżycie, pokochacie, że będziesz najszczęśliwszy.

Kasztelan był przejęty.

— Serdecznie dziękuję — rzekł żywo — niech pani dokona już tej zgody; proszę nie zwlekać, i... najmniejszej nie ma potrzeby, ażeby N. Pan od nas stronił, owszem, ja za zaszczyt sobie mieć będę, proszę wierzyć.

Tu uśmiechnął się nieco chytrze.

— Widzisz asińdzka — szepnęła — ja na tej tymczasowej kasztelanii poprzestać nie mam ochoty. Dlaczego bym, póki siły stają, nie miał się dla ojczyzny poświęcić? Do ostatniej kropli krwi! nawet do Rady nieustającej gotów jestem, i, mogę panią zapewnić, że skinieniu N. Pana posłusznym będę, skinieniu!

Tak się skończyła konferencja i pan kasztelan wyszedł podspiewując z oficyny, a wprost dążąc do Plerscha, aby obejrzeć pracownię i wizerunek swój kazać rozpocząć malować.

W pałacu Mniszchów widział portrety ich przodków w całej figurze; te mu się nierównie lepiej podobały, niż ucięte popiersia. Myślał więc nawet o tem, czyby nie wypadało dać się wykonterfektować jak Bóg stworzył, z nogami i rękami, stojącym u stołu, z ręką na papierach i książkach. List z adresem najlepiej się mógł naówczas umieścić rzucony od niechcenia; w tyle miała być kolumna, emblemat mężów, na których ramionach spoczywała rzeczpospolita, i zasłona purpurowa, godło tajemnic państwa których oni byli stróżami.

— Sto dukatów choćby, Bóg z niemi! — rzekł w duchu — dam, a przynajmniej w sali gdy powieszę, to będzie miało swe znaczenie. Niech znają Rzesińskich!

I butnie wpadł do pracowni Plerscha, który właśnie go sobie przypomniawszy, z westchnieniem co najspieszniej zasłoną zieloną pięknej Bondarywny wizerunek ulubiony zawieszał.

Z rana była we dworku na Ujazdowskiej alei panna Grzybowska, wieczorem przyjechał król. Zabawił tu daleko dłużej niż zwykle. Przybył czułym, czulszym niż kiedykolwiek może, z rękami podarunków pełnemi, ale z frasunkiem na czole. Błady był, mizerny, pomieszany. Na odgłos jego przyjazdu, jak zwykle Natałka z wyciągniętymi rękami wybiegła naprzeciw niemu.

— Król mój! pan mój! — spiewała na wpół, na wpół wołała.

Głos ten zdawał się przejmować ostygniętego pana, ale jakby znużony, padł zaraz po przywitaniu na kanapę.

— Dziecko moje! — rzekł czule — jakże ty mi wyglądasz? jak ci jest? czyś zdrowa?

— A, dobrze mi, szczęśliwa jestem, choć się namęczę, wszystko jeden wasz uśmiech rozprasza i co było, zapomniane.

Zapał, z jakim to mówiła, oddziaływał smutnie na króla.

— Trochę spokoju, trochę pomiarkowania — rzekł — mnie go dziś tu bardzo, bardzo potrzeba. Proszę się utemperować.

Natałka w oczy mu spojrzała, jakby z jakimś przecuciem złowrogim.

— Już, oto już jestem spokojna — rzekła.

— Jeszcze nie — zawołał król — lecz mam nadzieję, że to przyjdzie; dla mnie, dla mojego i waszego szczęścia jest to bardzo potrzebnem.

— Czuję coś złego — odezwała się Bondarywna. Niech król mój i pan mój rozkazuje, wszak ze mnie posłuszne dziecko.

— O, nie bardzo — uśmiechając się, rzekł Najjaśniejszy i wskazał jej miejsce przy sobie na kanapie.

— Siadaj waćpanna.

Natałka siadła bliźniuchno, wzięła rękę białą i pocałowała ją w milczeniu. Król, który już miał usta otworzyć, zatrzymał się, na czoło wystąpił smutek. Zdało się, jakby już nie wiedział, co mówić, od czego począć.

Natałka oczyma go badała, choć udawała wesołą; po szybkim podnoszeniu się piersi, oddechu żywym, błysku oczów, widać było niepokój, który nią miotał.

— Radbym — odezwał się król po cichu, spuszczać oczy — aby i my się nigdy nie rozstawali. Tak — dodał — na to pracują; trzeba koniecznie stosunki nasze urządzić inaczej. Te kryjome odwiedziny chwilowe, na które król po złodziejsku skradać się musi, ani królowi, ani waćpannie nie przystały. Dzięki Bogu, udało się pewną w świecie wyrobić dla niej pozycję. Kasztelan jest dobry człowiek i dający się powodować. Należy koniecznie ten parawanik postawić na widoku. Rozumiesz mię?

Natałki twarz mieniła się i bladła powoli, zaczęła drżeć; puściła rękę królewską i odsunęła się nieco.

— Tak jest, rozumiem, N. Panie — rzekła nagle chłodniej — zbliża się koniec przewidziany; przyszło znudzenie; to, co było szczęściem, stało się ciężarem. O, ja to doskonale rozumiem! Prawda, długom tego nie chciała rozumieć, długom tego przypuścić nie mogła; mówiłam sobie: raz się stale przywiąże; inne go zdradzały, inne się śmiały; ja będę żyć zamknięta, tylko dla niego... on uczuje, że ja go kocham i wielbię, że on dla mnie jedyny!

— Dziecko moje, nie tak tragicznie, proszę cię, nie tak tragicznie; mówmy rozsądnie dla własnego dobra twojego. Pozwalam ci posądzać mię, oskarżać serce moje, czynić mi wyrzuty, w sumieniu mem przekonany jestem, że pełnię obowiązek.

Natałka ze spuszczonego oczyma siedziała i słuchała.

— N. Panie — odezwała się sucho — mogę mu oszczędzić przykrego i nudnego tłomaczenia, ja z góry wiem, czego będziecie żądać odemnie, Grzybowska mię przygotowała: mam być panią kasztelanową i stanąć na równi z tamtemi.

— Ale to stosunków naszych nie rozerwie, dziecko moje, owszem, ściślej i łatwiej je uczyni, chciej to zrozumieć.

— Rozumiem doskonale.

— Uczyniłaś dla mnie poświęcenie, dopełnij go.

Czekał odpowiedzi, nagle płacz i łkanie słyszeć się dały. Natałka zakryła sobie oczy chustką, wybuchnęła; zachodziła się, rzuciła na kanapę w stronę przeciwną i drżała cała, chustką w usta ściśniętą tłumiąc jęki, które się z niej dobywały.

Król obłąkanym wzrokiem powiódł do koła, jakby szukając ratunku, nie wiedząc co począć; wzruszenie Natałki udzieliło mu się i twarz jego mieniła. Ręką nieśmiało ujął dłoń jej, leżącą na twarzy i głosem cichym przywoływał do przytomności.

— Dziecko moje, ale opamiętajże się, uspokój, ja nic nie żądam; niech wszystko zostanie jak było, ja takich lamentów znieść nie mogę, to mię zabija.

Jakkolwiek stłumione, płacz i jęki musiały znać dojść do uszu matki, która od drugiego pokoju drzwi uchylila, naprzód powoli, a potem rzuciwszy niemi, nie patrząc na króla, do córki przypadła, tuląc ją ku sobie.

Poniatowski wstał żywo.

— Moja jejmość! — zawołał — proszę jej, ale uspokójże to dziecko. Sama nie wie, czego desperuje; to do rozpacz i mnie przywieść może. Ja... ja... nie mogę...

Przeszedł się ostrożnie po pokoju, spojrzął przez okno w ogród, bezmyślnie okręcił się kilka razy i jak winowajca wysunął nieznacznie.

W chwili, gdy wychodził, Natałka rzuciła się za nim z krzykiem, ale już go nie było; coraz szybszym krokiem wymknął się do stojącego powozu.

Dziewczę padło na kanapę; matka objęła ją rękami i szlochała z nią razem.

Po chwilce stara zerwała się, pięści ścisnęła, nic nie mówiąc, i pogroziła ku drzwiom. Natałka też podniosła głowę, z oczyma łzami zapalonymi. Dreszcz jakiś przebiegł ją, dręęła cała.

— Tu nie ma już co robić! — krzyknęła. W drogę! nad Dniepr! do domu! Ja tu chwili nie chcę pozostać, tu wszystko pali i boli.

I suknię zaczęła drzeć na sobie, szmatami jej rzucając do koła.

— Koszuli zgrzebnej! siermięgi! — krzyczała, ciskając klejnotami i rozbijając je o ścianę. Matko, do domu, do domu! To był sen okropny, trzeba się obudzić!

Z rozrzuconemi włosami, na wpół rozebrana, upadła znowu na kanapę, krzyk jakiś przenikający, straszny, dobył się z jej piersi, ze śmiechem razem i z płaczem, łkanie i ryk dusiły ją.

Matka straciła przytomność i na ziemię się rzuciwszy, za nogi ją pochwyciła i poczęła zawodzić żałośnie, przywołując ją do życia.

Boleść to była, jakiej tylko na pół dzikie natury i nieunoszone temperamenta uledez mogą; zmieniła się ona w walkę z życiem, we wściekłość; konwulsyjnymi ruchy rzucało się nieszczęśliwe dziewczę, mimo swej wiedzy i woli, jakby w niem działała trucizna, jakby w żyłach płynął włany w nie jad zabójczy. Na przemiany to leżała martwa, to zrywała się jak szalona, a matka chwytała ją, całowała i kładła znowu, lękając się, aby w przystępie obłądzenia głowy o mur nie rozbiła.

Wieczór zapadł, ciemności ogarnęły pokój, z drugiego się tylko świeciło przez drzwi otwarte, gdy doktor nadbiegł, przez króla przysłany.

Stan, w jakim znalazł Natałkę, był tak dziwny, iż lekarz w pierwszej chwili środków na pohamowanie szału nie znalazł. Przez zaciśnięte zęby z trudnością zdołano kilka kropel jakichś wlać w usta.

Dziewczę było nieprzytomne, bez mowy; oczy zaszele mgłą jakąś, patrzyły, nie widząc. Zdawało się, że nie było ratunku, że zgon tylko może zakończyć tę straszną męczarnię.

W milczeniu stali wszyscy nad nią. Lekarz powtórnie krople swe dać kazał; po nich w ćwierć godziny sen nastąpił, a z nim przyszła nadzieja.

Wśród tego zamieszania, jakie całym domem wstrząsnęło, nie uważano, gdy się do pokoju ciemnego wcisnął nieznamy, odarty mężczyzna. Był to Maksym. Oczy mu świeciły wśród mroku jak wilkowi, patrzył i jak wryty przytulił się do drzwi, nie dając znaku życia.

Gdy nareszcie sen przyszedł, a było już około północy, Grzybowska przełęknioma i zmęczona wysliznęła się do domu; doktor przepisawszy dalsze krople i obiecując powrót nad ranem, usunął się także, jedna matka została przy Natałce, a u drzwi Maksym.

Wśród straszego milczenia płynęły godziny, słychać było tylko oddech spiącej ciężki i łkanie przez sen.

Maksym się zsunął na podłogę i skurczony, sparty o ścianę, legł jak pies u progu.

Z północy westchnienie i krzyk wyrwały się razem z piersi Natałki. Zerwała się z posłania i siadła; matka była przy niej. Oczyma rzuciła w mrok, milcząc, ze zwieszoną głową zdając się sobie przypominać, co przeżyła. Ręką potarła po czole; zdawała się spokojna.

— *Hody!* — zawołała z cicha po rusku — *body!* pora na chutor, do domu, nad Dniepr! Tu powietrze niezdrowe, uciekajmy! Jak umierać, to na swojej ziemi, na piersi ona nie zacięży. Matko, idźmy, jedźmy, płynmy, lećmy, a uciekajmy ztąd. Sen się prześnił.

Maksym ruszył się u progu i wstał. Natałka się złąła nieco.

— Kto tam? duch?

— Nie duch, Maksym, niewolnik wasz.

— Maksymie! matko! uciekajmy! do domu, na chutor nasz, na Ukrainę, nad Dniepr!

I wstała na nogi, powtarzając jak obłąkana: do domu!

Nazajutrz po sesji sejmowej, która się bezprzykładnie wcześniej skończyła, wieczorem był w małych apartamentach królewskich, na który tylko osoby bliższe i w poufalszych zostające stosunkach, a szczególnie rodzina króla zaproszoną była.

Pani Krakowska, Mokronowski stary, wojewodzina Podolska, książę ex-podkomorzy, prymas, państwo Tyszkiewiczowie, Mniszchowie, pani generałowa Grabowska, Szydłowski, starosta Mielnicki, Komarzewski, Ryszewski, ks. Naruszewicz i małe gronko mniej wybitnych osobistości.

Był to sejm początek, a choć już z niego o dalszym jego rozwoju wnosić było można, jeszcze nie tracono nadziei, że się nim da pokierować. Król brał chwilami stronę opozycji, której bronił, to znowu narzekał na to, że jego czynności i zamiary paraliżowała. Rodzina pańska sarkąła i utyskiwała, dwór był oburzony.

Nie przeszkadzało to jednak szukać rozrywki. Pani Mniszchowa, która była muzykalną, grała na klawikorcie, śpiewała francuzkie piosenki, kawaler de Maisonneuve deklamował, czytano trochę z francuzkiej komedyi, którą tego dnia królowi nadesłano, ale nade wszystko szeptano i rozmawiano po cichu.

Pani Grabowska siedziała w kątku z twarzą posępną, obok niej marszałkowa Mniszchowa widocznie ulagodzić się ją i rozerwać starała. Król sam, jeśli cierpiał wewnątrz, cudownie umiał pokryć grą fizyognomii, co się w sercu jego i duszy działo. Twarz miał wypogodzoną, czoło promieniejące, usta uśmiechnięte, i niezmiernie żywo rozprawiał z którąś z pań o Nilu i piramidach egipskich. W chwilę potem rozmowa się zwróciła na Anglię i zabrał głos o konstytucyi tego kraju.

Plotki maluczkie krążyły tymczasem między paniami o różnych pięknościach i chwilowych ich stosunkach serdecznych. Wiele zmian zaszło właśnie z powodu napływu młodzieży, śmiano się z niestałości, a niektóre z pań przepowiadały nawet z trafnością dziwną przyszłość i gotowe się były zakładać, kto jutro kogo porzuci i gdzie się z hołdami skieruje. Były to rzeczy powszednie i wielce zajmujące. Poważne damy, jak pani Krakowska i wojewodzina Podolska bawiły się niemi, nie mogąc już same uczestniczyć w tej uczcie życia, której młodzież używała z takim zapalem.

Na chwilę po odejściu marszałkowej, pani Grabowska została samą; brat zbliżył się do niej.

— Co ci jest? — szepnęła.

— Po prostu, zła jestem.

— Z przyczyny?

— Sto bym ich znalazła, ale się gniewam na króla, to najważniejsza; *laissez-moi*.

— Czy tajemnica?

— Nie; stary jest a niepoprawiony.

— O kogoż idzie?

— *Ces amours de paravent et d'antichambre, c'est honteux!*

— Mogę ci zaręczyć, że w tej chwili zupełnie jest niewinnym.

Ruszyła pani generałowa ramionami.

— *Dites-le a qui vous voudrez*, ale nie mnie, *j'en sais quelque chose*.

— A ja, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle co wy — rzekł Szydłowski. Co było, a nie jest...

— To się pisze w rejestr — przerwała generałowa — i rejestra grzechów tworzą się z tego ogromne, o których zapomnieć trudno.

— Tak, kobiety nie zapominają nigdy, należy to do ich przymiotów — uśmiechnął się Szydłowski i odszedł powoli.

W ciemniejszym kątku sali, wezwany tego dnia dla pokazania kartonu do obrazu, który miał malować do kaplicy w Siedlcach dla pani hetmanowej, stał Plersch, położywszy swój rulon na krzeselku. Kazano mu czekać, nie śmiał się więc oddalić, a był w położeniu dosyć nieprzyjemnym, bo nikt z nim nie mówił i nikt się nie zbliżał do niego. Mógł się bezpiecznie przypatrywać, zbierać wzorki i ziewać niepostrzeżony.

Przez litość jakąś, błądząca po salonie marszałkowa przysunęła się do niego.

— Jak się masz, panie Plersch, a cóż, zdrow już jesteś?

— Dziękuję pani hrabinie, dosyć.

Przybliżyła się jeszcze i cicho zapytała go, oglądając się do koła.

— Wiesz o losie tej Ukrainki, którą to dla mnie malowałeś w Kaniowie?

— Trochę — rzekł Plersch — wyszła za męża. Mam nawet szczęście znać kasztelana, który się jej mężem nazywa — dodał z małym przekąsem artysta — i mam zaszczyt też zajmować się właśnie jego portretem, po którym ma nastąpić odpowiedni samej pani.

Marszałkowa stłumionym śmiechem przerwała mu:

— Ale bo nic chyba nie wiesz, panie Plersch...

— Jak to? dziś kasztelana widziałem...

— I nic nie mówił?

— Owszem, wiele o sobie i swej przyszłości.

— I o żonie?

— Trochę nawet o niej.

— Przecież od dwudziestu czterech godzin już jej nie ma — mówiła marszałkowa — cała Warszawa się tem zajmuje. Piękna Ukrainka znikła razem z matką i jakimś, mówią, dawnym swym kochankiem, chłopem czy Kozakiem. Natura ciągnie wilka do lasu, a Kozaka w step. Szkoda tylko, że nie wcześniej się namyśliła.

Ramiona pani marszałkowej poruszyły się z pewną pogardą.

— Cóż pan na to? — spytała.

— Mnie się to jakoś w głowie nie mieści.

— Nie wierzysz? znasz waćpan przecie moją Grzybosię pocziwą; jeżeli jesteś ciekawy, zapytaj się jej, ona ci to wszystko jak najlepiej rozpowiedzieć potrafi.

I pani Mniszchowa skinąwszy głową, odeszła od malarza, a wkrótce potem król się usunął do swojego gabinetu, i Plersch, rulon zostawiwszy u Albertrandiego, z zamku poszedł do domu.

Wspomnienie dziewczęcia, które mu się było niegdyś w sercu zapisało, żyło w niem jeszcze; dziwna historia, o której napomknęła pani marszałkowa, obudzała ciekawość. Nazajutrz więc, będąc niejako upoważnionym do tego kroku, poszedł z rana do panny Grzybowskiej; dawno już jej nie widział. Gdy go przez drzwi zobaczyła, przeżegnała się.

— Plersch! jak mamę kocham! A cóż to się waćpanu stało, żeś mnie sobie przypomnieć raczył? Żebyś kiedy choć zajrzał... a dalipan, lepszej przyjaciółki nademnie nie miałeś i mieć nie będziesz, choćbym mogła mieć żal do waćpana, żeś się ze mną ożenić nie chciał.

— Ale panno łowczanko dobrodziejko...

— No, już się nie tłómacz, a siadaj...

Rozmowa rozpoczęła się o tem i owem, bo z razu artysta nie śmiał wspomnieć o Nałce. Sama gospodyni świeżą awanturę miała na sercu i mówić o niej zaczęła.

— Król ją sobie naprzykrzył — rzekła — ciężyla mu, bo do takich amorów, z pozwoleniem chłopskich, nie był nawykły. Dobre to dla osobliwości, jak razowy chleb przy śniadaniu, ale żyć tem, nam, do innego świata i obyczaju nawykłym, niepodobna. Licho wie, co było tej dziewczynie, czy ambicya, czy istotna miłość, dosyć, że nietylko wierną królowi była do końca, ale gdy jej dał do zrozumienia, żeby do męża wróciła i dała mu pokój, wyrwała się z matką razem i uszły. Słyszę nawet wszystko, co miały od N. Pana, zostawiły nietknięte, tylko swoje rupiecie zabrały. Nie trudno się domyśleć, dokąd uszły, bo pewnie nie gdzieindziej, tylko na Ukrainę. Król wczoraj w sekrecie pogoń wyprawił, bo mu żal po nich jakiś pozostał, no, i obawa, aby to nie paplało i nie zrobiło głupstwa jakiego.

Grzybowska mówiła jeszcze długo, różne przytaczając szczegóły o Natalce. Plersch przesiedział z godzinę i nie wiele się dowiedział, pożegnał gospodynię, która go wielce zapraszała, ażeby ją odwiedzał częściej.

— Już się waćpan nie lękaj, o małżeństwie mowy nie będzie, chyba byś sam rozum miał — dodała wzdychając — a przynajmniej u mnie się dobrej kawy napijesz, a ja pogawędzę.

Plersch powrócił do pracowni.

Tegoż dnia pod wieczór zjawił się u niego kasztelan w sprawie swojego portretu.

— Kochany panie — rzekł — ja do domu jechać muszę, są pilne okoliczności. Mam nadzieję powrócić do Warszawy, to i portret skończymy, teraz dla niego siedzieć nie mogę. Dużo mam na głowie, Bóg widzi; pono do reszty wyłysieć przyjdzie.

— A pani kasztelanowa? — zapytał nieostrożnie Plersch.

Rzesański ręką jedną, do góry ją podniósłszy, machnął w powietrzu i nie odpowiedział nic. Zmieszany był bardzo i kwaśny.

Odstawił więc artysta portret, obróciwszy go twarzą do muru, i wziął się do innej roboty, ale mu losy tej nieszczęśliwej Bondarywny z myśli wyjść nie mogły.

Parę miesięcy tak upłynęło, gdy na krakowskim przedmieściu spotkał raz pannę Grzybowską, powracającą z kościoła.

— A cóż, nigdy nie wstąpisz do mnie? cóż się to znaczy?

Plersch wymawiać się począł, że zajęty był strasznie, nic to jednak nie pomogło, kazała mu iść z sobą na kawę. Nie wypadało odmówić.

— No, a z Bondarywną, wiesz, co się stało? — zapytała gospodyni, zasiadłszy z nim razem do stolika.

— Nie słyszałem.

— To ja ci najlepiej to rozpowiem — dodała — bo teraz już wszystko wiemy. Mówiłam ci, zdaje mi się, że baby uciekły; posłano w pogoń za nimi, a raczej na zwiady. Król był niespokojny. Wyprawiono zręcznego człowieka, który języka napytując po drodze, dostał się do Kozienic. Tu ich uciekających dognał w gospodzie, gdzie Bondarywna już zachorowawszy w drodze, obiegła niebezpiecznie. Posłano z Warszawy lekarza, ale ją znalazł bez nadziei, matka przy łóżku, jak oszalała, i chłopca, prostego parobka, który sobie włosy z głowy darł. Pomoc lekarska już się tam na nic przydać nie mogła; drugiego dnia w obłąkaniu, ciągle o królu mówiąc i do króla się wyrwijając, umarła.

— Umarła! — zawołał Plersch.

— A no, i lepiej zrobiła, gdy żyć nie umiała — dodała Grzybosia. Mogła najszcześliwszą być, gdyby rozum miała i męża uszczęśliwić, któryby za nią na paluszkach chodził, ale to zawsze dziwne było i niepoohamowane. Nic ja nie mam przeciwko N. Panu, był niegdyś bardzo piękny mężczyzna, ale żeby teraz w posiwiałym można się było tak kochać, tego nie pojmuję. Niech tam z Bogiem odpoczywa, lecz sądzę, że tą miłością szaloną chciała go sobie pozyskać. Sprawiono jej pogrzeb i mówią, że król nagrobek chce kazać zrobić, a wasz portret, co go marszałkowa niegdyś królowi dała, trzyma w sekretnej miejscu do dziś dnia. Ciekawam tylko, co teraz kasztelan powie i pocnie.

Kasztelan, jak widzieliśmy, ruszył z Warszawy na wieś do domu i ani słyhu o nim nie było. Plersch nawet myślał, czyby płótna, na którym jego wizerunek rozpoczął, nie zużytkować inaczej.

Już o nim zupełnie w Warszawie zapomniano, gdy dnia jednego, w pół roku po tych wypadkach, zadzwoniono do pokoju Grzybowskiej. Nie miała wielkiej ochoty otwierać, ale dzwonek nieśmiało a stanowczo odezwał się raz drugi, trzeci, czwarty. Zdawał się prosić i domagać, chociaż dyskretnie.

Panna Grzybowska poszła sama otworzyć i zdziwiła się niezmiernie, postrzegłszy kasztelana.

Był świeżo ubrany, z pewnym staraniem, a nawet smakiem zapożyczonym; strój francuzki nosił teraz zręcznie i znać było, że się z nim oswoił. Na twarzy ani na sukni wcale żałoby widać nie było.

Uśmiechnął się i usiadł, przymilając tak do Grzybosia, że nieszczęśliwej starej pannie, która zawsze zamążpójście miała na myśli, przebiegło podejrzenie przez głowę, iż... kto wie... przyjechał może w konkury do niej dla krescytywy. Przyjęła go więc z uśmiechem

i tak mile, jak tylko mogła, a posadziwszy w krześle, sama pobiegła po fryzurę i na wszelki wypadek przyodziła się staranniej.

— Bardzo mi miło widzieć pana kasztelana — rzekła, wracając — chwała Bogu, wcale pięknie wyglądasz i... strata, którą poniosłeś...

— Ha, cóż, z wolą bożą się zgodziłem — westchnął — już to się zapomniało i *zalatało* — dodał z przyciskiem.

Grzybosia spojrzała nań tylko.

— A no, tak, tak — rzekł Rzesiński — musiał człowiek o sobie pomyśleć; nie było co zwlekać, ożeniłem się.

Stara panna aż krzyknęła.

— Oszalałeś! — zawołała gniewnie.

Kasztelan się uśmiechnął dowcipnie.

— No nie, powiadam asińdźce; żonę sobie, wprawdzie ubogą, dobrałem taką, że, fraszka ta moja pierwsza, choć była bardzo piękna. Ośmnaście lat, twarzyczka jak różyczka, wzrost śliczny, krew z mlekiem, oczy czarne, włosy po za kolana, Wenus, mościa dobrodziejko!

Uśmiechał się ciągle tryumfująco; Grzybosia milczała.

— Przywiozłem ją do Warszawy — dodał — nie powstydzę się, ręczę.

Tu do ręki się schyliwszy, pocałował gospodynię dodał po cichu:

— Na dworze bym chciał ją prezentować... a nuż Najjaśniejszemu w oko wpadnie... źle. Jak pani sądzi?

Grzybowska z gniewu się zaczerwieniła, ale natychmiast wybuchnęła śmiechem.

— Słowo daję asińdźce, mogę się przyznać jako łaskawej na mnie dobrodziejce, w tej myśli nawet i kalkulacyi się żeniłem. Przez kobiety się wiele robi, a... ambicyjkę mam...

— No, to próbójże szczęścia — rozśmiała się Grzybosia z pogardą.

— Przy łaskawej protekcji pani marszałkowej dobrodziejki i pani mojej... Żona moja z familii dobrej — Przerębska z domu — edukowana co się zowie, rozumek ma i na pokojach znaleźć się potrafi. Polityczka wielka, ho, ho! po francuzku *expedite szwargocze*...

— I poszła za was? — spytała nieostrożnie Grzybowska.

Kasztelan się zżymnął.

— Nie jestem tak stary — odparł — a żona moja rozsądna bardzo. Na dworze by ją tylko pokazać, da sobie rady, bo jej pilno, i ambicyjkę ma, jak ja. Ja nic nie chcę, byle ją tylko N. Pan zobaczył, reszta przyjdzie sama.

Począł się śmiać; wtórowała mu Grzybowska, ale ręce od wszystkiego umyła.

Czy dostąpił tego zaszczytu pan kasztelan, którego pragnął, nie umiemy powiedzieć; historia o tem milczy.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krol-i-bondarywna/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Król i Bondarywna*. Powieść historyczna, nakł. Księgarni Gubrynowicza i Schmidta, Lwów 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: allispossible.org.uk@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0441-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).